

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/260

1969



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

Cz. MIŁOSZ : **O EMIGRACJI DO AMERYKI**

LONDYŃCZYK :
LIST DO KSIĘŻY Z PASZPORTAMI PRL

B. CZAYKOWSKI :
LITERATURA I POLITYKA W POLSCE

A. KRUCZEK : **Z PRASY SOWIECKIEJ**

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>O emigracji do Ameryki</i>	3
I. J. Czułowiekowski:	<i>Cena postępu</i>	22
W I E R S Z E		
Natalia Gorbaniewskaja:	***	30
Arnold Śtucki:	<i>Pierwsza wersja</i>	31
Arnold Śtucki:	<i>Rozbicie symbolu</i>	31
Bolesław Kобрzyński:	<i>Zanim</i>	32
Bolesław Kобрzyński:	<i>Zamek</i>	33
Bolesław Kобрzyński:	<i>Dziwna lampa</i>	33
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	<i>Dialogi i konwencje</i>	34
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	41
EWOLUCJA KOMUNIZMU		
Barbara Kozłowska:	<i>„Jedność w różnorodności”</i>	47
Bohdan Osadczuk:	<i>W Belgradzie — krok naprzód</i>	57
S Ą S I E D Z I		
Józef Łobodowski:	<i>Czy potrzebny konflikt</i>	60
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	64
K R A J		
Alina Grabowska:	<i>Łódzki marzec</i>	69
—	<i>Czarna lista</i>	78
—	<i>Wybory w Polsce</i>	79
SPRAWY POLAKÓW		
Roman Królikowski:	<i>O Polakach w Afryce Południowej</i> ..	81
—	<i>Fundusz pomocy prawnej</i>	88
Bogdan Czaykowski:	<i>Literatura i polityka w Polsce</i>	89
KRONIKA KULTURALNA		
Paweł Lysek:	<i>Zaolziański „angry man”</i>	100
Józef Czapski:	<i>Wierny z wiernych</i>	110
—	<i>Pasternak zakazany Czechom</i>	113
—	<i>Komunikaty</i>	115
	a) <i>Akademia ku czci K. Wierzyńskiego w Toronto</i>	
	b) <i>Zjazd Kadetów</i>	
	c) <i>Pomnik ku czci 1-szej emigracji w Anglii</i>	
	d) <i>Adam Gac Foundation, Inc.</i>	
K S I Ą Ż K I		
Tadeusz Nowacki:	<i>Milicja czy regularne wojsko?</i>	116
Adam Kruczek:	<i>Wielki terror</i>	127
Wit Tarnawski:	<i>Nieznane dzieło Conrada</i>	132
Maria Danilewiczowa:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	137
Jadwiga Maurer:	<i>Nowości amerykańskie</i>	141
—	<i>Antologia „Kultury” po angielsku</i> ..	143
—	<i>Wydawnictwa „Biblioteki Kultury”</i> ..	143
—	<i>Ankieta Kola Studiów Międzynarodowych przy Inst. im. gen. Sikorskiego w Londynie</i>	147
◆		
J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	148
◆		
A. Czerniawski, J. S. Kulski, D. Mostwin, P. Raina, W. Twierdochlebow, oraz nota Redaktora:	<i>Listy do Redakcji</i>	156
◆		
—	<i>Przedpłata na „Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii”</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj-Mai

1969

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Inż. S. Abłamowicz, Yass, N.S.W. (Australia)	F. 27,38
Tadeusz A. Boniecki, Rose Bay, N.S.W. (Australia)	F. 54,75
Henryk Dankowicz, Tel Aviv (Izrael)	F. 24,50
J. Dunin-Karwicki, Sydney, N.S.W. (Australia), po raz drugi ..	F. 54,75
C. Fabierkiewicz, Toronto, Ont. (Kanada), po raz szósty	F. 9,00
L. Holzer, Melbourne (Australia), po raz piąty	F. 54,75
W. Iwanowski, Milton, Mass. (USA), po raz siódmy	F. 29,00
B. Jeziorek, Hobart, Tas. (Australia)	F. 27,38
A. Lindner, Melbourne (Australia)	F. 27,38
W. Łuszczak, F. Jabłoński i J. Strycharz, Port Artur, Ont. (Kanada)	F. 72,00
Rev. Donald Malinowski, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz szósty	F. 47,00
Prof. Czesław Miłosz, Berkeley, Cal. (USA)	F.1.225,00
M. S. Oehalski, Chicago, Ill. (USA)	F. 39,00
J. Peski, Sydney N.S.W. (Australia)	F. 27,38
George Petry, Chicago, Ill. (USA)	F.122,00
Lucjan Raubo, Sandy Bay, Tas. (Australia), po raz drugi	F. 27,38
Inż. J. Rejmak, Bandhagen (Szwecja)	F. 50,00
S. Staehelski, Johannesburg	F. 68,00
B. Tomaszewski, Venderhoof, B.C. (Kanada)	F. 31,50
K. Urbanowski, Sydney, N.S.W. (Australia)	F. 27,38
Z. W. Węgorek, Wellington (Nowa Zelandia), po raz drugi	F. 27,38
Irena i Wiktor Zahorscy, Detroit, Mich. (USA), po raz drugi	F. 49,00
Prof. Janusz K. Zawodny, Philadelphia, Pa. (USA), po raz drugi	F.245,00
Związek Polaków w Hobart, Tas. (Australia)	F. 54,75
Anonimowo z Kalifornii — Pamięci Leonarda Biedrzyckiego, choreografa i przyjaciela, zmarłego w Londynie	F.122,00
Anonimowo, Orange, N.S.W. (Australia)	F. 54,75

DZIĘKUJEMY!

O emigracji do Ameryki

Od wielu lat śni mi się co pewien czas ten sam sen w różnych wariantach. Występują w nim umundurowani ludzie, którzy zaatakowali jedyne wyjście z wysokiego budynku i przeprowadzają aresztowania zaczynając od dolnych pięter, stopniowo zbliżając się do mnie. Mundury ich są niemieckie, niekiedy rosyjskie. Mimo jednak, że ten sen ułożony jest zwykle z fragmentów pamiętanych miast i ulic, nie uważam się za człowieka dręczonego przez koszmary. Z powtarzającym się snem dzieje się to samo co z rysunkiem ptaka czy drzewa, jeżeli wdroży się do niego ręka: traci on wkrótce rysy realistyczne, zmienia się w znak, w hieroglif. W tym więc śnie uczestniczę tylko częścią siebie. Zarazem inną częścią siebie wiem, że to tylko tak się śni, że zaraz się przebudzę.

Rzadcy są ludzie, którzy zachowali świeżość podziwu — podziwu na przykład dla pierwszych, podstawowych wynalazków, bez jakich nie byłoby cywilizacji, wynalazku rozpalania ognia, wynalazku koła. Podobnie pomysł, że władza państwa ma granice określone prawem i że nikt nie powinien być osadzany w więzieniu dlatego tylko, że tak podoba się ludziom w mundurach, zasługuje na chwilę zdumienia. Tym bardziej, że o ile wynalazek koła jest z nami raz na zawsze, nieodwracalny, opieka prawa, jaką zapewnia niezawisłość sądów, jest bez ustanku zagrożona przez ambicje rządzenia innymi bez żadnych przeszkód i hamulców. Tylko jednak doświadczenie życia w ustrojach, gdzie jednostka jest zdana na samowolę władzy, pozwala naprawdę cenić demokrację, która, choćby niezupełnie i z trudem, poddaje się kontroli obywateli. Dlatego też zawsze przyglądałem się młodym amerykańskim rebeliantom z odrobiną ironii. Panowanie prawa to

dla nich albo banał, rzecz oczywista i nudna, albo godna nienawiści i pogardy, ponieważ powołuje się na nią Establishment, żeby tak maskować istniejącą niesprawiedliwość. I trzeba przyznać, że prawo, jeżeli nie doznało się czym jest jego brak, słabo przemawia do wyobraźni, znacznie słabiej niż hasła żądające społeczeństwa doskonałego.

Nie wyemigrowałem jednak do Ameryki z krajów totalitarnych. Najpierw osiedliłem się we Francji, z którą dużo mnie łączy i gdzie w szczegółach krajobrazu, w starych uliczkach, w leśnych zakątkach (jak na przykład brzegi rzek l'Isle i Wezery w Dordogne) nieraz odnajdowałem przypomnienie moich stron rodzinnych. Niestety Francja nie mogła być moim domem z powodów, które nie były tylko moje, ściśle osobiste, ale wskazują na ogólną prawidłowość nowej emigracji, „emigracji talentów”. Moje sądy o Ameryce są więc zabarwione nie tylko przez pamięć o wschodniej części Europy, także przez dziesięcioletni pobyt w Europie zachodniej.

Trwanie historyczne poszczególnych krajów poddane jest zasadzie ciągłości poprzez zmianę, zmiany poprzez ciągłość. W Europie zachodniej ciągłość jest tak silna, że nadal można tam mówić o niezmiennych strukturach wieku dziewiętnastego. Ze względu na brutalność walki o byt, pisarze, którzy tę walkę obrali za główny swój temat — Balzak, Dickens czy Zola, są mniej niż to się wydaje staroświeccy. Ameryka Marka Twaina czy nawet Uptona Sinclaira już nie istnieje, ale Francja jest dotychczas w znacznym stopniu Francją Balzaka. Jednak, także jeżeli chodzi o wiek dziewiętnasty, kapitalizm europejski i kapitalizm amerykański były bardzo różne. Gwałtowność zderzeń pomiędzy ludźmi była w Ameryce jawna, na powierzchni. Ta gwałtowność w Europie ulegała sformalizowaniu, zrastała się w jedno z uświęconymi przez stulecia przedziałami klasowymi, jakby zaschnięta i zapiekła czy interioryzowana. Kapitalizm amerykański stał rozmachem, pomysłowością, marnotrawstwem, kapitalizm europejski jedną potężną namiętnością, skąpstwem. Przedłużanie się tych wzorów obyczajowych w czasie, aż do dzisiaj, wyjaśnia dlaczego Ameryka potrafiła stworzyć nowy olbrzymi sektor gospodarki na miarę potrzeb rosnących tym bardziej, im bardziej zbliżamy się do wieku dwudziestego pierwszego. Sektorem tym są uniwersytety, instytucje badawcze, laboratoria; zainwestowane w nim są miliardy dolarów. Na nic podobnego nie zdobyła się Europa zachodnia, gdzie nauka zawsze uchodziła za zajęcie wąskiej elity. Szczodrość prywatnego kapitału zapoczątkowała w Ameryce rozwój uniwersytetów i instytutów badawczych, następnie dołączyły się do tego pieniądze z podatków. Skąpstwo prywatnego kapitału w Europie skutecznie zapobiegło położeniu podwalin i wątpliwe jest, czy

skarby państw potrafią kiedykolwiek nadrobić zwiększające się, nie malejące, opóźnienie.

W ciągu tych wszystkich lat jakie przeżyłem w zachodniej Europie, nie dostałem ani jednej oferty od instytucji zajmujących się krzewieniem wiedzy. To prawda, że moja dziedzina — literatury słowiańskiej — jest nieco ezoteryczna. Ale jeżeli uchodzi za taką na kontynencie w połowie zamieszkałym przez narody słowiańskie, można z tego wyciągnąć różne wnioski. Najrozumniejsi ludzie, jakich w moim francuskim okresie spotkałem, byli federalistami, przekonani, że tylko polityczne i gospodarcze zjednoczenie niedużych krajów potrafiłoby przeciwstawić dostatecznie silny potencjał i Ameryce i Rosji. Napotkany przez nich opór, tak że ich plany były realizowane tylko częściowo i niemrawo, wyjaśniam tymi właśnie przyzwyczajeniami do zamykania się we własnych narodowych opłotkach, które mnie, przychodzącego spoza tych opłotków, czyniły zbędnym. Bo mimo że domena Słowian leżała poza granicami projektowanej federacji, jakakolwiek myśl dalekosiężna nie wyrzekałaby się lekko wiedzy o najbliższych sąsiadach. Było w tym jakby osłabienie woli życia, życia jako podmiotu historii, milcząca zgoda na rolę przedmiotu chronionego przez siłę Ameryki. Nie mogłem nie myśleć o swojej zbędności słysząc jak wielki mąż Francji oświadczał się za „Europą aż do Uralu”, co wydawało mi się nic nie znaczącym frazesem.

Zresztą mniejsza o studia słowiańskie. W podobnej co ja sytuacji było wielu coś umiejących i nieznających dla swoich umiejętności zastosowania. Wiedza, jako całość wzajemnie powiązanych i wzajemnie uwarunkowanych części, wspiera się w znacznym stopniu na dyscyplinach z pozoru ezoterycznych; jeżeli jej rozszerzenie uchodzi za ważne, również gospodarczo, znajdują swoje miejsce i ich teologowie i historycy Bizancjum i specjaliści od języka urdu. Bezrobocie wykształconych, wegetacja na mizernych posadach czy praca w źle wyposażonych laboratoriach były dokoła mnie przyjmowane z pokorą, jako coś zwykłego. Możliwe, że moje obserwacje są wąskie, bo ograniczają się do Paryża, wyjątkowo twardego miasta, ale chyba mają i bardziej ogólne zastosowanie.

Nie przemawia przeze mnie gorzyc porażki. Jeżeli przez dziesięć lat żyje się z pióra i ma się względnie wysokie nakłady książek tłumaczonych na różne języki, trudno to za porażkę uznać. Tyle że nie lubiłem tego swego zawodu europejskiego literata. Książki moje były tłumaczone z polskiego, co powodowało ogromne trudności, ale pogodziłbym się i z nimi. Jednak zawód literacki to nie tylko papier i pióro. To także zdolności podobne do tych, jakie musieli mieć dawni dworacy utrzymujący się w pobliżu tronu króla czy księcia starannie obmyślaną taktyką, grą sojuszków,

ciągłym przypominaniem o sobie. Na moje ówczesne gaffy patrzę humorystycznie i dzisiaj mógłbym już bez wrogich uczuć narysować portret europejskiego wydawcy, od którego podpisu tak dużo zależało. Portret syntetyczny, na pewno krzywdzący dla niektórych moich zacnych chlebobdawców, choć zawierający także i pewne ich rysy. A więc taki potentat książkowego rynku jest żywym zaprzeczeniem zasady *business is business*. Nie tylko decyzje jego nie sprowadzają się do kalkulacji, bo wydaje co mu się podoba i często wyłącznie dla honoru firmy; zachowaniem się swoim daje także do zrozumienia, że honoraria jakie wypłaca autorom nie są czymś, co jest im winien, ale aktem jego łaski. Wszystko zależy od tego jak blisko jest się jego osoby w szumie i ciepłe pszczelego ulla, którym rządzi. Jeżeli blisko, potrafi wyłożyć ciepłą ręką wielką sumę potrzebną na kupno mieszkania, kurację czy wyposażenie córki. Potrafi też zapraszać swoich autorów na kulinarne festyny, płacąc rachunki równe ich rocznym budżetom. Co innego kiedy przychodzi do zwyczajnych wypłat należności. Skromne grosze trzeba wyciskać z trudem, zresztą jego księgi buchalteryjne są często poddawane tajemniczym machinacjom mającym na celu obniżenie podatków. W jaki sposób w kapitalistycznych przedsiębiorstwach przetrwał typ feudalnego pana, jest dla mnie niepojęte. Takich cech nie zauważyłem u amerykańskich wydawców, rzeczowych, dokładnych i przyziemnych. Zresztą wyjazd do Ameryki oznaczał dla mnie uwolnienie się od literackich honorariów jako jedyne go możliwego zarobku. Cuda zdarzają się, nie należy jednak ich nadużywać.

O moim pożegnaniu się z Europą przesądziły nie tylko oczywiste względy, dla których tak wielu zachodnioeuropejskich szolarzy i naukowców wywedrowało w ostatnich dwóch dekadach do Ameryki. Wiek dwudziesty jest wiekiem masowych exodów spowodowanych przez polityczne przewroty, co w tych rozmiarach jest nowością i dlatego formuła adaptacji musiała być dopiero przez samych emigrantów wynaleziona, przeszłość nie dostarczała tu dostatecznie ważnych na dzisiaj wskazówek. Jakakolwiek jest siła przywiązań do krajów rodzinnych, człowiek tylko chyba przez czas ograniczony może mieszkać z dala od nich, odnosząc się z niechęcią do tego co widzi co dzień, skarżąc się na obcość języka, obyczajów, instytucji, wyrażając wzrok i słuch ku utraconej ojczyźnie. Jesteśmy karmieni przez nasze zmysły i odbywa się w nas bez ustanku, choć nie jesteśmy tego świadomi, usilna praca polegająca na porządkowaniu chaotycznych postrzeżeń, układaniu ich w pewne całości. Zupelne *déracinement*, wykorzystanie, jest sprzeczne z naszą naturą i roślina ludzka, raz z gruntu wyrwana, stara się zapaść korzenie w ten grunt, na jaki ją rzucono. Dzieje się tak dlatego, że jesteśmy istotami cielesnymi to znaczy zajmu-

jemy w przestrzeni miejsce, to „miejsce” zamknięte powierzchnią naszej skóry nie może być jednak w „nigdzie”. Tak jak ręka wyciąga się i bierze ołówek leżący na stole, ustalając stosunek pomiędzy ciałem i tym, co jest poza nim, wyobraźnia przedłuża nas ustalając zmysłowy, obrazowy stosunek pomiędzy nami i ulicą, miastem, powiatem, krajem. U wygnańców ze wschodniej części Europy można często zauważyć rozpaczliwą odmowę pogodzenia się z tym faktem; próbują oni zachować ojczyznę jako przestrzeń idealną w której się poruszają, ale ponieważ jest ona tylko w pamięci, nie wzmacniana przez codzienne wrażenia, sztywnieje, przekształca się w słowa, tym bardziej zresztą uparte, im bardziej błędnie ich dotykalna treść.

Pięcioma zmysłami wrastałem we Francję, co było o tyle zrozumiałe, że pomimo wszelkich różnic pomiędzy jej prowincjami, Europa jest całością ukształtowaną przez wspólną przeszłość. Niemniej wybór przed jakim stoi się we Francji niezupełnie przypadł mi do smaku: można tam być albo Francuzem albo cudzoziemcem. Ścisłej, nie ma wyboru, skoro „francuskość” ma charakter niemal metafizyczny, nie związany ani z długim zamieszkaniem ani z rodzajem paszportu. Mój akcent naznaczał mnie piętnem obcości, ale tak samo naznaczał niektórych starych taksówkarzy paryskich, wiecznych emigrantów — nie pomyliłem się chyba ani razu przechodząc na rosyjski po zamienieniu z nimi po francusku paru słów. Ten akcent był jednak mój, stanowił moją własność, i nie usiłowałem wcale go się pozbyć, tak jak nie usiłowałem pozbyć się żadnych swoich dawnych przywiązań i lojalności. Co było najzupełniej dozwolone, ale dlatego, że wszelkie dziwactwa wybacza się cudzoziemcom. Trudno nawet uchwycić jak takie wyłączenie hamuje porządkującą pracę wyobraźni, która stara się np. prowincję Dordogne przyswoić, aż do takiego stopnia, żeby była „moja”, a nie zewnętrzna, chwilowa posiadłość turysty. W Ameryce ten mój zwykły chyba i zdrowy popęd to tego, żeby znaleźć się w domu nie natrafiał na takie przeszkody, bo wszystko tu było odwrotnie: akcent słowiański, przybycie z odległego kraju, niezniszczalne przyzwyczajenia i odruchy, które tam mnie wyłączały na stałe, tutaj przyczyniały się do mojej normalności, tak że byłem jednym z wielu w tłumie złożonym z przybyszów, przez to właśnie „amerykański”, że nie musiałem się niczego wyrzekać.

Myślenie nasze jest zawsze w niewoli pojęć, które kiedyś zrodziła jakaś rzeczywistość, ale które wiodą żywot autonomiczny, opóźniony. Przesiedlenie się do Ameryki w drugiej połowie naszego stulecia nie jest tym samym, co emigracja w dziewiętnastym wieku, ani nawet tym, co kilka dziesiątków lat temu. Ostatnie pozostałości epoki parowych maszyn, w ich duchowych odpo-

wiednikach, już rozprzegają się i giną, człowiek znalazł się przed czymś dotychczas jeszcze nienazwanym i choć jego świadomość nie nadąża ogólnym przemianom, odczuwa to wszystko co się dzieje z całym naszym gatunkiem jako olbrzymie, groźne i być może ostateczne. Doznanie „przełomu”, rozpadu, końca, nie zdarza się w dziejach cywilizacji po raz pierwszy. W Rzymie cesarskim żyło z tym wiele pokoleń, prawdopodobnie coś zbliżonego dręczyło millenarystów średniowiecza, Renesans tylko z pozoru był jasny i klarowny, w istocie zdobywał się z wysiłkiem na klasyczny ład wbrew mrocznym medytacjom o utracie tradycyjnych pewników, hierarchii, cnót. Cierpienie Ameryki, gwałtowność jej niemal nierozwiązalnych konfliktów, niepewność Ameryki, nie są na tle kolejnego wielkiego przełomu jej osobliwym losem, jakim był kiedyś, widziany z Europy, jej żywiołowy rozrost kolonizujący kontynent. I w niszczącym oddziaływaniu techniki na ludową wyobraźnię religijną, i w automacji, i w powszechności wykształcenia, i w lęku człowieka przed samo-zagładą przez zatrucie, stopniowe albo nagle, Natury, przygoda Ameryki ukazuje swoje rysy uniwersalne, zgęszcza, streszcza to, co dosięgło albo dosięga ludzi na całej ziemi. Od wynalazku ognia i wynalazku koła nie ma odwrotu, podobnie nie ma odwrotu od następstw nowoczesnej wiedzy rozpetującej reakcje łańcuchowe, choć wiele z nich ulega, tu i ówdzie, z różnych lokalnych przyczyn, zwolnieniu, powstrzymaniu, czy też po prostu cały zespół wzajemnie powiązanych czynników duchowych, technicznych, społecznych, toruje sobie drogę podziemnie, wbrew obowiązującym ideologiom. Większa niż gdzie indziej jawność, jawność w zagubieniu i w samooskarżeniu, zmienia Amerykę w pole doświadczenia całego ludzkiego rodu, przy czym ton destrukcji, sojusze rewolucjonistów i bohemy, są zapewne ceną za przekształcanie się z kraju materialnej potęgi w kraj poetyckich i filozoficznych przedsięwzięć.

Moja bezdomność: ale właśnie integracja w Amerykę jest przez to ułatwiona, że jej mieszkańcy zawsze cierpieli na bezdomność, wykorzenie, później nazwane alienacją — któż, poza Indianami, nie był tu *alien*? Z wyjątkiem rolniczych powiatów na Wschodnim Brzegu, wcześniej skolonizowanych, wszędzie wędrowiec i osadnik musiał opanować i uporządkować otaczającą go przestrzeń, nie tylko w sensie dosłownym, ale poprzez wyobraźnię czynną na jawie i we śnie. Gdyby to sprowadzało się do przenosin z jednej siedziby do innej stałej siedziby — ale nie, nawet na to nie pozwalała przemysłowa ruchliwość. W tych warunkach nie należy się dziwić, że samym rdzeniem literatury amerykańskiej zawsze było pytanie: „kim jestem?”. Swoją tożsamość jednostka ustala fizycznie, odnosząc siebie do przedmiotów w zasięgu ręki i wzroku, rozciągając, co tak zdobyła, na wioskę, powiat, kraj,

następnie na przeszłość tego kraju, która musi być jakoś dostępna, zaczepiona o szczegół, w przeciwnym razie jest „nigdzie”. Tam, gdzie to niemożliwe, szuka się środków zastępczych i takie jest znaczenie odkrycia jakie zrobił Walt Whitman posługując się zapożyczonym z francuskiego słówkiem *en masse*. Jeżeli *en masse*, to nie zaczynam od mego zamku rycerza, chaty chłopca, sklepu mieszczanina, jestem Każdym i muszę siebie określić w powszechnej płynności, wobec zbiorowiska ludzkiego w ruchu złożonego z Każdych. Jest to nadludzko trudne, bo upadają wyróżniki podtrzymujące, wspomagające moją indywidualność (jak choćby co najbliższe ciała, czyli strój, znak przeciwstawienia się grupy, do której należę, innej grupie) i „ja” jest oglądane przez siebie z zewnątrz, niby eksponat za szybą, co sprzeciwia się jego w-sobności. Nie mówię tutaj o żadnym rozplynięciu się w masie, o współnocie temperatury i rytmu (charakterystyczne, że w Europie odczytywano Whitmana jako barda masowych wieców i pochodów), ale o odniesieniu siebie do innych, osobnych ludzi, tak samo jak ja wtrąconych w pozycję geograficznie chwiejną. Już sto lat temu ta *masse* była „samotnym tłumem”.

Niezamierzone prekursorstwo Ameryki polega na tym, że nastąpiło w niej wcześniej i na większą niż gdzie indziej skalę wydarciu drobin ludzkich z ich gleby, wydarciu, które miało się upowszechnić w następstwie opóźnionej na wielu obszarach rewolucji przemysłowej, jak również wojen i politycznych przewrotów. Kraj wygnania *per se* zawarł w sobie niejako *paradigm* wszelkiego wygnania. Co więcej, także wygnania z przestrzeni istniejącej w umyśle, zhierarchizowanej przez tron Boga. Cywilizacja europejska wspierała się na pewnych przestrzennych odpowiednikach czy przekładach prawd religijnych. Były to zarówno układy pionowe: Niebo, Ziemia, Piekło, jak poziome — niebezpieczne wyprawy rycerzy w poszukiwaniu Graala, legenda wojen krzyżowych o grób Chrystusa, czy też podróże po trudnych do przebycia drogach, ilustrujące powolny postęp duszy ku zbawieniu, mimo osaczających ją diabelskich pokus. Nawet szesnastowieczny polski traktat wierszem o spławianiu zboża rzeką („Flis” Klonowica) jest chwilami alegorią o doczesnej pielgrzymce chrześcijanina do upragnionego portu. Zupełnie inne obrazy pojawiają się kiedy zaczęto wyrażać niepokój wobec przestrzeni obezwładnionej przez upadek wiary religijnej. Jest to przestrzeń nie poddająca się woli, bezużyteczna, bezsensowna, a więc przede wszystkim jałowizny wielkich miast, śmietniki, place pokryte blaszanymi odpadkami zarosłe pokrzywą, rodzaj otchłani, którą niegdyś miały zamieszkiwać dusze nie znające dobra ni zła. W dwóch najbardziej chyba reprezentacyjnych sztukach „teatru absurdu”: „Czekając na Godota” i w „Ach, piękne dni” Becketta, akcja

dzieje się w „nigdzie”, materialne kształty występują tylko jako symbole bezcelowego, kolidującego się czasu. Otóż Ameryka, i wskutek żywiołowości i wskutek zasadniczej anty-organiczności swego wzrostu, stworzyła krajobrazy odpadków, śmietnisk, rud, neonowych pustyń wcześniej niż zajęła się tym wyobraźnia poetów, tak że bez przesady można powiedzieć, że nieustalona, zaprzeczająca naszemu pragnieniu ładu przestrzeń służy tu za scenę sztuki odgrywanej nie na deskach teatru, której postaciami są Każdy i Każdy. Łatwość z jaką przyswajają wytwory amerykańskiej kultury mieszkańcy innych kontynentów ma powód w tym, że nie musi ona nawet zbyt metaforyzować rzeczywistości, sama ta rzeczywistość jest metaforą przekazującą wieść o człowieku wydziedziczonym.

Jednym ze stałych już ingredientów cywilizacji w jakiej żyje, jest skarga utraty, nostalgiczne marzenie zwrócone w przeszłość, upiększające dawną zgodę z Naturą, pierwotną niewinność, pełne włączenie w plemienną wspólnotę, hieratyczną przestrzeń rozpiętą pomiędzy rolniczym powiatem i Niebem. Idzie to w parze z furią zwróconą przeciwko temu wszystkiemu, w czym znaleźliśmy się, niedostrzegalnie przepływającą w furję przeciwko istnieniu w ogóle. Kontrast pomiędzy nigdy dotychczas niespotykanymi w dziejach osiągnięciami techniki i medycyny, zasadniczo przychylnymi środowisku ludzkiemu, i tak ponurym stanem umysłów jest mocno enigmatyczny, tym bardziej, że strach przed globalną katastrofą (wojna atomowa, zatrucie oceanów przez produkty chemiczne), która może nastąpić albo nie nastąpić, zdaje się być używany tylko jako pseudonim głębszej i trudniejszej do nazwania choroby. „Niemożność życia”, tak udręczająca np. młodych Amerykanów, świadczy prawdopodobnie, jak to już się nieraz zdarzało, o wyczerpywaniu się pewnych duchowych zasobów i zawieszeniu pomiędzy czymś, co się kończy i czymś, co się jeszcze nie zaczęło. Amerykański filozof José Ferrater Mora pisze o starożytnych szkołach Cyników, Stoików i Platoników jako niemalże nam współczesnych, bo wszyscy oni szukali sposobu ocalenia, starając się siebie zachować wobec społeczeństwa odczuwanego jako chaos, na który pojedynczy człowiek nie może mieć wpływu. Ich to zapewne dzieła o wiele, wiele później, kiedy średniowieczny porządek „wychodził z trybów”, studiował w Wittenberdze Hamlet, chociaż w momencie próby nie chciał ograniczyć się do postawy wycofania i na swoją zgubę postanowił zło w zamku Elsynory uleczyć.

Chociaż ma się dzisiaj skłonność wyolbrzymiać wyjątkowość naszego położenia, tak zwana nasza epoka zaczyna się gdzieś na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku i powinna być rozpatrywana jako całość. Wyróżnia ją jej centralny problem filo-

zoficzny dojrzewający powoli wskutek krytyki, jakiej poddano tradycyjne wierzenia chrześcijańskie i arystokratyczne instytucje, z monarchią na czele. Jest to problem politycznego terroru, który świadomym i czystym, jeżeli posłużą się nim umiejętnie, pozwoli dokonać odkupienia i przeobstwienia człowieka. Zachodzi ścisły, funkcjonalny związek pomiędzy wszelkimi rodzajami nihilistycznej rozpaczki wobec świata nieodkupionego przez Boga, pustego, bo opuszczonego przez Opatrzność, gdzie zło i dobro pozbawione są wyższej sankcji, i tym porywem woli postulującej rozum przeciwko powszechnemu nierozumowi. Prawdziwymi rewolucjonistami byli poeci i artyści, nawet najbardziej eteryczni i dalecy od jakichkolwiek krwiożerczych zamiarów, bo oczyszczali pole, czyli działali jako organizatorzy wyobraźni zbiorowej na nową miarę, miarę samotności człowieka jako gatunku. Stąd zatarcie granic pomiędzy artystyczną bohemą i zwolennikami politycznego czynu. W europejskim romantyzmie można dostrzec rozpad tej idealnej przestrzeni, która odpowiadała zarówno zakorzenieniu człowieka w jego rodzinnej wiosce, jak aspiracjom duszy dążącej do Nieba. Przestrzeń dynamizuje się, wymyka się z „teraz”, bo „teraz” jest potępiane jako nieznośne, zrasta się z przestrzennymi, siłą rzeczy, obrazami historycznego czasu. Nie to jest istotne, że jedni romantycy wolą zwracać wzrok z nostalgią w przeszłość, marząc o średniowiecznych zamkach, rycerzach i minstrelach, inni wytyżają się w prorocत्वach, skoro i jedni i drudzy (często ci sami) za swój wymiar obrali przeszłość i przyszłość, ruch zstępujący i wstępujący. Sprzężenie z dynamicznymi pierwiastkami chrześcijaństwa (Mesjasz, oczekiwanie nowego Przyjścia) i z ewolucjonizmem nauk biologicznych pchało ich i ich następców do wiary w Postęp, ale korzystali z tego w ostatecznym rachunku ci najgorętsi i najbardziej logiczni, którzy samoczynnemu postępowi zaprzeczyli, przeciwstawiając mu akt świadomej woli przerabiającej oblicze ziemi. Terror polityczny ma zaszczytną genealogię, w nim ogniskują się wszelkie najzawilsze dociekania i Dostojewski chyba miał rację kiedy postawił dylemat: albo Bóg-człowiek albo człowiek-Bóg. Toteż ukoronowaniem europejskich duchowych dążeń stał się ulepszony, pełniej teoretycznie uzasadniony, terror-zbawienie cnotliwych Jakobinów; ulepszony przez Marksa i jego uczniów. Inna niż w Ameryce odmiana *en masse* powoływała do życia obraz kierunkowo zorientowanej przestrzeni. Zamiast doczesnej pielgrzymki duszy po wąskiej ścieżce wśród przepaści i sideł, marsz narodów z niewoli egipskiej kapitalizmu przez pustynię (tymczasowego) niedostatku i (tymczasowego) terroru pod przewodnictwem wodzów-kapłanów czy też budowanie (bardzo dziewiętnastowieczne, cegła po cegle) socjalizmu.

Przeznaczeniem zachodniej Europy był eksport i następnie pod-

bój jej samej przez to, co eksportowała. Jej ciało uciekało przed zapiekłym, sformalizowanym gwałtem walki o byt za ocean, wołając bezdomność i nadzieję niż swojskość i beznadziejność. Jej duch wykazywał skłonności kontynentalne, działając i po jednej stronie Uralu i po drugiej. Kiedy wreszcie nastąpił upadek, a decyzję przeniosły się do Ameryki i Rosji, miało to wygląd przypowieści z morałem. Przysłowie powiada, że w domu powieszzonego nie mówi się o powrozie. Ta Europa, w której mieszkałem po wojnie, starała się udawać, że nie ma żadnego powroza. Jej marzeniem był powrót i do tego sposobu życia i do tych myślowych przesłanek, z których wnioski zostały już wyciągnięte gdzie indziej.

Ameryka kiedyś europeizowała się technicznie, po to, żeby zaraz Europę w tym przewyższyć. Teraz odbywa się jej inna europeizacja. Bo oczywiście powszechność wykształcenia oraz szacunek dla literatury i sztuki, wpajaniem którego zajmują się zastępy inteligencji zatrudnionej w *college*'ach, uniwersytetach i instytucjach badawczych, może oznaczać to tylko, że zaszczepia się na rodzinnym drzewie przeróżne europejskie idee razem z ich wewnętrzną rozwojową logiką. Podobnie kiedy w niezbyt okrzęsianym Rzymie zaszczepiano Grecję, nie ograniczało się to do Homera i Pindara, przeciwnie, przenikała w umysły również cała schyłkowa myśl i sztuka hellenistyczna.

I z powodu handlowej skuteczności masowych środków przekazu premijującej jaskrawość, brutalność, sex, i z powodu samobójczej niemal wolności wypowiedzi pod pretekstem „sztuki” jak też z powodu szczególnych cech amerykańskiego szkolnictwa, to, co otrzymują młode pokolenia zasługuje na nazwę ćwiczeń w nihilizmie. Wychowanie bez indoktrynacji jest czymś nowym — dotychczas zawsze próbowano młodych indoktrynować — religijnie, socjalistycznie, nacjonalistycznie, jednak amerykańscy wychowawcy sami nie mają żadnych fundamentalnych wierzeń na których mogliby się oprzeć. Według Herberta Marcuse ten właśnie brak jakiegokolwiek kierunku równa się najbardziej podstępnej, ukrytej zaprawie do egzystencji bestialskiej, sprowadzonej do zarobku i spożycia. Jednak Marcuse nie reprezentuje nic innego niż europejską fazę post-nihilistyczną czyli przemawia w imieniu człowieka, który najpierw utracił wyobrażenia i wartości ugruntowane metafizycznie, hierarchizujące przestrzeń, następnie postanowił wartości sam postulować w przestrzeni społecznej, zakładając, że ta może być racjonalna i przejrzysta tylko jeżeli zastosuje się polityczny terror. Tak więc spór Marcuse'a z Ameryką jest właściwie sporem z nieokreślonym „otwarcie się” na tak zwaną kulturę, w czym, na skromniejszą skalę, ćwiczyła się Europa mieszczańska. To „otwarcie się” dawało w wyniku równowagę i całkowitą relatywizację idei, w praktyce natomiast zapewniało

dźwięczność i nośność tylko tym ideom, które obrysowywały konturem postawę goryczy, rozpacz, niepotrzebności we wszechświecie; owocem tego była zwykle albo zgoda na egzystencję zarobku i spożycia, albo, u bohemy, ubóstwienie Sztuki przez wielkie S jako jedyne absolutu. Czy też, w następnej fazie, tęsknotę do politycznego terroru.

Brak indoktrynacji jest dzisiaj nie tylko równoznaczny z „otwarcie się”, także z uległością wobec pewnej, przez nikogo nie zaplanowanej, propagandy. Masowe środki przekazu są jak magiczny pierścień, który, kiedy go się włoży, pozwala widzieć w jednej chwili wszelkie cierpienie, wszelką krzywdę, wszelką niesprawiedliwość, i w Ameryce i na całym świecie. Dobro, triumf ludzkiej woli i wytrwałości są wyłączone jako niedostatecznie podniecające i mało sprzedawne. Odkrycia naukowe, budowa gigantycznych tam, mostów, szos, te osiągnięcia, które w krajach totalitarnych byłyby roztrąbiane jako wiekopomne, otrzymują wzmiankę *petitem* w gazecie albo minutę na telewizji: któżby się przejmował tak zwykłymi, nudnymi sprawami? Oczywiście w Ameryce jest nieszczęście *gett*, jest mnóstwo krzywdy i nędzy, ale więcej było przed pół wiekiem, wtedy jednak świadomość nie obcowała z tym na co dzień. Ziemia zawsze była pełna ludzkich męczarni, ale równoczesne ich ogarnięcie nie leżało w możliwości mieszkańców zamkniętych w sobie gmin i powiatów. Gniew moralistów buntujących się przeciwko złu dostarcza teraz usprawiedliwienia dla masochistycznych orgii. Zupełnie uczuciowy, ślepy protest zaciera różnice pomiędzy złem mniejszym i większym. Pocziwy rektor *college*'u sprzeciwiający się najzupełniej bezsensownym żądaniom studentów zostaje publicznie nazwany Hitlem albo Eichmanem, prezydenta kraju przedstawia się w teatralnej sztuce jako Macbetha z zakrwawionymi rękami, a jego żonę jako lady Macbeth. Przy takim stanie umysłów nie można się dziwić, że terror polityczny zaczyna być zaopatrywany znakiem plus i że nie uchodzi za właściwe zastanawiać się ile przez jego użytek zyskuje się, ile się traci.

Zaprawa w europejskich nihilistycznych rozrywkach i doświadczalna wiedza o ich skutkach nie pozwalają mi odnieść się życzliwie do konformizmu jęków i złorzeczeń obowiązującym w Ameryce intelektualistów, na ogół znakomicie zaopatrzonych w dobra doczesne. Jest to konformizm tak daleko posunięty, że przypominają oni niekiedy barany Panurga, o czym łatwo się przekonać, czytając redagowane przez nich i obliczone na ich gusta periodyki. Ironiczny opór wobec tej mody jest dla mnie być może rodzajem obowiązku, choć powstaje duża trudność komunikacji kiedy pewne wątpliwe i warte do sprawdzenia tezy są przyjmowane w panującym duchowym klimacie jako oczywiste.

Zachodzi prawdziwa, nie urojona sprzeczność pomiędzy naszym pragnieniem, żeby świat ludzki był przejrzysty, rozumny, i panowaniem prawa, które obezwładnia albo opóźnia rozsądne plany. Sprzeczność ta staje się szczególnie ostra wobec skrajnych niebezpieczeństw wymagających szybkich i radykalnych środków zaradczych. Za przykład można tu obrać zagładę środowiska naturalnego, zmieniającą całe regiony Ameryki w pustynię i śmietnisko, tudzież walkę, rzadko wygrywaną, o ustawy wymierzone przeciwko prywatnym interesom. Jeżeli poszczególny człowiek widzi co byłoby rozumne ale jest bezsilny, powstaje poczucie ogólnej nieprzejrzystości i absurdu, co z kolei prowadzi do marzeń o politycznym terrorze, które to marzenia znajdują zresztą przeważnie wyładowanie zastępcze w gwałtownym tonie wierszy, powieści, malowideł. Chociaż w Rosji carskiej postępową inteligencją miała zupełnie inne zamierzenia, wzorzec myślowy jakim się posługiwała nie był bardzo różny od wzorca jej dzisiejszych młodych amerykańskich kuzynów. Bezsens musiał być zmieniony w sens czyli korupcja uleczona siłą. Niestety ta inteligencja miała się przekonać, że zwycięstwo politycznego terroru, usuwając jeden absurd, zastąpiło go innym i że biurokratyczna dżungla jest jak najmniej przejrzysta.

Jak działa system amerykański zupełnie nie rozumiem, nie rozumiem też czym kieruje się pragmatyczny umysł. Możliwe, że ma on jakiś wstręt do wszelkich ciągów logicznych w rodzaju: jeżeli *a*, to *b*, jeżeli *b*, to *c*, jak również do wszelkiego planowania zawczasu i zawsze zabiera się do pilnych zagadnień tylko w ostatniej chwili (jeżeli nie pięć minut za późno), pod ostatecznym przymusem. Jak dotychczas, dość szczególna była zdolność tego zbiorowego organizmu do przyswajania niespodziewanych składników. Zdarzało mi się być świadkiem konfliktów, które na mój europejski rozum nie mogły być zakończone żadną ugodą. Wobec rozwiniętych w tych okolicznościach talentów do kunktatorstwa i parlamentarnych kompromisów zachowywałem wstrzemięźliwość cudzoziemca, bo byłem świadomy moich ograniczeń. Próbując nazwać to, co mnie wyróżniało, doszedłem do wniosku, że była to skłonność do rozumowań wywodzonych z jakiejś zasady czyli pociąg do abstrakcji odbierającej wielu moim sądom przydatność; bardziej jeszcze może, wstyd ustępstw, ale naokoło mnie nikt ustępować się nie wstydził, jeżeli wymagał tego układ sił. Toteż ramy dla terrorystycznych zapędów są niejako z góry przygotowane, wyznaczając tym zapędowi rolę szantażu dla wycisnienia przywilejów, w czym mistrzami amerykańskiej polityki zdają się być dzieci, bo one to odkryły, że można skutecznie rodziców sterroryzować, tak że pozwolą nawet stawać na głowie, dla świętego spokoju. Cokolwiek szokuje, obraża i przeraża, jest opłacal-

ne, a niemając wagę ma fakt, że opłacalne również handlowo. Znaczna ilość radykalnych pomysłów europejskiej bohemy, utrwalonych w dziejach nowoczesnej sztuki, była odpowiedzią na wszechwładzę rynku. *Pour épater le bourgeois* oznaczało, że tak tylko trafia się do jego kieszeni. Tak samo dzisiaj amerykańska „prasa podziemna” nie sprzedawałaby się gdyby w makabrze i świadomie stosowanej ohydzie nie prześcigała surrealistów i gdyby równocześnie co drugi z jej współpracowników nie podawał się za wcielenie Che Guevary. Ta czająca się tuż za kulisami opłacalność protestu nie wyklucza szczerości wrogich uczuć, niemniej jednak modom umysłowym nadaje cechę teatralnego widowiska, co jest dokładnym przeciwieństwem powagi Rosjan w carskim imperium.

O powołaniu narodów nie wiemy nic pewnego i tylko na oślep dotykamy raz po raz stałych dominant, powtarzających się w ciągu dekad czy stuleci. Nieraz wydaje mi się, że powołaniem Ameryki jest nigdzie indziej nie spotykana podwójność: desperacji i sukcesu. Moim odległym poprzednikiem w emigracji na ten kontynent był Julian Ursyn Niemcewicz, który przybił do jego brzegu w 1796 roku. Niemcewicz był człowiekiem Oświecenia, wrogiem autokratycznych monarchii i entuzjastą amerykańskiej republiki. W ówczesnym wielkim sporze o Rewolucję Francuską zajmował stanowisko umiarkowane — sympatyzował z nią w jej początkach, później, w okresie terroru, znacznie ochłódkł. W swoich „Podróżach po Ameryce” odnotowuje wizytę u zamożnego farmera, przez to przykrą, że ten rumiany obywatel zanudzał go narzekaniem na ogólny marazm i apatię. Jak to nieraz miało się przytrafiać zbiegom z Europy w ich rozmowach z amerykańskimi zrozpaczonymi moralistami, Niemcewicz po prostu milkł. I tylko to sobie zapisał:

„— Potrzeba nam rewolucji — mówił p. Logan — jedynie ona może nas ocalić. Ale czy panowie dacie wiarę, że nasz lud nie chce o niej słyszeć, tak już jest zdeprawowany. Ach, gdybym był teraz we Francji, gdybym widział to, co się tam dzieje, jakże bym się cieszył.

Szalony — powiedziałem sobie — nie wiesz, czego pragniesz. Masz duży i wygodny dom, pola dające ci w czwórmasób to, czego potrzebujesz, żyjesz pod wolnymi i mądrymi prawami, a wzdychasz za przewrotami i krwią. Jesteś fanatykiem, przyjacielu, twój mózg jest chory, spokój i dostatek, w którym żyjesz, ciąży ci, nudzą cię, czujesz potrzebę wrażeń i wstrząsów, choćby to miało być ruiną domu i twego kraju. Ale jedź do Francji, jedź do Europy, zobacz, co się tam dzieje, a powrócisz uzdrowiony z twego szaleństwa”.

Chociaż tak wiele się zmieniło w losach poszczególnych krajów, niektóre zdania tegoż Niemcewicza o Rosji, gdzie przed wyjazdem do Ameryki spędził dwa lata jako więzień Petropawłowskiej twierdzy, nadal nie są pozbawione aktualności. A tutaj nie

bez powodu co raz to narzuca się mojej pamięci przytoczony fragment z „Podróży po Ameryce”.

Kiedy byłem studentem, trzeźwość myśli i sceptycyzm co do wspaniałych hasel obiecujących rozwiązanie całkowite gniewały każdego z nas i zawstydzaly, należało je w sobie tłumić jako słabość. I niewątpliwie teraz, kiedy patrzę na to z perspektywy, muszę przyznać, że zdrowy rozum zawsze przegrywał, jakby potwierdzając, że dobry jest tylko w kręgu jednostki ale do spraw ludzkich zbiorowisk nie ma zastosowania. Przegrywał jednak tylko na względnie krótką metę i tu okazywało się, że naprawdę tylko jednostka jest realna, nie masowe ruchy w których sama się dobrowolnie zatraca, żeby uciekać od siebie. Nigdy nie uważałem się za pisarza politycznego i nie mam ambicji zbawiania Ameryki czy świata. Tu i teraz staram się tylko odpowiedzieć sobie na pytanie czego w Ameryce się nauczyłem i co w tym jest dla mnie szczególnie cenne. Streszczę to w trzech za i przeciw: za tzw. przeciętnym człowiekiem, przeciw arogancji intelektualistów; za tradycją biblijną, przeciw poszukiwaniom jednostkowej albo kolektywnej Nirwany; za nauką i techniką, przeciw marzeniom o pierwotnej niewinności.

Z zamieszkania w awangardowej Kalifornii wyciągnąłem, myślę, korzyści samowychowawcze. Trzeba tutaj jakoś ułożyć się ze swoją dumą. Każdy literat w swoich optymistycznych chwilach uważa się za geniusza i jeżeli mieszka w swoim niedużym kraju, różniącym się językiem od krajów sąsiednich, może znajdować różne potwierdzenia pochlebnych mniemań o sobie. Pisząc w Ameryce po polsku (bo poeta może używać tylko języka swego dzieciństwa) pozbawiam się tej wygody. Ale właściwie nie chodzi o język, ani, jak we Francji, o cudzoziemskość. Związki pomiędzy poetą i czytelnikami są inne tutaj niż tam skąd pochodzę, na skutek obszaru i ludzkiej masy, zresztą zawsze były inne niż w krajach słowiańskich. Muszę więc po prostu stwierdzić, że jestem jednym z wielu poetów nad Zatoką San Francisco. Większość z nich pisze po angielsku, ale są i piszący po hiszpańsku, po grecku, po niemiecku, po rosyjsku. Choćby ktoś z nich miał rozgłos, w codziennych stosunkach z ludźmi jest anonimem, a więc znów jednym z wielu, w innym, szerszym znaczeniu. Cokolwiek nasycy naszą próżność stanowi bardzo skuteczne *divertissement*, jedno z tych, do jakich zdaniem Pascala ciągle ucieka się człowiek, byle przesłonić daremność swoich zabiegów i strach śmierci. O jedno przynajmniej, ale za to główne, *divertissement* jest w Ameryce trudno, skoro poruszamy się w niej jako drobiny „samotnego tłumy”. Nieco podobnie musieli się czuć mieszkańcy kosmopolitycznego, grecko-żydowsko-latyńskiego Rzymu. Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że jestem wyższy nad takie drobiazgi jak

chęć sławy i uznania. Tyle, że Ameryka przyciska do muru i zmusza do nieco stoickiej cnoty: wykonywać co się robi możliwie najlepiej i zarazem zachować wobec tego dystans, który pochodzi z uświadomienia sobie niewiedzy, dziecinności, niepełności własnej i wszystkich ludzi.

Wszystkich ludzi. Dzielenie ich na nielicznych wiedzących i tępą masę, która nie uświadamia sobie, co dla niej jest pożyteczne, porządnie mi się znudziło i nie chcę być jednym z wybranych ciągnących masy ku Utopii przemocą. Wychowana w dostatku młodzież, z jej maskaradą żebraczych strojów i rewolucyjnych idei, budzi we mnie mniej szacunku niż ciężko pracujący drwale, górnicy, szoferzy autobusów, murarze, których mentalność jest dla tej młodzieży przedmiotem pogardy. Być może jest to tyle razy wyśmiewana naiwna mentalność Amerykanina czytającego Biblię i przekonanego o własnej szlachetności. A jednak to, że Ameryka jest nadal krajem Biblii ma i będzie miało trwałe skutki. Jakikolwiek jest zasięg wykruszania się religijnych wierzeń, Wersja Króla Jakuba stanowi sam rdzeń języka, przesądziła o jego literackim rozwoju, do niej bez ustanku odsyła dzieło Whitmana, Melville'a i ich następców, Pismo jest wspólną własnością wierzących, agnostyków i ateistów. Ktoś, kto jak ja, sprawdził doświadczalnie jak dużo zależy od ukrytych ludzkich zalet, nie będzie lekkomyślnie podawać pewnej ociężałej przyzwoitości i bezinteresowności, choćby połączonej z umysłowym ograniczeniem, za zwyczajną głupotę, ani zrywać się na wywodzące się z Biblii przeciwstawienie: *goodness* i *wickedness*, prawość i nieprawość. Pomimo argumentów przeciw, jakie można przytoczyć, pomimo paradoksu brutalnych i okrutnych czynów powodujących niezamierzone, sprzyjające dobru, skutki, czy też właśnie przez ten paradoks, Ameryka jest prawowitą dziedziczką cywilizacji judeo-chrześcijańskiej, wezwaną do prac technicznych, jakie ta tylko jedna pośród wszystkich cywilizacji umożliwiła. Toteż słuszna i piękna była decyzja amerykańskich astronautów, którzy lecąc nad powierzchnią księżyca zwrócili się do mieszkańców Ziemi ze starym postanowieniem, odczytując początek Księgi Genezy.

Jedną z przyczyn obecnego myślowego chaosu jest zakłócenie hierarchii pomiędzy poszczególnymi dziedzinami naszej działalności. Labirynt ludzki coraz bardziej się komplikuje i język z tkanki łącznej zmienia się w nadrzędną potęgę, czy to będzie język złożony ze słów, czy z elektronicznie przekazywanych obrazów, czy z brył i plam barwnych. Nie wiadomo nawet czy, zważywszy na samoistny, zwariowany rozrost języka, mamy prawo używać starzejących się pojęć literatury i sztuki, ale wszedłszy raz, w dziewiętnastym wieku, na ten tor, od języka oczekuje się objawień. Jednakże nasz los nie zależy od tego, co nazywano

niegdyś *humaniora*, ale od religii i nauki. Na szczęście i biblijność i technologia Ameryki o tym przypomina, wbrew moim zawodowym wypaczeniom humanisty. Jutro jakiegobyśmy chcieli dla planety Ziemi — sprawiedliwość, pokój, usunięcie głodu i nędzy — jest mało prawdopodobne jeżeli nie nastąpi zasadnicza konwersja. Kaznodziei nawołujących do wewnętrznej odnowy, „odnowy serc”, było zawsze mnóstwo, nic to na ogół nie pomagało na okrucieństwo i krzywdę, i moi przyjaciele sądziliby, że postradałem zmysły, gdybym wystąpił z ewangelicznym wezwaniem. Nie liczę jednak wcale na wysiłek woli, ale na to, co jest od woli niezależne: na dane, któreby na nowo uporządkowały naszą wyobraźnię przestrzenną.

Nie można zahamować wyobraźni zawsze zmierzającej do składowania wszystkiego, czego uczymy się o kosmosie i człowieku w harmonijne, symbolami wspomagane zespoły, czyli do światopoglądu. Jeżeli jeden taki zespół zostaje utracony, wyobraźnia albo przebywa w pustce, tworząc obrazy rozdzierającego bezsensu (który jednak już jest sensem, tylko negatywnym), albo przystępuje do wprowadzania ładu, posługując się materiałami, jakie ma do rozporządzenia. Powiedzmy, nie wstydząc się, że jesteśmy dziećmi przed kupą beładnie rozrzuconych klocków: żadne dziecko nie oprze się chęci samych jego rąk, wyrażającej potrzebę jego umysłu. Idee polityczne i społeczne nie mogą być rozpatrywane same w sobie, bo są ogniwem zaczepionym o kilka podstawowych wyobrażeń. Idee, które są obecnie działającą siłą, powstały z rozpadu przedkopernikańskiego układu. Był to układ statyczny, Niebo ciągnęło w nim w górę, Piekło w dół, a zło było w nim niejako oswojone, skoro jego doza nie ulegała zmianie. Zastąpił go układ dynamiczny, w którym „wycyfywanie się” Bóstwa nie oznaczało, że wyrzekano się Nieba: przestrzeń stała się w nim ruchem opatrnościowego, zbawiającego czasu, Piekłem teraźniejszość, Niebem przyszłość. Ktokolwiek dopatry się w tych prostych stwierdzeniach tylko moich obsesji, zechce zastanowić się nad tym, czym zajmują się teraz katolicy teologowie. Zorientowali się oni z opóźnieniem, że lekcja prawd wiary dostosowana do przedkopernikańskiego układu natrafia na nieświadomy, niezależny od niczyjej woli wierzenia, opór najbardziej nawet gorliwych chrześcijan, zaczęli więc ją dynamizować, wprowadzając obrazy pochodzenia ludzkości w czasie, zmniejszającego się zła, historii jako chrystologicznego procesu, do tego stopnia, że niektóre katolickie katechizmy zaczynają się od rozdziałów jakby z podręcznika o materialnej i moralnej ewolucji. Jest to o tyle uprawnione, że „boska pedagogia” kierująca ruchem leży u samych podstaw judeo-chrześcijaństwa, w przeciwieństwie do egipskiej i greckiej wizji kolistej. Trudno jednak nie zauważyć, że ta naga gorliwość w sięganiu do

własnych, długo złożonych w chłodnym schowku, bogactw, jest próbą dostosowania się do przesunięć w zbiorowej wyobraźni, jakie dokonały się poza Kościołem, bez jego udziału i wbrew jego zamiarom. Współzawodnicząc w dostarczaniu ludziom pociechy z laickimi postępowcami, teologowie niekiedy posuwają się tak daleko, że wspominać o diable uważają za niestosowne. Zło nie ma żadnej wagi, ponieważ kiedy panuje jest już *Złem byłym* (a co z niewinnymi, umierającymi w torturach, po to żeby spełniała się świetlana przyszłość?). Mnóstwo wypowiedzi wysoko postawionych osobistości katolickich brzmi tak, jakby pochodziły do nicości i chaosu, w jakich musi przebywać, dopóki nie przeszy Kościół traktował wówczas co najmniej z dezaprobatą. Dowodziłoby to, że nie ma wielu wyjść z nihilistycznego bezwładu, że właściwie jedno tylko jest przygotowane: wylot w przyszłość, zaprzeczenie złej teraźniejszości. Amerykański hippie przerzucający się do akcji politycznej i duchowny, który chce go pozyskać ogłaszając wszem i wobec swój społeczny zapał, posuwają się tą samą drogą.

Układ dynamiczny jest z nami i zostanie. Stary argument konserwatystów: że skoro człowiek jest istotą skażoną, ziemia była i będzie padołem płaczu, że *plus ça change, plus c'est la même chose*, niezbyt nas przekonuje. Jednakże trudno pozbyć się podejrzania, że wyobraźnia, jeżeli utrzymuje jaką taką równowagę tylko dopóki śpieszy naprzód, wyprzedzając czas, ucieka się do surogatów. Popycha ją nie tyle wiara w jakąś lepszą ludzkość, ile odraza do nicości i chaosu, w jakich musi przebywać, dopóki nie przeszkakuje dystansu pomiędzy dziś i hipotetycznym jutrem. Ta ukryta motywacja może zachęcać do chwycenia się czegokolwiek, nawet najbardziej głupawych i nieludzkich ideologii. Przykłady umiejętnie podtrzymywanego samozaślepienia są w naszej epoce tak liczne, że nawet nie warto ich cytować. Pytanie więc, czy jaka taka mądrość w naszej ocenie programów i planów nie zależy w pierwszym rzędzie od pozbycia się przez wyobraźnię bezdomności tu i teraz. Jeżeli wolno mieć nadzieję, to tylko dlatego, że te obrazy wszechświata i naszego w nim losu, których człowiek po prostu niezdolny jest znieść, zdają się być spóźnionym spadkiem myśli Newtona o wielkim mechanizmie, podczas kiedy nowe elementy są rozproszone, niescalone.

Religia, niezależnie od wewnętrznej erozji wyznań, jest może w lepszej (potencjalnie) sytuacji niż była sto lat temu. W tysiącach dzieł antropologii i psychologii, w tysiącach studiów o mitach i symbolach w literaturze, przedostaje się do świadomości zbiorowej rodzaj pokornego podziwu dla archetypów znajdujących w religii kształt, dla zarysów tego, co można nazwać niezmienną ludzką naturą. Sprzyja to pokusom synkretyzmu, i tu znów podobieństwo

z imperialnym Rzymem, gdzie w pewnym momencie współlistniały ze sobą kult Mitry, manicheizm, gnoza i chrześcijaństwo. Co prawda już sceptyczny umysł europejskiego Oświecenia równouprawniał religie, poddając je kontroli rozumu. Dzisiaj jednak narzuca się wszystkim zupełna niesamowitość i zagadkowość istoty ludzkiej, istoty żyjącej podziemnie, częściowo tylko wynurzzonej na powierzchnię, toteż bynajmniej nie „racjonalność” wyznań dostarcza kryterium, szala przechyla się raczej na stronę wiary jako tajemnicy jednostkowej wolności i jednostkowego przeznaczenia. Równocześnie obrzęd, który dla racjonalistycznie usposobionych pokoleń był martwą literą, nabiera dużej wartości, ponieważ nie tylko w teatrze Każdy występuje jako zależny od „przestrzeni międzyludzkiej”, czy też, jak to nazywa Witold Gombrowicz, od „między-ludzkiego kościoła”; ludzie już wiedzą, że swoimi gestami, spojrzeniami, słowami, zawsze „zarażają się” wzajemnie. Obrzęd konstruuje przestrzeń sakralną pomiędzy pewną liczbą zgromadzonych. Stąd nie tylko radykalne próby odnowy liturgii w kościołach i na zebraniach prywatnych, również obrzędy ekstazy o charakterze zdawałoby się mało religijnym ale w istocie spokrewnione z liturgią.

Co do wpływu nauki, to rządzi nim zasada opóźnienia czy też powolnego rozszerzenia się kropli na bibule. Nauka działa na wyobraźnię bezpośrednio i pośrednio, poprzez technikę, ale nie natychmiast, i co najmniej połową siebie tkwimy w przestrzeni wieku osiemnastego i dziewiętnastego. Nie można nawet próbować odgadnąć jak będzie wyglądała przestrzeń inna, naszych potomnych, można najwyżej gromadzić znaki, zapowiedzi, niepewne, zaszyfrowane przez samą jakby okoliczność wielu stopniowych przemian. Jest to trochę jak z oglądaniem Ziemi z księżyca: autorzy *science-fiction*, z Jules Verne'm na czele, oswoili nas z takim widokiem, ale zobaczyć naprawdę, jak to nam się przydarzyło, dużą niebieską kulę-ojczyznę, jest chyba doznaniem jakościowo innym, choć nie wiemy dlaczego. Może jest to drgnięcie serca, przeczucie, że jednak Ziemia została przeznaczona żeby być centrum, jakim była przed Kopernikiem, że geocentryczna i antropocentryczna wizja nie zasługuje na szyderstwo? Może zamiast gniewu na istnienie przez chwilę odezwała się w nas miłość do dobrej wody, dobrych drzew, dobrej trawy? Albo moralitet absurdu, który rzekomo ma wiernie pokazywać kondycję ludzką, zawstydził nas, bo zestawiony z baletem kosmicznym ujawnił swoją zależność od jednej z przejściowych odmian *sensibility*, jak stroje 1880 roku? Zresztą nie tylko podróże międzyplanetarne niepostrzeżenie wyobraźnię przebudowują. Także niejednorodność czasów; wielość możliwych przestrzeni; nieprawdopodobna złożoność umysłu tzw. człowieka pierwotnego — wszystko, co przynosi nauka zmienia-

jąc rzeczywistość z mechanizmu w kryształowy gabinet dziwów, odbić przesyłanych z luster do luster. Jeszcze nie tak dawno nauka wdrażała do redukcji: cudowne i wielobarwne zostawało przez nią „wy tłumaczone” jako „tylko” proste następstwo pewnych przyczyn. Dzisiaj zamiast redukcji jest zwielokrotnienie i laboratorium uwzniośla, zaczarowuje przestrzeń, niby opowieść o elfach.

Tak wiele odbywa się równocześnie i tak trudno odgadnąć co z tego jest tylko powtórzeniem a co zapowiedzią. Zawzięłość i kameleonowa zmienność pod pozorami uchwytnych, zdawałoby się, form, rozszerza się na całą ziemię i pisać o współczesności, to zachowywać się jak ślepiec, który dotykając trąby słonia orzekł, że słon jest długi i wężopodobny. Jedyne czego jestem powien, to moje zdziwienie. Zdziwienie, że jest coś takiego jak Ameryka i że w ogóle dotychczas jeszcze istnieje ludzkość, choć powinna była już dawno wytepić się wzajemnie, albo wyginąć z głodu, od wydzielanych przez siebie trucizn i od epidemii. Ale zdziwienie skłania właściwie do niemej kontemplacji i za każdym razem kiedy biorę do ręki pióro, które samo udaje, że coś wie, bo język składa się z twierdzeń i przeczeń, traktuję to tylko jako egzorcyzm przeciwko złym duchom bieżącego czasu.

Czesław MIŁOSZ

Cena postępu

Triumfalny lot amerykańskich kosmonautów naokoło księżycy i wielogodzinny spacer w przestrzeni międzyplanetarnej ich sowieckich rywali były bodaj jedynym dodatnim akordem na zakończenie roku 1968. Zeszły rok przyniósł światową powódź zaburzeń studenckich, groźne zachwianie się niekwestionowanych dotąd autorytetów publicznych i moralnych oraz przyczynił się niemało do pogłębienia zamętu w umysłach milionów ludzi. Jaskrawy kontrast między lichym stanem moralnym najbardziej zamożnych narodów a zdumiewającymi wyczynami techniki i ogromnymi postępami wiedzy, ma w gruncie rzeczy niepokojącą wymowę. Oznacza bowiem, że tradycją ustalone wartości i pojęcia kierujące poglądami i postępowaniem ludzkim tracą kredyt, zanim jeszcze nowe wartości zdążyły się utwierdzić; że kiedy podstawowe instytucje społeczne, w ramach których kształtowało się życie pojedynczych osób i grup przez całe tysiąclecia, kruszą się i upadają — wiedza i umiejętności techniczne prą nieprzerwanie naprzód. Tempo marszu staje się coraz szybsze, coraz bardziej zwycięskie, przemienia się w wyścig coraz wyżej, dalej i głębiej. Mamy więc wyścig na księżyc, a potem zapewne do bliższych i dalszych planet, wyścig zbrojeń atomowych i raket wyposażonych w megatonowe głowice, mogące w sekundzie znieść z powierzchni ziemi milionowe metropolie, wyścig do głębi oceanu i do jądra komórki żywej, wyścig do centrum zwojów mózgowych i do dna serca człowieczego. Środki masowego przekazu: radio, telewizja, dzienniki, przynoszą niemal co tydzień wiadomości o przełamaniu jakiejś nieprzecięzionej bariery dźwięku, światła, wieku, płci, rasy, bariery podświadomości i nadświadomości.

Zmieniają się metody produkcji dóbr i usług, modernizuje się tryb życia codziennego, gwałtownie transformują się stosunki spo-

łeczne i pojęcia moralne ukazują się i znikają nowe mody literackie i kulturalne jak pop-art, teatr absurdu, a-tonalna muzyka, co razem wzięwszy utrzymuje wrzenie permanentnej rewolucji. Nasz zasób wiedzy i umiejętności technicznych podwaja się co dziesięć lat: 90 procent uczonych wszystkich czasów, żyje w epoce współczesnej. Nowe fenomenalne odkrycia w biologii, astronomii, fizyce, chemii obalają dotychczasowe teorie o istocie materii, o budowie organizmów żywych, rozszerzają wymiary wszechświata do niewyobrażalnych wielkości. Wierzenia religijne i zasady moralności, uważane za święte, upadają podmyte analizą krytyczną i coraz pewniejszą siebie afirmacją suwerenności indywidualnej. Głębokim przemianom ulegają pojęcia prawne: prawo własności, prawa osobiste, rodzinne, a wraz z tym przeobraża się struktura społeczna, która staje się płynna, niewyraźna i mniej odporna na wstrząsy.

Mnożące się jak grzyby po deszczu fabryki, zakłady wytwórcze i laboratoria zasypują rynki wewnętrzne i światowe masą nowych towarów i usług, które 20 lat temu wcale nie istniały: aparaty telewizyjne i tranzystory, artykuły plastyczne, sztuczne włókna, komputery. Powojenna rewolucja w rolnictwie i niesłychanie szybki przyrost ludności wyrzucają ze wsi do miast setki tysięcy młodych rodzin wiejskich, które tworzą olbrzymie skupiska ludzkie wokół centrów przemysłowych i handlowych.

Amerykańskie futuribles

Życie stało się ustawicznym biegiem do czegoś nowego, do nieznanych lepszych urządzeń, maszyn, narzędzi i komfortu. „Dosić” już nam nie wystarcza, żądamy „więcej i lepiej”. Nie pomni na przeszłość, niezadowolony z teraźniejszości, jesteśmy myślą całkowicie pod władztwem przyszłości. W tym opętaniu przyszłością prym wiedzie naturalnie Ameryka: z właściwą im pasją i energią amerykańscy ekonomiści, socjologowie, technokraci rzutują obrazy Ameryki za lat dwadzieścia, trzydzieści i więcej. W specjalnym numerze kwartalnika *Daedalus*, który kreśli wizję Ameryki w Roku Pańskim 2000, ukazał się artykuł H. Kahna i A. Wienera, uczonych z Hudson Institute, poświęcony spekulacjom nad przyszłością świata. Obok wielu hipotez odnośnie rozwoju wydarzeń w ciągu lat 30, artykuł zawiera imponującą listę prawdopodobnych wynalazków — niektóre z nich jakby skopiowane ze znanej powieści A. Huxley'a „Nowy wspaniały świat”. Dowiadujemy się, że zostaną odkryte dodatkowe źródła energii, nowe materiały i stopy, że roboty i automaty wejdą w powszechne użycie, co pociągnie za sobą całkowite zmechanizowanie gospodarstwa do-

mowego i umożliwi magazynowanie, sortowanie i odszukanie potrzebnych informacji i danych statystycznych. Nasze dzieci będą mogły podróżować tanio po całym świecie, ewentualnie wybrać się w podróż poślubną na księżyc. Komu sprzykry się życie na ziemi, będzie mógł zamieszkać na dnie morskim, gdzie go dosięgnie światło sztucznych księżyców. Nie mniej zdumiewające cuda będą się działy z samym człowiekiem, z jego ciałem i zdolnościami. Młodzi rodzice będą mogli nie tylko decydować o ilości potomstwa — co już teraz wszyscy robią — lecz również wybierać płeć nienarodzonych dzieci, zmieniać własną płeć zależnie od humoru, odmładzać się, poprawiać defekty pamięci i pigułkami rozszerzać pole świadomości. Wyhodowane zostaną sztucznie nowe odmiany roślin i zwierząt, a kaprysy pogody i klimatu zostaną narzeczcie ujęte w ryzy kontroli naukowców. W ogóle natura zostanie poddana dyrektywom instytutów doświadczalnych, które również obejmą nadzór i będą ustalać program życia pojedynczych osób jak i całych organizacji.

Rzecz oczywista, plonem tych wszystkich wynalazków będzie niesłychany wzrost bogactwa krajów zamożnych, dochód na głowę potroi się, ale los milionów biedaków w krajach Trzeciego Świata ulegnie dalszemu pogorszeniu w następstwie nieustannego przyrostu naturalnego. Ludność naszego globu prawdopodobnie podwoi się jeszcze przed końcem XX wieku.

Wizja profesora Brzezińskiego

Profesor Z. Brzeziński z Columbia University pokusił się rok temu o własną wersję przyszłości Ameryki w artykule „Ameryka w wieku technetronicznym”, zamieszczonym w miesięczniku *Encounter*. Zaopatrzonej w magiczną lampę Aladyna, tzn. w projekcje i kalkulacje rozmaitych instytutów badawczych, tak wpływowych w Ameryce, profesor Brzeziński wypatruje w mrokach przyszłości kształt nadchodzących rzeczy. Widzi, że postęp techniki tak dalece zrewolucjonizuje świat w XXI wieku naszej ery, iż rewolucje jakobinów i bolszewików wydadzą się niewinną igraszką. W ciągu kilku dziesięcioleci — zdaniem profesora — człowiek przejdzie mutację równie doniosłą w skutkach jak cała, miliony lat trwająca, ewolucja gatunku ludzkiego od zwierzęcia do *homo sapiens*. Automatyzacja i cybernetyka przeobrażą do tego stopnia metody produkcji i rutynę pracy, że dla mas miejskich praca stanie się wyjątkiem a wywczas regułą. W tym niekończącym się *dolce far niente* społeczeństwo będzie żyło dla uciech i rozrywek, à la próżniaczy proletariat starożytnego Rzymu, żądny *panem et circenses*. Tylko elita nie przestanie pracować, owszem, pod nacis-

kiem współzawodnictwa, wybrańcy losu będą zmuszeni do wytężonego wysiłku i ustawicznego pośpiechu. W tej krainie *science-fiction* ludzie będą jeść sztuczną żywność, dojeżdżać do pracy z najdalszych zakątków kraju i pozostawać w ciągłej łączności wzrokowo-słuchowej z rodziną, szefem w biurze i urzędami. Życie ludzkie będzie niemal wyłącznie kształtowane nie przez przyrodę, lecz przez *artificia* człowieka.

Rząd dusz, jeśli użyję tak staroświeckiej metafory, przejdzie niepodzielnie w ręce specjalistów i technokratów, obojętnych na wszelkie metafizyczne ideologie, a zainteresowanych wyłącznie sprawami praktycznymi, wysoką wydajnością i służbą publiczną. W ten sposób władzę obejmie merytokracja złożona z ludzi talentu i wiedzy, poświadczonej dyplomem, którzy usuną na bok demokratycznych dyletantów równie sprawnie i kompletnie jak ci ostatni wyrugowali arystokratów.

Nowy wiek technetroniczny utrwali hegemonię Ameryki w świecie, gdyż Amerykanie są jedynym twórczym narodem świata, jako że 80 procent odkryć naukowych i technicznych wynalazków i 75 procent komputerów znajduje się w Stanach Zjednoczonych. Nic nie zdaje się zaciemniać tej promiennej wizji Trzeciego Millenium. Mimochodem jeno potrąca nasz znakomity profesor o kilka dość zasadniczych kwestii: czy możliwa jest koegzystencja osobowości ludzkiej z maszyną i z naukami ścisłymi, które jak ów *apprenti sorcier* nie znają ani chwili wytchnienia; czy człowiek zdolny będzie pogłębić swą mądrość i dojrzałość moralną; czy wobec rosnącej alienacji i zatrąty osobowości nie dojdzie do zachwiania równowagi psychicznej i buntu przeciw społecznym formom bytowania? Na te, raczej ważne, pytania nie znajdujemy odpowiedzi w profesorskim eseju.

Konfrontacja z rzeczywistością

A szkoda. Są to bowiem sprawy wymagające poważnego zastanowienia się, sprawy, które mogą zadecydować nie tylko o przyszłości technetronicznej Ameryki, lecz także o przyszłości nieco zacofanych europejskich narodów. Mnożą się oznaki, że w tymże najbardziej postępowym społeczeństwie przemysłowym, żyjącym już teraz w przyszłości, odbywa się proces społecznej anomii, która jest ceną, jaką to społeczeństwo płaci za szybki postęp ekonomiczny i techniczny. Niestalość warunków życia, lansowane przez potężny aparat reklamy handlowej częste zmiany mód damskich i męskich, samochodów, mebli, artykułów gospodarstwa domowego po to, aby zwiększyć popyt na wytwory fabryk, wytwarzają u konsumenta uczucie nieustannego niezadowolenia. Ekonomia

kraju jest nastawiona na sztuczne stwarzanie coraz to nowych „potrzeb”, które czynią człowieka pożądanym, umotywowanym pragnieniem materialnych korzyści. Stąd rodzą się schorzenia nerwowe, ustawiczny niepokój, skłonność do gwałtu i przestępczości.

Widomy rozkład rodziny — czy to na skutek separacji, czy to rozwodu, lub dezercji — oraz zanik trwałych zasad postępowania w radykalnie laickim społeczeństwie, które nie jest pewne celu własnego istnienia, czynią współczesne społeczeństwo podatnym na wstrząsy. Nienasycone pragnienie sukcesu *à tout prix*, niestanna pogoń za nieosiągalnym standartem życia podważają więź zbiorową i powodują zaburzenia wypływające z braku trwałego systemu wartości, wyposażonego w mocny autorytet moralny.

Prawda, że bogactwo i materialny dobrobyt niekoniecznie idą w parze ze zdrowiem moralnym, została zaakcentowana w inauguracyjnym przemówieniu prezydenta Nixona, który stwierdził: „Ameryka jest bogata we wszelakie dobra, ale za to obszarpana duchowo”.

Rozważania w rodzaju profesora Brzezińskiego są refleksem mniej lub bardziej świadomej wiary w nieograniczone dobrodziejstwa wiedzy, wiary która od czasów Sokratesa cechuje postawę intelektualistów wobec świata. Sokrates i Plato identyfikowali wiedzę ze szczęściem i cnotą, natomiast pragmatyczny Bacon widział w wiedzy przede wszystkim klucz do potęgi. Współcześni naukowcy przyjmują za całkiem oczywisty pewnik, że każdy przyчыnek do wiedzy rozszerza panowanie człowieka nad przyrodą, pomnaża zakres wyboru i przez to samo zwiększa dobrobyt ludzki. Uczony rozumuje, że jest zwolniony od odpowiedzialności za następstwa jego odkryć i wynalazków, wiedza bowiem jest moralnie neutralną. Jeżeli by wiedza nie przyniosła szczęścia, lecz miała się przyczynić do zagłady rodzaju ludzkiego, albo ruiny moralnej i fizycznej, to wina leży nie po stronie nauki, ani jej adeptów, ale po stronie społeczeństwa. Odpowiedzią naukowca na zarzuty będzie żądanie jeszcze bardziej kosztownych badań nad zgubnymi skutkami nowych wynalazków. Przeświadczenie, że więcej wiedzy przyniesie lekarstwo na wszystkie bolączki, jest powszechne nie tylko wśród naukowców, lecz również podziela je szersza publiczność i władze.

Ilustracją takiego podejścia jest akcja Kongresu amerykańskiego w sprawie przestępstw młodocianych. Rosnąca fala przestępczości zaalarmowała społeczeństwo i skłoniła Kongres do debaty nad wpływem programów telewizyjnych (które stale pokazują gwałty i morderstwa) na przestępczość nieletnich. Aczkolwiek dla każdego myślącego człowieka nie ma wątpliwości, że telewizja demoralizuje młodzież, Kongres nie zdobył się na uchwalenie

ustawy o kontroli programów telewizyjnych, lecz powołał komisję rzeczoznawców: psychiatrów, socjologów, wychowawców i kryminologów dla zbadania stopnia tego wpływu. Upłynie zapewne wiele miesięcy zanim komisja wygotuje obszerny raport, który będzie zawierał setki tabel statystycznych, zalecenia większości oraz odrębną opinię mniejszości komitetu gdy tymczasem programy telewizyjne będą nadal karmiły swych odbiorców skoncentrowaną mieszanką sensacji, sexu i skandalu.

Jednocześnie, jak stwierdza ostatnio raport komisji powołanej przez b. prezydenta Johnsona, „gwałt i przestępstwa osiągnęły w Stanach Zjednoczonych nienotowane rozmiary, stopa przestępczości podniosła się o 60 procent od 1960 roku. W ciągu ostatnich lat Ameryka doświadczyła więcej krwawych i długotrwałych zaburzeń, niż jakikolwiek inny naród zachodni. Coraz więcej Amerykanów kupuje broń dla samoobrony w odpowiedzi na przestępstwa na ulicach, rozruchy po miastach i rebelie na uniwersytetach, które podważają fundamenty porządku społecznego”.

Cena postępu technicznego

Jest faktem, że przemysł maszynowy powstał i rozwijał się samorzutnie, mając na oku nie dobrobyt powszechny, lecz głównie zysk przedsiębiorców. Pod niejednym względem postęp techniki mechanicznej pozbawił ludzi okazji do kształtowania wrodzonych uzdolnień — na przykład w rzemiosłach — i sposobności kształtowania charakteru. Rozpowszechnienie telewizji i adapteru wyparło amatorską grę na fortepianie, lub na instrumentach; ruchoma taśma produkcyjna z jej okropną monotonią pracy zabija zdolności umysłowe robotników. Przemózny pęd do zwiększania wydajności prowadzi do coraz większej specjalizacji w fabrykach, biurach handlowych, w administracji, na uniwersytetach, i w zakładach badawczych. Rosną zastępy speców o coraz cieńszych horyzontach, którzy wiedzą coraz więcej o wąskim odcinku badań, ale coraz mniej o dziedzinach poza zasięgiem ich specjalności. Z tej przyczyny cnoty charakteru i zalety umysłu, odwaga, wytrwałość, wierność, zdolność do poświęceń, dojrzałość sądu i pomysłowość mają mniej sposobności do manifestacji tracą uznanie w świecie mechanizmów, wprawianych w ruch za pociśnięciem guzika. W epoce, w której powodzenie jest pierwszym celem życia, kiedy honor, szacunek dla siebie i innych, lojalność, uważane są za staroświecki przeżytek, moralny poziom życia niechybnie obniża się i tanieje.

Znany współczesny pisarz włoski, Ignazio Silone, w swym eseju o postępie opowiada o niezmiernie wymownym zdarzeniu,

które miało miejsce po 2-giej wojnie, w pewnej miejscowości niedaleko Rzymu. Stacjonujące tam podczas wojny oddziały marokańskie dopuściły się masowych zgwałceń kobiet i dziewcząt. Na pocieszenie pokrzywdzonych rząd włoski udzielał im drobnych zapomóg. Ku zdumieniu miejscowych władz rozdzielających zapomogi, wiele matek i żon, które uniknęły zhańbienia, wniosło podania o wsparcie, uzasadniając kłamliwie, że padły ofiarą „marokanizacji” i w dodatku nakłaniając krewnych aby popełniali krzywoprzysięstwo, popierając ich fałszywe pretensje. Normalnie kobiety te ukrywałyby przed obcymi swoją hańbę, w tym wypadku jednak, ażeby dostać trochę pieniędzy, nie wahały się wywlekać na jaw swego upodlenia.

Moralność technetroniczna

Ameryka ery technetronicznej jest bodaj bardziej niż inne społeczeństwa zaawansowana na drodze ku „nowej moralności”, również i moralności płciowej. Stała się ona krajem, w którym wszystko wolno — *an all-permissive society*. Protestantcy teologowie odkryli niedawno, że Bóg umarł, a zatem że człowiek — twór przypadku — wyzwolony z hamulców odpowiedzialności przed Stwórcą, będzie nareszcie suwerennym panem swego losu.

W kulturze zachodniej przesiąkniętej pierwiastkami chrześcijaństwa miłość między mężczyzną a kobietą oznaczała nie tylko pociąg erotyczny, lecz także, a może przede wszystkim, wzajemne podobanie się, wierne przywiązanie i całą gamę uczuć od delikatnej tkliwości do heroicznego poświęcenia. Dzisiaj używa się słowa miłość niemal wyłącznie na oznaczenie pożądania cielesnego, funkcji fizjologicznej, libido zaprawionego sporą dozą egoizmu i sadyzmu.

Rozważania powyższe nie mają na celu wykazać, że wiedza i postęp techniczny są szkodliwe. Niesposób zaprzeczyć znaczenia wielkich dobrodziejstw materialnych jakie w ostatnim wieku przyniósł rozwój nauk ścisłych i przemysłu: usunięcie nędzy, ujarzmienie chorób i epidemii, wielką poprawę bytu najszerzych mas, wyplenienie przesądów i ciemnoty, które trzymały umysły w kleszczach strachu. Zamierzałem jedynie ukazać także odwrotną stronę medalu w postaci rozkładu moralnego, obniżenia poziomu kulturalnego, schorzeń psychicznych, jakie stwarza cywilizacja przemysłowa. W katalogu strat uwzględniłem przede wszystkim szkody moralne, widoczne dla obserwatora życia współczesnego. Nie brak dowodów, że postępująca mechanizacja życia ujarzmia człowieka i wytwarza u jednostek bardziej wrażliwych i u młodzieży uczucie alienacji i głębokiego niezadowolenia. Świadczy

o tym bunt młodzieży, która odrzuca racjonalistyczny model technokratów.

Nie podobna nie wspomnieć o spustoszeniach powstałych w przyrodzie skutkiem niepowstrzymanego marszu urbanizacji, przemysłu fabrycznego i zachłannej spekulacji prywatnej. W Kanadzie, gdzie osiedliłem się po wojnie, obserwuję jak na półwyspie Niagara rozległe sady i ogrody warzywne wykupują spekulanci grunтови pod budowę fabryk i bloków mieszkalnych. W okolicach Wielkich Jezior wody są do tego stopnia zanieczyszczone odhodami z fabryk i kanałów miejskich, że zwierozostan został w nich poważnie zniszczony. Piękne jezioro Erie, nad którym leżą ogromne centra przemysłowe Cleveland, Toledo, Detroit, zamieniło się w cuchnący rezerwuuar zatrutej wody. Powietrze wielkich miast i zagłębi przemysłowych, zanieczyszczone wzywami kominów i spalinami pojazdów motorowych, stanowi groźne niebezpieczeństwo dla zdrowia mieszkańców. W ogóle niszczycielska interwencja cywilizacji przemysłowej burzy równowagę w przyrodzie i stwarza doniosłe problemy dla następnych pokoleń.

Nasza epoka stawia na pierwszym miejscu dobrobyt materialny, jakby w przeświadczeniu, że zwiększenie konsumpcji i udoskonalenie komfortu zaspokoii w pełni aspiracje człowieka. Niektórzy radykalni przedstawiciele myśli współczesnej kategorycznie przeczą, aby życie ludzkie miało jakiś wyższy ideał, jakiś sens i wartość pozadoczesną, zapominając o tym, że nawet znośne tylko życie wymaga ciągłego wysiłku. Otóż, tak pojedynczy człowiek, jak i zbiorowość ludzka będą gotowi podjąć wysiłek tylko wtedy, kiedy przyświeca im cel większy i wyższy od bezpośrednio im danej, zmysłami wymiernej rzeczywistości.

I. J. CZŁOWIEKOWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Wiersze

Natalia GORBANIEWSKAJA

*Jak żołnierz, co się bił w Andersa armii,
jak ów żołnierz z bajki Andersena —
cóż ja? Niewielka na me wiersze cena
i kłamstwem moje słowo się nie karmi.*

*Nie dla odznaczeń na ten bój wychodzę,
jam nie dowódca i nie szarża żadna —
zwiadowca, który czołga się przez bagna,
jakże samotny na niepewnej drodze!*

*Tak, zwykły żołnierz. Odbite natarcie.
Dłonie na trawę opadły bezwładnie...
I mrówka ku kropelce krwi ostatniej
po bladej twarzy wędruje uparcie.*

*Ale zdradzono nas. I bitwa trwa już bez nas.
Szlify Andersa jak błyskotki baletnicy,
jak pantofelki — zamiast amunicji,
wdzięczne drobiazgi, których żołnierz nie znał.*

*Na zębach piach pustyni w wichru szumie
i zecer gorzko płacze w swej drukarni,
za to weselą się i cieszą gwarnie
handlarz tandetą i dostawca trumien.*

*Ojczyzno moja!
Lecz pilnują sępy,*

*bym się na polu boju znów nie zjawiał,
abym pozostał żdźbłem bezsilnej trawy,
zawsze miazdzonej przez zbrojne zastępy.*

Natalia GORBANIEWSKAJA

(Przełożył z rosyjskiego Józef Łobodowski)

Wiersz ten ukazał się po raz pierwszy w nielegalnym czasopiśmie, wychodzącym w Związku Sowieckim, „Feniks 1966”. Przedrukowany przez czasopismo emigracyjne „Grani” (nr 69, rok 1968).

Arnold SŁUCKI

PIERWSZA WERSJA

*Nie cielec złoty, lecz mosiężny szakał
u podnóża Góry zaświecił, gdy pękła
Tablic wersja pierwsza i żaden Chagall
tego nie wziął na pędzel, nie było też
happeningu jeszcze, gdy na Chorebie
chmura kolczasta, skłębiona jak jeź,
niczym sprężyna snu trzaśła na niebie
i słyszał Mojżesz, jak alfa z rądy szczękła
w drobinach metalu, schowanych w tle litym
kamienia. Tak wszystkie wersje czas łamie
pierwsze — sam na siedem wstyłów rozbity
za karę, że trwał, że nie patrzył, a istniał,
i świadkiem nie będąc, razy siedem pamięta
z niczego, nic jest jego wyobraźni
budulcem, niech cierpi jak krata pocięta
— i jak cień prawa w czas słońca kaźni.*

Aszdod, 21 luty 1969

ROZBICIE SYMBOLU

*Tam, gdzie miasto żółte
rozbija symbole
światel i gwiazdy schodzą
ścianą stromą —*

po liściu eukaliptus
 ofiaruje trawom
 zebraczym.
 Było słońce,
 jest szerniały tu promień,
 pogorzelec dnia białego —
 i po chodniku
 skarabeusz chodzi, nóżkami przebiera
 ze smoły i zbrązowiałego szpiku
 jakiegoś bóstwa.
 Tu Corbusiera
 cień na schody słoneczne za dnia
 padł,
 forma obezwładnia
 wszystko
 i próżne te banie kuliste
 zawieszzonego w pomroce pierwowzoru.
 Filistyńczyk tutaj rozbił dwie czyste
 tzy — jak monety leżą dla pozoru
 wymiany.

Aszdod, 23 luty 1969

Arnold SŁUCKI

Bolesław KOBZYŃSKI

Z A N I M

Z ciemnej uliczki wynurza się widok na białą katedrę,
 gdyż
 Kogut na wieży skierowany jest w kierunku północnym,
 albowiem
 Pajęczyna łączy pień dębu z pokrzywą, dlatego
 zanim
 Młoda para podeszła do ołtarza,
 Nikt nie zauważył całusa w szoferce taksówki, prócz mnie,
 który
 Sam to zdążyłem zaobserwować.

Z A M E K

Kiedy akrobatka cyrkowa, trzymając imadło w swych zębach,
 wiruje u sufitu budy cyrkowej,
 Widać tuż pod powierzchnią wody konika morskiego
 z szafirowym okiem i wtedy
 Dama czyści zęby krokodylowi na sofie,
 albowiem
 Tramwaj jedzie po dnie stawu,
 przy którym
 Płynie śpiewaczka, kiedy z brzegu
 Śledzą ją z uwagą posągi antycznych rzeźb bogów i tak,
 Jak widzę,
 Przeszłość kontroluje dzień dzisiejszy.

DZIWNA LAMPA

W starym filmie pies w windzie ćmi cygaro,
 ponieważ
 Lampa naftowa pali się u powały,
 jest to
 Dziwna, choć wolna twórczość na trąbce,
 albowiem
 Stolarz posiada klucz do spiżarki,
 w której
 Widać gitarę zawieszoną na ścianie, czego —
 podejrzewam —
 Nie zauważa i nie rozumie.

Bolesław KOBZYŃSKI

Archiwum polityczne

Dialogi i konwencje

Wszyscy ze wszystkimi prowadzą dialog. Katolicy z Protestantami — Anglikanie z Metodystami — Marksisci z Liberałami itd., itp. Pokojowa koegzystencja oparta jest na szukaniu „płaszczyzn porozumienia” czyli na dialogu. Wydaje mi się, że jeszcze nigdy w historii nie było tylu dialogów i równocześnie tak mało wzajemnego zrozumienia.

Ci, którzy biorą udział w owych rozlicznych dialogach, nie zdają sobie sprawy z faktu, że porozumienie, względnie zrozumienie pomiędzy stroną A i stroną B to nie jest wszystko. Stronie A musi być wolno zrozumieć stronę B i musi być wolno jawnie stwierdzić ów fakt.

W roku 1956 wśród wielu Polaków z Kraju, którzy mnie odwiedzili — złożył mi również wizytę p. Jerzy Wiatr. Rozmawialiśmy przyjaźnie i bez trudu znaleźliśmy wiele płaszczyzn porozumienia. Lecz wówczas wolno nam było szukać porozumienia. W owym okresie kilku redaktorów z Warszawy i z Krakowa przeprowadziło ze mną „dialog” telefonicznie.

Wówczas przekonałem się, że podstawowym warunkiem porozumienia jest zezwolenie na szukanie porozumienia. Ludzie wykształceni i dobrej woli porozumiewają się ze sobą stosunkowo łatwo. Natomiast rządy, aparaty partyjne i reżymy porozumiewają się ze sobą trudno.

Z powyższego faktu można wyciągnąć dwa całkowicie odmienne wnioski. Można przyjąć pogląd, że dialogi są bez sensu. Do porozumienia dojść nie może, ponieważ nie wolno go osiągnąć. Drogę zagradza *establishment* sowiecki czy polski i wprawdzie trzeba by owe reżymy obalić, by porozumienie uczynić osiągalnym.

Lecz można również wnioskować, że reformacja reżymów totalnych związana jest w jakiś sposób z dialogiem. Gdyby było inaczej reżym komunistyczny w Polsce nie mobilizowałby tak wielkiej ofensywy przeciwko tym instytucjom na Zachodzie, które szukają porozumienia z ludźmi w wschodniej Europie. *Kultura*

jest atakowana i potępiana przez czynniki reżymowe nie za swój antykomunizm — lecz przeciwnie za swój pogląd, że ze zreformowanym komunizmem dialog i porozumienie byłoby możliwe.

Gdybyśmy mieli spełnić „zamówienie społeczne” Gomułki należałoby przyjąć stanowisko bezkompromisowe. Odrzucając wszystkie możliwości dialogu przestalibyśmy być groźni.

Dlaczego reżym boi się wszelkich form dialogu? W tym wypadku — jak i we wszystkich innych sprawach społecznych — decyduje prawo większości. Większość polskiego społeczeństwa znalazłaby niepomiarne więcej punktów stykowych z ludźmi na Zachodzie niż rządzący owym społeczeństwem biurokratyczny aparat. To samo dotyczy Związku Sowieckiego. Ryzykując pogląd, że nigdy dotąd w dziejach Rosji nie było tak licznej warstwy uczonych i inteligencji, która łatwiej niż w przeszłości nawiązałaby dialog z Zachodem gdyby to było dozwolone.

Większość wojen, konfliktów, kryzysów, uprzedzeń, nienawiści rasowych itd. — bierze swoje źródło z ignorancji. Gdyby upowszechnienie informacji, które pod względem technicznym nie przedstawia żadnych trudności — zostało urzeczywistnione w skali globalnej — sprawa pokoju zyskałaby na tym niepomiarne.

Kłamstwo i dezinformacja odgrywały zawsze w polityce olbrzymią rolę. Weźmy konflikt rosyjsko-chiński. Dla Rosjan prawdą w tej sprawie jest to co pokrywa się z interesem Sowietów i rządzącej na Kremlu biurokracji. Dla Chińczyków prawdą jest to co pokrywa się z interesem Chin i rządzącej w Pekinie biurokracji. Za tydzień czy za miesiąc może wybuchnąć wojna atomowa sowiecko-chińska o nieobliczalnych wprost konsekwencjach, lecz nikt nigdy nie dowie się obiektywnej prawdy o tej katastrofie.

Nikt nigdy nie dowie się prawdy obiektywnej ponieważ w tych sprawach nie ma prawdy obiektywnej. Polityka nie jest zainteresowana prawdą obiektywną tylko sukcesem lub zwycięstwem. Prawda historyczna jest mitem. Wystarczy przeczytać kilkanaście książek historycznych z okresu ostatniej wojny światowej by się przekonać, że ważniejsze wydarzenia mają dwie lub trzy wersje, przy czym każda wersja ma zarówno pretensje jak i tytuły do obiektywizmu.

Weźmy przykład z naszego domowego podwórka. Prawda historyczna o tzw. zamachu majowym wygląda inaczej w ujęciu piśmudczyków i inaczej w ujęciu pisarzy opozycyjnych. Ktoś powie, że nie może być dwóch różnych prawd. Jedna relacja musi być prawdziwa a druga błędna. Często tak jest, lecz nie zawsze. Tzw. prawda historyczna w większości wypadków składa się z dwóch elementów. Owe dwa elementy stopione są w nierozdzielalną całość. Mam na myśli stan faktyczny i zaangażowanie uczestników. Zaangażowanie osobiste jest czynnikiem ważniejszym od stanu faktycznego — ponieważ poprzez perspektywę osobistego zaangażowania patrzymy na rozgrywający się dramat, jak również w skali naszego zaangażowania analizujemy i oceniamy dane wydarzenia.

To samo dotyczy publicystyki, która komentuje bieżącą histo-

rię, tzn. politykę. Nigdy nie było i nigdy nie będzie obiektywnej publicystyki. Analizę faktów można i trzeba udokumentować rzeczowo. Analiza polityczna jest niezmiernie ważna i wymaga fachowego przygotowania oraz wielu lat doświadczenia. Lecz publicystyki nie mierzy się analizą tylko wnioskami. Analizę można poprzeć faktami — wniosków nie można poprzeć faktami. Wnioski przyjmujemy „na wiarę” jeżeli darzymy zaufaniem danego publicystę.

Weźmy przykład ze sceny londyńskiej. Zarówno Victor Zorza jak i prof. Z. Stahl są zawodowymi sowietologami. Od wielu lat studiują prasę sowiecką i wszystkie dostępne materiały. Jednak ze stanu faktycznego i identycznych dostępnych im materiałów Zorza i Stahl wyciągają biegunowo różne wnioski. Okazuje się więc, że analiza stanu faktycznego nie jest czynnikiem najważniejszym. Istotne jest zaangażowanie i osobista postawa pisarza, które determinują zarówno analizę jak i wnioski. To jest typ subiektywizmu przed którym nie ma ucieczki.

Do czego zmierzają te uwagi? Chciałem wykazać, że dialog jest możliwy tylko pomiędzy pluralistami — to znaczy pomiędzy ludźmi, którzy podpisują się pod słowami Toynbee'ego, że *there is no unique truth and there is no chosen people* (nie ma jedynej prawdy i nie ma wybranego narodu).

Pomiędzy pryncypialistami dialog nie jest możliwy, bo w takiej sytuacji dać się przekonać stronie przeciwnej oznacza zdradzić swoje dogmatyczne zasady, które uważa się za *unique truth*. Ponieważ nie może być dwóch jedynych prawd — dialog pomiędzy dogmatykami nie ma żadnej szansy sukcesu.

Skrajny relatywizm podobnie jak skrajny dogmatyzm — nie może stanowić fundamentu ani dialogu ani porozumienia. Jeżeli wszystko jest względne i niepewne — nie ma powodu jednego relatywnego poglądu przeciwstawiać drugiemu relatywnemu pogładowi. Jakie jest więc wyjście z tego dylematu?

W moim przekonaniu największe szanse porozumienia zapewnia postawa naukowego humanizmu. Naukowy humanizm zakłada, że problemy ludzkie — społeczne, polityczne i gospodarcze — rozwiązać można tylko w płaszczyźnie racjonalizmu naukowego.

Termin „racjonalizm” ma podźwięk dziewiętnastowieczny. Powtórzę co napisałem kiedyś przy innej okazji: rozum ludzki jest ułomny, lecz wszystko inne jest niepomiernie bardziej ułomne. Jeżeli nie racjonalizm to co? Religie, ideologie, nacjonalizmy? W wymiarze ludzkim i ziemskim — w mojej opinii — to co nie jest do rozwiązania na drodze racjonalno-naukowej nie jest do rozwiązania w ogóle. Humanizm naukowy jest do pogodzenia z religijnością choć nie jest do pogodzenia z dogmatyzmem ani religijnym ani politycznym.

Obserwując ruch reformy w kościołach chrześcijańskich trudno nie zauważyć rosnącego wpływu laikatu. Można zaryzykować pogląd, że myśl świecka jest głównym źródłem reformy. Napór laikatu na aparat kościołów stale rośnie i ów napór spowodował wiele zasadniczych przemian.

W moim przekonaniu podobna sytuacja zaczyna zarysowywać się w sferze polityki. Wpływ laikatu politycznego stale rośnie ponieważ „kościół” polityczne, tak na Wschodzie jak i na Zachodzie, nie dość szybko postępują z duchem czasu. Kościoły polityczne, podobnie jak kościoły religijne, niechętnie poddają się reformom i czynią to tylko pod naporem.

Ostatnio fala strajków w zakładach Forda wstrząsnęła Anglią. W Anglii — w przeciwieństwie do Francji — nigdy nie było prawdziwej rewolucji. Dlaczego? Wydaje mi się, że Anglia uniknęła rewolucji z dwóch przyczyn — po pierwsze parlamentaryzm rozwinął się w tym kraju szybciej i pełniej niż gdzie indziej — i po drugie, klasa robotnicza przywykła uważać parlament za swego obrońcę a maszynierię demokratyczną za jedyną i zadawalającą instytucję negocjacyjną.

Brak wspólnego języka pomiędzy robotnikami a rządem, a w pewnych wypadkach nawet pomiędzy robotnikami a związkami zawodowymi — nie dowodzi „zbolszewizowania” brytyjskiej klasy robotniczej, jak oceniają to pewni emigracyjni publicyści. Nie dowodzi to również braku dobrej woli ze strony rządu Labour Party, który dba o interesy robotników więcej i lepiej niż większość innych rządów europejskich. Ów brak wspólnego języka dowodzi natomiast, że maszynieria nie tylko związków zawodowych lecz również rządu i parlamentu dojrzała do reformy. Ponieważ owa maszynieria jest zbyt staroświecka by funkcjonować sprawnie — robotnicy nawrócili do swej klasycznej metody działania tj. akcji bezpośredniej. W tym sensie robotnicy walczą nie tylko o podwyżkę płac, lecz również i przede wszystkim o przebudowę ustroju Anglii.

W Polsce, w Rosji, w Anglii, we Francji czynnikiem reformy jest laikat nie reżymy. Na marginesie chciałbym podkreślić, że wielu pisarzy politycznych — a wśród nich i niżej podpisany — błędnie oceniali w ostatnich latach ewolucję klasy robotniczej. Okazuje się, że klasa robotnicza nie przestaje być klasą robotniczą gdy robotnicy dobrze jedzą, dobrze się ubierają i jeżdżą samochodami. Klasa robotnicza przestałaby być klasą robotniczą gdyby nie posiadała klasowo-zawodowych organizacji. Przepowiednie, że robotnicy z chwilą gdy będą mieli domy, lodówki, telewizory — staną się dobudówką do *lower middle class* nie sprawdziły się. Robotnicy w zakładach Forda w Anglii, czy w zakładach Citroën we Francji, choć na swoje zgromadzenia przyjeżdżają prywatnymi samochodami — są zdolni do akcji strajkowej w identyczny sposób jak ich ojcowie 30 lat temu.

Przebudowa ustrojowa w Europie dokona się pod naporem klasy robotniczej. Inteligencja tylko poprzez sojusz z klasą robotniczą może zdobyć nowy status społeczny. Ów sojusz stanowi widmo, przed którym drżą wszystkie biurokracje a w szczególności biurokracje komunistyczne.

Na emigracji prowadzimy od wielu lat dialog z Krajem. Przeszkodą w owym dialogu jest mur nieporozumień, który rośnie z każdym rokiem. Polityczny laikat w Kraju nie akceptuje w całości oficjalnej wykładni — nie mniej lata indoktrynacji nie pozostały bez skutku.

Skąd inąd inteligentni i wykształceni Czytelnicy wysuwali wielokrotnie pod moim adresem zarzut, że w moich artykułach zbyt często powtarzają się terminy „wolność” i „niepodległość”. To są słowa, które nie licują z intelektualną i postępową publicystyką. Według tych opinii Polska w odczuciu większości Polaków krajowych jest wolna i na pewno bardziej niepodległa niż Szkocja czy Walia. Ponieważ o wolności i niepodległości piszą bez przerwy tzw. „niezłomni” — słowa te w umyśle Czytelnika kojarzą się z reakcyjnym kierunkiem politycznym na emigracji. Owe hasła reprezentują wczorajszą, zdyskredytowaną mitologię narodową, którą operują jeszcze endecy i moczarowcy. Czytelnicy, którzy wyrażają tego typu opinię nie widzą w zmianie tekstu hymnu „Boże coś Polskę” niczego niewłaściwego.

Weźmy dla przykładu inne nieporozumienie, które należy do tej samej kategorii. Leszek Kołakowski przez poważny odłam młodzieży w Kraju uważany jest za ideowego przywódcę. Kołakowski od wielu miesięcy przebywa na Zachodzie i korzysta z pełnej wolności. W Kraju młodzież czeka na jego artykuły. Te artykuły Kołakowski mógłby ogłosić w *Kulturze*, która choć z trudnościami dociera jednak do Kraju.

To nie jest „zaproszenie do tańca”. Cenię Kołakowskiego jako pisarza i chętnie widziałbym jego prace na łamach naszego miesięcznika. Lecz w tym konkretnym wypadku nie Kołakowski potrzebny jest *Kulturze* ale *Kultura* potrzebna jest Kołakowskiemu. Bez jego pióra *Kultura* będzie nadal tym czym jest — natomiast bez *Kultury* Kołakowski nie dotrze do młodych w Kraju.

Znam Kołakowskiego osobiście, czytałem wiele jego prac i twierdzę, że daleko więcej rzeczy nas łączy niż dzieli. Lecz cóż z tego. Dzieli nas najpotężniejsza bariera socjalna jaką jest tzw. konwencja. Temu szablonowi poddają się często najbardziej nieszablonowi ludzie. Konwencje utrudniają dialog w znacznie większym stopniu niż przekonania i poglądy polityczne.

Domaganie się niepodległości dla Wietnamu zgodne jest z konwencjonalną postępowością. Domaganie się niepodległości dla Polski ma poddźwięk reakcyjny. Polacy nie są dobrymi, socjalistycznymi Czechosłowakami — lecz przeciwnie są antysemitami, nacjonalistami, i neo-stalinowcami i dlatego mają taki ustrój na jaki zasługują. To jest opinia o Polakach, która przeważa w intelektualnych postępowych kołach na Zachodzie.

Kołakowski zapewne czytuje *Kulturę* z zainteresowaniem, lecz do nas nie napisze bo zgodnie z konwencją *Kultura* jest pismem emigracyjnym, a więc tym samym białogwardyjskim i reakcyjnym. Postępowy neo-marksista może wyklądać na amerykańskim uniwersytecie czy pobierać amerykańskie stypendia — lecz musi unikać kontaktów z emigracją polityczną, która w myśl obowią-

zującej konwencji jest bardziej reakcyjna niż wszyscy Amerykanie razem wzięci.

Polacy zagranicą również nie są wolni od nacisku licznych konwencji. Ciołkosz nie został członkiem Rady Trzech między innymi dlatego, że byłoby to sprzeczne z konwencją. Socjalista może być ministrem — nawet premierem lecz nie prezydentem.

W okresie kiedy socjalizm jest głównym problemem w Europie wschodniej a tym samym i w Polsce — na emigracji w tej dziedzinie panuje chaos pojęć. Po ostatnim kongresie Ligi Komunistów Jugosłowiańskich — *Dziennik Polski*, który nie jest pismem lewicowym — nazwał komunizm jugosłowiański „komunizmem z ludzkim obliczem”. Czy to już jest socjalizm — czy pół-socjalizm?

Moskwa rości sobie prawo do wyłącznego decydowania co jest komunizmem a co komunizmem nie jest. Kto ma natomiast decydować o tym czym jest socjalizm?

W moim przekonaniu nie ma innego socjalizmu poza socjalizmem demokratycznym. Demokratyczność oznacza pluralizm, tzn. różnorodność. Socjalizm jest dziś pojmowany bardzo różnorodnie. Nowoczesny ustrój socjalistyczny może być odmienny od modelu brytyjskiego, szwedzkiego czy jugosłowiańskiego. Pewne jest tylko jedno: państwo socjalistyczne nie może być totalne.

Na emigracji przez polski socjalizm rozumiemy PPS. Mam wielki szacunek i sentyment dla PPS — niemniej jestem pewien, że socjalizm, który wykrystalizuje się w Kraju będzie czymś różnym od tradycji i programu PPS. Na gorsze czy na lepsze „ojcem chrzestnym” przyszłego wschodnioeuropejskiego demokratycznego socjalizmu będzie komunizm, i to jest fakt, którego żaden polityk i socjolog nie może przeoczyć, tym mniej negocjować.

Nawet tam gdzie nie ewolucja lecz rewolucja otworzy bramy więzień, to z cel wyjdą nie członkowie PPS lecz zbuntowani komuniści jak Kuroń, Modzelewski i setki innych. Ci ludzie będą formowali polski socjalizm. Kto na emigracji poza *Kulturą* może z nimi podjąć dialog?

Na tych łamach wysuwałem wielokrotnie tezę, że na obczyźnie powinien powstać polski niezależny ośrodek lewicowy. W ramach tego typu ośrodka PPS mogłaby odegrać wielką rolę. Wymagałoby to jednak dużej imaginacji i dynamiki. PPS w nowym układzie musiałaby reprezentować nie tylko tradycje i „historyczną schedę” — lecz przede wszystkim „socjalizm otwarty”. Należy pamiętać, że działaczami socjalistycznymi w Kraju będą nie panowie którzy dziś dobiegają siedemdziesiątki — lecz ludzie średniego i młodego pokolenia uformowani w całkowicie różnych warunkach niż my. Ich koncepcje dotyczące socjalizmu siłą rzeczy są w wielu aspektach odmiennie od PPS. Przyjęcie postawy „otwartego socjalizmu” oznaczałoby, że gotowi jesteśmy do dialogu z każdym lewicowcem, który odrzuca komunizm w jego totalnej formie.

Przez „otwartość” nie należy rozumieć rezygnacji z zasad. Przyjmując postawę otwartą PPS uznałaby natomiast, że jej pro-

gram nie jest ostatnim słowem w dziejach polskiego socjalizmu. Program każdej demokratycznej partii socjalistycznej musi podlegać prawu rewizji reformy i odnowy.

Trzeba uczciwie stwierdzić, że polskiego socjalizmu nie ma. PPS reprezentuje historię a rewizjoniści różnych szkół reprezentują projekty i teorie. Nowoczesny polski socjalizm będzie się krystalizował powoli i — jak zaznaczyłem uprzednio — jego ostateczny program nie będzie ani kopią programu PPS ani kopią programów rewizjonistycznych.

Lewicowy ośrodek na emigracji o postawie otwartej — miałby szanse przyciągnięcia młodych ludzi z drugiej i trzeciej fali emigracyjnej. Wówczas ośrodek lewicowy zdobyłby konkretne szanse dialogu z socjalistami w Kraju.

Wydaje mi się, że zbliżamy się do momentu kiedy trzeba — jak mówią Anglicy — zwołać się i policzyć. Coraz wyraźniej zarysowuje się następujący schemat sytuacyjny. W Kraju — po jednej stronie moczarowcy po drugiej stronie rewizjoniści. Na górze reżym, słaby i niepopularny. Rewizjoniści rozbici są na frakcje — moczarowcy stanowią zwartą grupę.

Na emigracji układ jest niemal identyczny. Po jednej stronie mamy endeków — najlepiej zorganizowaną i zdyscyplinowaną partię na obczyźnie. Po drugiej stronie mamy lewicowców rozczarowanych i rozbitych na frakcje. Na górze reżym — niepopularny i słaby.

Nie trzeba jednak zapominać, że lewica posiada wielki potencjalny atut, tj. poparcie polskiej klasy robotniczej.

Ośrodek socjalistyczny o którym mówimy — nie powinien wchodzić w skład Zjednoczenia Narodowego. Ośrodek, by spełnić swoje zadanie w stosunku do Kraju, nie mógłby być krepowany uchwałami, statutami, aktami zjednoczenia itd.

Chciałbym przekonać socjalistów polskich na emigracji — tych z legitymacją partyjną i tych bez legitymacji — że mają wręcz wyjątkową misję do spełnienia, której winni sprostać. Przyszła Polska będzie socjalistyczna nie dlatego, że „przeorał nas komunizm”, nie dlatego, że sąsiadujemy z Rosją — tylko z tej przyczyny, że w przeciwieństwie do Polski przedwojennej klasa robotnicza stanowi dziś ilościowy i jakościowy trzon narodu. Wyzwolenie klasy robotniczej — przywrócenie jej praw demokratycznych będzie równoznaczne z ustanowieniem w Polsce socjalizmu. Robotnicy w Polsce — podobnie jak robotnicy w Czechosłowacji — nie pragną restauracji ustrojów przedwojennych. Ponieważ robotnicy plus postępową inteligencją stanowią większość wyborców będą mieli taki ustrój jakiego zechcą. Demokracja nie polega na zwalczaniu się wzajemnym dwudziestu partii. Demokratyczny jest ustrój jakiego sobie życzy większość wyborców.

Gdy się rozmawia z szeregowym członkiem PPS nie ma trudności w ustaleniu płaszczyzny porozumienia. Lecz partia to jest konwencja — statuty, programy, uchwały — polityczny kościół w którym laikat ma niewiele do powiedzenia. Niniejszy artykuł zaadresowany jest do „socjalistycznego laikatu” do którego sam

się zaliczam. Przywódcy powołują się zawsze na „dziejowe dziedzictwo”, tradycję itp. — w przekonaniu, że tylko rodowód historyczny zapewnia ciągłość i trwanie. Nic fałszywszego. Ciągłość i trwanie zapewnia tylko walka o rozwiązanie współczesnych problemów i jeżeli tradycja stoi temu na przeszkodzie — należy tradycję przekazać archiwom.

„List Otwarty do Partii” Kuroń i Modzelewskiego poddałem na tych łamach surowej krytyce. To nie jest typ socjalizmu, który uważałbym za ideał. Niemniej, ponieważ Kuroń i Modzelewski są przeciwnikami komunistycznego totalizmu, uważam ich za tych z którymi byłaby możliwa dyskusja i współpraca. Ich bezkompromisowe oddanie idei socjalistycznej — choć rozumieją ją inaczej niż ja, czy PPS, nie może być poddawane w wątpliwość. By móc współpracować z ludźmi tego typu trzeba być „otwartym socjalistą” — to znaczy zdawać sobie sprawę, że ani program PPS, ani „List Otwarty do Partii”, ani reformizm czeski — to nie są ostatecznie słowa polskiego socjalizmu.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

LIST DO KSIĘŻY Z PASZPORTAMI PRL

W związku z moim artykułem w styczniowym numerze *Kultury*, w którym poruszyłem sprawę księży polskich z reżymowymi paszportami — otrzymałem sporo listów od księży z paszportami PRL. Większość tej korespondencji utrzymana jest w tonie kulturalnym i uprzejmym. Kilka listów, których autorzy zarzucają mi złą wolę i nie przebijają w słowach — pomijam milczeniem.

Księża o których mowa to przeważnie młodzi ludzie, wychowani i wykształceni w Polsce Ludowej. Wszyscy zgodnie i chóralnie wysuwają tezę, że jako starszy pan, który opuścił Polskę dziesiątki lat temu — nie rozumiem specyfiki krajowej, czego najlepszym dowodem jest mój stosunek do księży z reżymowymi paszportami.

Ponieważ powyższy zarzut powtarza się dosłownie we wszystkich listach należy sprawę wyjaśnić. Pisałem wielokrotnie na tych łamach o problemie wyobcowania i gotów jestem przyznać, że zarówno większość emigrantów jak i niżej podpisany — nie wyczuwamy Polski współczesnej w tym samym ćwierć wieku co nasi Rodacy w Kraju. W *Kulturze* studiujemy od niemal ćwierć wieku sprawy krajowe, podtrzymujemy liczne kontakty osobiste — lecz oczywiście i nam można postawić zarzut, że jesteśmy częściowo wyobcowani.

Moi szanowni korespondenci zapominają jednak, że reżymowe paszporty księży to nie jest problem krajowy tylko *problem emigracyjny*.

Jeżeli chodzi o emigrację, to nie moi krytycy ale ja stoję na twardym gruncie, ponieważ jestem emigrantem od trzydziestu lat i specyfikę emigracji znam raczej dość dokładnie. Wyobecowanymi w tym wypadku są polscy księża, którzy przebywają na emigracji od roku czy od dwóch lat i którzy po tak krótkim pobycie pośród nas roszczą sobie prawo wyrokowania w czysto emigracyjnych sprawach.

Jeden z moich korespondentów pisze, że jako ksiądz misjonarz przemierzył wielokrotnie Polskę wzdłuż i wszerz. Zazdroszczę mu, że miał możliwość poznać Polskę tak dokładnie. Lecz znajomość kraju i jego problematyki nie jest równoznaczna ze znajomością polskiej emigracji i jej problematyki. Polacy zagraniczni, których jest ponad 10 milionów — mają własną „specyfikę”, którą by zrozumieć i odczuć, trzeba samemu być emigrantem.

Moi korespondenci mieszają dwie różne sprawy. Polacy zagraniczni podobnie jak Polacy w Kraju — pragną służyć Polsce i jej interesom. W *Kulturze* poświęcamy wielokrotnie więcej miejsca sprawom krajowym niż emigracyjnym. Cała nasza działalność polityczna związana jest z Krajem i jest wyłącznie nastawiona na Kraj.

Niemniej jako formacja kulturowo-społeczna Polacy zagraniczni różnią się znacznie od Polaków krajowych. Jesteśmy poddani wpływom obcych kultur — uformowały nas odmienne warunki społeczne, ustrojowe i gospodarcze, czytamy obco-języczną prasę i książki itp. itd. Pomijam w tym miejscu aspekt polityczny zagadnienia i pragnę tylko podkreślić fakt, że choć większość z nas zachowała z Krajem poczucie wspólnoty narodowej — niemniej, z socjologicznego punktu widzenia, tworzymy odrębną grupę o odrębnych zagadnieniach.

Kościół był zawsze obrońcą prawa naturalnego. Otóż wydaje mi się, że z mocy prawa naturalnego każdej odrębnej grupie społeczno-kulturalnej winien przysługiwać tytuł domagania się własnego duszpasterstwa. Spowiednik, który rok temu przyjechał z Polski Ludowej — przy najlepszej woli i osobistej świętobliwości — nie jest w stanie zrozumieć trosk, zmartwień i problemów emigranta z tej prostej przyczyny, że ich nie zna. Chrześcijaństwo nie jest abstraktem tylko modłą życia. Owo życie z kolei kształtuje się w określonych warunkach i jeżeli się owych warunków nie zna i nie wyzuwa — nie można na modłę życia wpływać ani jej oszczędzić. Wspólnota języka w pewnych wypadkach pogłębia tylko poczucie obcości, ponieważ emigrant od księdza Polaka oczekuje większego zrozumienia niż od księdza Anglika czy Francuza.

Należy jeszcze raz podkreślić z naciskiem fakt następujący. Polacy zagraniczni pragną służyć Krajowi — nie oznacza to jednak, że można ich identyfikować z Polakami krajowymi. Nie ma „narodu emigrantów” — lecz Polacy zagraniczni stanowią konglomerat odrębnych grup społecznych o własnej literaturze, własnym czasopiśmiennictwie, własnym życiu kulturalnym, własnych rodzicznych instytucjach itp. Nawet gdyby w Warszawie urzędował rząd, który Polacy zagraniczni uważaliby za legalny rząd polski — nawet wówczas dziesięciomilionowe zgrupowanie Polaków na obczyźnie miałyby moralne i naturalne prawo do własnego duszpasterstwa.

Może zdołam przekonać moich oponentów następującym przykładem. Wyobraźmy sobie księdza, który skończył studia w Anglii i przez 20 lat pracował w duszpasterstwie emigracyjnym. Oczywiście ów ksiądz nie znałby Polski współczesnej, ani jej ustroju i klimatu psychicznego z własnego do-

świadczenia. Założmy, że po 20 latach na obczyźnie ów ksiądz postanawia wrócić do Kraju. Jest oczywiście zupełnie wykluczone by polskie władze kościelne zamianowały go proboszczem w Nowym Sączu czy w Tarnowie. Powiedziano by mu — i słusznie — że wprawdzie musi się zaaklimatyzować w dzisiejszej Polsce, poznać ludzi — ich problemy i troski.

Zaznaczyłem powyżej, że Polacy zagraniczni — z uwagi na ich liczebność i odrębność — w każdym warunkach mieliby prawo do własnego duszpasterstwa. Obecnie ten problem nabrał specjalnego znaczenia, ponieważ Polacy zagraniczni w znakomitej większości nie uznają komunistycznego rządu PRL za legalny rząd polski.

Wszyscy moi korespondenci podkreślają jednogłośnie, że kościół nie uprawia polityki, że stoi z dala od polityki, że polityka się nie interesuje.

Nie należy chować głowy w piasek. Każdy obywatel Polski Ludowej przebywający zagranicą jest zobowiązany do nie przedsięwzięcia żadnej akcji która szkodziłaby PRL. Polityka niepodległościowa — pod którą podpisuje się większość Polaków zagranicznych — oceniana jest przez reżym komunistyczny jako „akcja dywersyjna”. Jak można pracować pomiędzy „dywersantami” jeżeli samemu nie jest się „dywersantem”? W końcu trzeba wybrać pomiędzy lojalnością dla reżymu, PRL a lojalnością wobec wroga reżymowi emigracji.

Jest coś z gruntu fałszywego w owej podwójnej lojalności księży z paszportami reżymowymi. Piszę o podwójnej lojalności, bo wielu księży reżymowych (nazwijmy ich tak dla skrót) podejmuje do wiernych na emigracji z najlepszymi intencjami. Chcieliby wypełnić swój duszpasterski obowiązek wobec emigrantów, a równocześnie zatrzymać paszport reżymowy, by móc wrócić do Polski. Zatrzymać paszport reżymowy mogą tylko za cenę odcięcia się, a często potępienia — najistotniejszej idei dla której emigranci pozostali zagranicą.

To jest konflikt sumienia, którego nie da się „zakłajstrować” wykrętą sofistyką, że kościół nie uprawia polityki. Tu nie chodzi o politykę tylko o dwie różne postawy ideowe, które są ze sobą nie do pogodzenia.

Jeden z księży pisze, że gdyby był agentem UB, obciążonym zbrodniami, ale który wybrał wolność — to dziś *Kultura* byłaby jego obrońcą. Natomiast jako ksiądz z paszportem PRL, który stara się wypełnić swe obowiązki wobec wiernych na emigracji *Kultura* go potępia.

Agentów UB, którzy wybierali wolność emigracja nigdy nie przyjęła do swojej społeczności. Księża z paszportami reżymowymi nie potępiamy. Jeżeli ksiądz polski przyjeżdża odwiedzić swoją rodzinę we Francji jest zrozumiałe, że podróżuje z paszportem reżymowym. Wszyscy Polacy w Kraju mogą mieć tylko paszport reżymowy i przecież nikt chyba nas nie posądzi, że potępiamy wszystkich Polaków w Kraju.

W gruncie rzeczy sprawa jest prosta i jasna. Jeżeli młody ksiądz polski pragnie poświęcić swoje życie pracy duszpasterskiej wśród emigrantów — musi sam zostać emigrantem. Musi zostać emigrantem, gdyż to stanowi w tym konkretnym wypadku istotę jego misyjnego powołania. Przyznając, że to jest trudna decyzja. Lecz zawsze było wygodniej być proboszczem w zamieszanej wsi na lubelszczyźnie niż poświęcić się pracy misyjnej.

Wszyscy moi korespondenci piszą: „skąd wziąć księży emigrantów?” Odpowiadam: spośród Was, drodzy młodzi księża z reżymowymi paszportami. Spośród Was!

Gdy po wyjściu z wojska zdecydowałem się zostać na obczyźnie, zdawa-

łem sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, że jako publicysta będę mógł wypełnić moje zadanie tylko na emigracji — i po drugie, że powyższą decyzją skazuję się na biedę, względnie bardzo skromne warunki do końca życia. Miałem propozycję powrotu do Kraju. Nie wątpię, że w Polsce Ludowej znalazłoby się dla mnie mieszkanie i dobrze płatna synekura. Nie spadłby mi włos z głowy — gdyż, gdyby mi spadł włos z głowy, działałoby to odstrasza- jąco na moich potencjalnych naśladowców. Musiałbym tylko raz i na zawsze zrezygnować z mojego powołania niezależnego polskiego publicysty.

W setkach artykułów, które ogłosiłem w *Kulturze* — krytykowałem emigrację jako może żaden inny publicysta. Gromiłem i wytykałem błędy — czasem może przesadnie. Od publicysty z reżymowym paszportem emigra- cja nigdy by tego nie przyjęła. Na to by wytykać, krytykować i proponować nowe rozwiązania — trzeba być pełno-prawnym członkiem danej społeczności o niekwestionowanej postawie i dobrej woli.

Religia katolicka jest religią społeczną. Ksiądz nie może ograniczać się do nauki katechizmu, ponieważ parafia jest nie tylko organizacją religijną lecz i społeczną. W ramach tej organizacji przełamują się wszystkie proble- my społeczne, polityczne, ideologiczne — danej grupy emigrantów, którzy tworzą parafię. Ksiądz, który pragnie wypełnić swoje zadanie — nie może uciec przed uczestnictwem w życiu społecznym, które z natury rzeczy nigdy nie jest a-polityczne.

Nabożeństwo i akademie w sali parafialnej z okazji Święta 3 Maja, które w PRL zostało skasowane — czy nabożeństwo żałobne za ofiary w Katyniu i odczyt przypominający tę straszną tragedię — to nie jest polityka. To jest fragment działalności religijno-społecznej w parafii emigracyjnej.

W cytowanej sytuacji nie emigranci uprawiają politykę. Politykę upra- wia ksiądz reżymowy, który ze strachu o swój paszport odmawia udziału w tych nabożeństwach.

Całe zagadnienie sprowadza się do owego problemu podwójnej lojalności. Albo w sumieniu swoim przyznaje się słuszność naszym dążeniom i nadzie- jom — i wówczas należy wybrać status emigranta — albo odrzuca się naszą postawę. Jeżeli odrzuca się naszą postawę jako niesłuszną — należy zrezy- gnować z pracy wśród emigrantów.

Ksiądz w Polsce wyboru nie ma i wskutek tego w tej sprawie nie obcią- ża go żadna odpowiedzialność. Lecz ksiądz z paszportem reżymowym na ob- czyźnie każdej chwili może wybrać status emigranta. Dziesiątki Polaków krajowych co roku wybierają wolność. Wydawać by się mogło, że katolicy księża winni być w pierwszym szeregu tych, którzy chcą się pozbyć paszportu ateistycznego, komunistycznego reżymu. Władze kościelne mogą utrudniać powzięcie takiej decyzji, lecz nie mogą zabronić księdzu przyjęcia statusu emigranta.

Jest nie do pomyślenia by w polskich szkołach na obczyźnie wykładali literaturę polską naśnani nauczyciele z reżymowymi paszportami. W polskim systemie wychowawczym religia katolicka odgrywała zawsze niezmiernie waż- ną rolę. Przywykliśmy identyfikować katolicyzm z patriotyzmem. Fundament pod mój patriotyzm kładli ojcowie Jezuici w Chyrowie, którzy byli bezkomp- promisowymi Polakami.

„Kościół nie bawi się w politykę” — powtarzają wszyscy moi korespon- denci. Lecz do czego to się sprowadza? W okresie walki jaką prowadzą Pola- cy z reżymem komunistycznym, walki usprawiedliwionej i słusznej — księża

reżymowi na obczyźnie — gdzie korzystają z pełnej wolności — zajmują sta- nowisko w najlepszym razie neutralne.

Tego rodzaju rozdźwięku pomiędzy katolicyzmem a patriotyzmem w na- szych dziejach do tej pory nie było. Jeżeli ów proces będzie trwał — po- ciągnie za sobą poważne negatywne konsekwencje.

Na zakończenie uwaga osobista. Moje stwierdzenie, że nie jestem orto- doksyjnym katolikiem — księża korespondenci interpretują fałszywie. Nie jestem religijnie obojętny. Przeciwnie — nic mnie głębiej nie przejmuje niż problematyka religijna. Moja nieortodoksyjność polega tylko na tym, że sumienia i umysłu nie poddaję dyktatowi totalnej władzy czy to świeckiej czy kościelnej.

Niniejszy list do księży z paszportami PRL — nie wyczerpuje i nie za- myka sprawy. Powrócimy do tych problemów w następnych numerach *Kultury*.

REAKCJE NIEPRZEWIDZIANE

Czechosłowacy przez lata tolerowali spokojnie i cierpliwie system Novot- nego. System Novotnego stanowił jedną z najbardziej ponurych i nudnych odmian komunizmu. Nie dziwię się Rosjanom, że ani nie rozumieją tego co dzieje się w Czechosłowacji, ani nie wiedzą co należy robić.

Obecny reżym — choć zrezygnować musiał niemal ze wszystkiego — jest niepomiernie lepszy od reżymu Novotnego. Rosjanie muszą sobie zadawać pytanie dlaczego Czesi, którzy tak długo tolerowali Novotnego — nie chcą się zgodzić na system neo-Novotnego. W końcu coś się zmieniło? Czesi są takimi samymi Czechami jakimi byli 10 lat temu — Czechosłowacja jest nadal małym państwem — Związek Sowiecki jest protektorem i sojusznikiem jak zawsze bywało — więc właściwie o co chodzi?

Na powyższe pytanie nie jest łatwo odpowiedzieć ani w Moskwie ani w Londynie.

Czesi mieli zawsze tylko jedną orientację — to znaczy byli pro-rosyjscy. Polakowi trudno jest to zrozumieć, ponieważ nie mieliśmy nigdy powszech- nej orientacji. Nienawidziliśmy Rosjan i nienawidziliśmy Niemców. Więk- szość Polaków była za Napoleonem i myślę, że pro-napoleońska orientacja sta- nowi odosobniony fenomen w naszych dziejach.

Gdy umarł Stalin ludzie płakali na ulicach Pragi. Widziałem dokumen- tacyjne filmy z tego okresu. Czesi nie mają za sobą tradycji zesań, katongi, Sybiru — pamiętają natomiast Monachium — gdzie wydano „daleki i nie znany kraj” (Chamberlain) — na pastwę hitleryzmu. Dubczek — tenże Aleksander Dubczek kończył szkołę w Rosji, mówi po rosyjsku jak Rosjanin i Breżniew mówił o nim „nasz kochany Sasza”. Przyjaźń i wiara w potężnego słowiańskiego brata była w Czechosłowacji autentyczna i szczerą.

Gdyby Rosjanie dokonali aktu agresji przeciw Polsce — byłoby to zupełnie coś innego niż agresja przeciw Czechosłowacji. Każdy Polak — z większością komunistów włącznie — uważałby, że „odwieczny wróg naje- chał nasze ziemie”. Polacy — z większością komunistów włącznie — nie oczekują niczego dobrego od Rosji. Polacy lubią indywidualnych Rosjan, którzy bywają czarującymi ludźmi, lecz do Rosji jako państwa żywią głęboko zakorzenioną nieufność i nienawiść.

W sierpniu ub. roku najechał ziemię Czechów i Słowaków nie odwieczny wróg lecz odwieczny przyjaciel. Agresja wywołała szok. Studenci wypisywali na murach Pragi słowo: „Dlaczego?” W kontekście polskim brzmi to wręcz absurdalnie. Gdyby Rosjanie okupowali Warszawę żadnemu Polakowi nie przyszłoby do głowy wypisywać na murach słowa „dlaczego?” My wiemy dlaczego, i wiemy to od dwustu lat.

Ryzykuję pogląd, że dziś Czesi bardziej nienawidzą Rosjan niż Polacy — ponieważ myśmy Rosjan nigdy nie uważali za swoich przyjaciół. Nasza nienawiść jest tradycyjna, znużona, tli się w popiołach przeszłości — lecz nie bucha żywym ogniem. Z tych przyczyn uważam, że w analogicznej sytuacji Rosjanie łatwiej znaleźliby w Polsce kolaborantów niż w Czechosłowacji. Mamy bowiem za sobą nie tylko tradycję powstań lecz i tradycję kolaboracji. Nie mamy natomiast tradycji prawdziwej przyjaźni z Rosją.

Agresja spowodowała wstrząs równy trzęsieniu ziemi — ponieważ w oczach Czechów była czymś niewiarygodnym. Czesi nie rozumieją Rosjan i wydaje mi się, że nigdy ich nie rozumieli. Polacy psychiką i temperamentem są znacznie bliżsi Rosjanom niż Czesi i daleko lepiej ich rozumieją, tak w dobrym jak i w złym. Czesi rozumieją lepiej Niemców niż Polacy i są im bliżsi psychiką i usposobieniem niż my. Niemcy cenią Czechów znacznie wyżej niż Polaków.

Polacy w gruncie rzeczy nie rozumieją tragedii czechosłowackiej, ponieważ to jest wydarzenie w naszych dziejach nienotowane. Zachowanie się Rosjan w okresie Powstania Warszawskiego — było typowe i zgodne z tradycją. Uwięzienie 16-tu również nie było niczym nowym. To wszystko już było i każdy Polak umie to na pamięć.

Imperializm rosyjski nie wywołuje w Polsce szoku co w Czechosłowacji — ponieważ Rosjanie nie są *de facto* w stanie zrobić w stosunku do nas niczego bez analogii i precedensu. Nawet gdyby Warszawę włączyli do Związku Sowieckiego — nie byłby to akt bez historycznej analogii.

Wstrząs — tak w życiu jednostki jak i w życiu narodu — wywołują sytuacje bez analogii. Umysł ludzki pracuje w oparciu o analogie. Wydarzenie bez precedensu i bez analogii w historycznym doświadczeniu — wywołuje reakcje nieprzewidziane. Dlatego Czesi zareagowali i nadal reagują — nieprzewidzianie.

LONDYŃCZYK

Ewolucja komunizmu

Jedność w różnorodności

WŁOSKI MODEL SOCJALIZMU 1969

Wydarzenia ubiegłego roku postawiły problem komunizmu w centrum opinii publicznej. Jednocześnie pojawiło się pytanie: „który komunizm?”, ponieważ samo pojęcie komunizmu przestało być wspólnym mianownikiem a dopiero towarzyszący mu przymiotnik jest w stanie określić dany ustrój czy ideologię.

Opancerzony komunizm sowiecki, chińska rewolucja kulturalna, socjalizm „z ludzką twarzą” w Czechosłowacji, globalna kontestacja systemu kapitalistycznego, której wyrazem był „maj francuski”, stworzyły sytuację, w której akceptacja, czy odrzucenie komunizmu *en bloc* okazała się praktycznie niemożliwa. Powstały jednocześnie warunki dla wypracowania jeszcze jednego modelu socjalizmu. W chwili rozpoczęcia XII-go kongresu, Włoska Partia Komunistyczna (PCI) miała za sobą sukces wyborczy (8 milionów głosów) oraz jasno sprecyzowane stanowisko odnośnie wypadków czechosłowackich, co podniosło jeszcze jej popularność, tak wewnątrz kraju jak i na terenie międzynarodowym. Oba te czynniki, w połączeniu z wewnętrznym kryzysem polityczno-społecznym, otwierając nowe możliwości, postawiły PCI wobec konieczności wskazania roli jaką pragnie odegrać w politycznym układzie sił we Włoszech i w międzynarodowym ruchu robotniczym. Krótko mówiąc, Włoska Partia Komunistyczna, biorąc na siebie odpowiedzialność promotora „samodzielnej drogi do socjalizmu” została tym samym zmuszona do określenia własnej polityki.

Atmosfera oczekiwania i ogólne zainteresowanie, otaczające XII Kongres — mówi Berlinguer, nowy wicesekretarz PCI —

„wynikają ze ściśle określonych i dość oczywistych przyczyn obiektywnych: przede wszystkim z powagi polityczno-społecznej kryzysu w naszym kraju i ze świadomości roli, jaką może odegrać polityka naszej partii w przebiegu

i przy wyjściu z tego kryzysu; po drugie, ze stanowiska, zajmowanego przez PCI i z roli jaką odgrywa ona i może odegrać w międzynarodowym ruchu robotniczym, [...] który przeżywa obecnie moment silnego i głębokiego wzburzenia”.

Propozycja alternatywy

Pytanie: Co robić aby znaleźć wyjście z istniejącego kryzysu jest punktem wyjścia dla całej dyskusji na zjeździe, poczynając od „propozycji” Longo, po „konkluzje” Berlinguera.

Pierwszy sekretarz Partii włoskiej, Luigi Longo, otwiera Kongres słowami:

„Towarzysze i przyjaciele, nasz XII-ty Kongres odbywa się w sytuacji złożonej i pełnej przeciwieństw, bogatej w nowe możliwości, lecz także pełnej niebezpieczeństw. [...] Masowe walki i fala protestu stają się coraz bardziej świadome; wzrasta niepokój i niepewność wśród ugrupowań rządzących, wśród wszystkich ludzi o tradycjach demokratycznych. Jednocześnie — kontynuuje Longo — utworzyły się nowe możliwości sojuszu między klasą robotniczą, szerokimi warstwami inteligencji oraz rzeszą studentów. [...] Nastąpiło masowe rozszerzenie sił społecznych, zainteresowanych w przeprowadzeniu demokratycznej i socjalistycznej przemiany. Wynikający z tego problem polityczny to stworzenie takiej płaszczyzny dla inicjatywy i walki, która umożliwiłaby zbieżność interesów i współpracę różnorodnych sił społecznych, dla realizacji wspólnych celów przemiany”.

Następnie Longo przechodzi do konkretnej propozycji politycznej „stworzenia nowego bloku sił”, który stanowiłby „alternatywę w stosunku do centro-lewicy”. Zadanie partii widzi w akcji „zdolnej wywołać wybuch przeciwieństw w łonie większości parlamentarnej i prowadzącej do zbliżenia wszystkich sił lewicowych, socjalistycznych, katolickich i demokratycznych tak, by stworzyć warunki dla utworzenia nowej większości i nowego, politycznego kierownictwa kraju”.

„Nie należy zapominać, — dodaje Longo — że postępową drogą do socjalizmu, w naszej sytuacji, to nie tylko o droga parlamentarna, lecz także i droga parlamentarna”.

Pod czym adresem skierowana została propozycja partii? Podczas gdy sam fakt otwarcia dialogu został uznany za oczywisty i konieczny, dyskusja potoczyła się wokół wyboru interlokutorów, implikujących określoną postawę i program.

Longo, reprezentujący dotychczasową „oficjalną” linię partii, proponując dialog „na obie strony”, zachowuje jednak pewne rezerwy w stosunku do potencjalnych sojuszników, wywodzących się czy to z autonomicznych ruchów i organizacji lewicowych czy też z ugrupowań działających wewnątrz partii chrześcijańsko-demokratycznej czy socjalistycznej (PSI). Natomiast tak zwana „nowa lewica partyjna” oraz zbliżona do niej linia Pietro Ingrao, jednego z liderów PCI kładzie przede wszystkim nacisk na wykorzystanie masowych ruchów protestacyjnych, studenckich i robotniczych i, jeśli nie odrzuca, to w każdym razie pomniejsza

znaczenie porozumienia z chrześcijańską demokracją i socjalistami.

Pintor, uważany za lidera „nowej lewicy”, biorąc za punkt wyjścia „rewolucyjny charakter istniejącego kryzysu” zdecydowanie odrzuca „możliwość dialogu z socjalistami i chrześcijańską demokracją wokół programu, który byłby godzien naszego poparcia”. Należy natomiast dążyć do połączenia walk robotniczych ze studenckimi i na tej bazie stworzyć nowy blok, którego celem byłoby nie poszczególne reformy, lecz „pokonanie i likwidacja kapitalizmu”. Przedmiotem dyskusji staje się już nie sam problem stworzenia alternatywy politycznej w stosunku do bloku centro-lewicy lecz problem podważenia całej struktury systemu. Jaka ma być więc alternatywa, którą partia komunistyczna proponuje krajowi?

Wychodząc z istniejących już na ten temat rozbieżności w łonie samej partii, Caprara, jeden z przedstawicieli „nowej lewicy” stawia pytanie: czy będzie to „nowa większość parlamentarna, której narzucimy odważny nawet program reform, lecz która nie postawi jasno problemu podważenia struktury całego systemu, czy też alternatywa tegoż systemu, czyli objęcie władzy przez blok, którego celem jest przejście do socjalizmu. [...] Burżuazyjne siły we Włoszech nie są poważnym partnerem na wspólnej drodze. [...] Nie powinniśmy tracić czasu i zaufania, wiązać nici niemożliwej do przeprowadzenia dyskusji, pozwalając by kryzys gnął wśród zamieszania i niepewności, zniechęcając napędowe siły rewolucyjne. Polityka nowej większości nie jest dla mnie przekonującą”. Natoli, podkreślając poparcie dla stanowiska Pintora, uważa że „stawianie na pierwszy plan polityki aliansów [...] może być także hamulcem dla bardziej postępowych inicjatyw”. Pietro Ingrao, uważany w 1966 roku za rzecznika lewicowej opozycji wewnątrzpartyjnej, w przeciwieństwie do antyliberalistycznej prawicy spod znaku Amendoli, w swym wystąpieniu na XII-ym kongresie usiłował zbliżyć pozycje „nowej lewicy” do linii oficjalnej. Stworzył pewnego rodzaju hierarchię ważności poszczególnych interlokutorów. Masowy ruch robotniczy, ruch studencki lecz także „siły, które jeszcze nie stanowią opozycji wobec systemu, lecz które w ogniu walki klasowej modyfikują się i przechodzą na inne pozycje, czyli lewica katolicka i socjalistyczna”. Nie chodzi ani o „erozję” demokracji chrześcijańskiej czy partii socjalistycznej, lub o włączenie do PCI pewnych ugrupowań czy przyłączenie tej ostatniej do istniejących dziś partii centro-lewicy lecz o „zmianę struktury całej lewicy”.

Partnerzy dialogu

Pozostawmy na boku aspekt politycznej słuszności stanowiska „nowej lewicy”, a także skomplikowane rozgrywki wewnątrzpartyjne. Ustosunkowanie się partii do propozycji „nowej lewicy” to przede wszystkim zajęcie strategicznej pozycji wobec młodych

w ogóle, którzy, jeśli mają być partnerami dialogu, muszą znaleźć punkty styeczne między własną ideologią (czy kontestacją) a linią partii. Z drugiej strony partia, stając się rzecznikiem otwarcia dialogu na zewnątrz, musi nie tylko zaakceptować istnienie wewnętrznej opozycji, ale liczyć się z jej zdaniem przy opracowywaniu linii działania. Zdanie korespondenta *Monde'u*, jakoby „nowa lewica była luksusem, na który partia może sobie pozwolić” wydaje się nieco powierzchowne. Rozszerzenie wewnętrznej dialektyki partyjnej to nie tylko jeden z podstawowych elementów nowego modelu partii komunistycznej i jej metod działania, który PCI pragnie zaproponować tak na terenie włoskim jak i międzynarodowym. Jest to warunek nawiązania konkretnego dialogu z „pokoleniem kontestacji”.

Z trybuny kongresu padło wiele zapewnień o doniosłości masowego ruchu protestacyjnego o konieczności powiązania ruchu studenckiego z robotniczym w organiczną całość. Rzecz w tym, że na terenie Włoch (i nie tylko Włoch) istnieją już zorganizowane, autonomiczne grupy, o bardziej lub mniej jasno sprecyzowanym programie, w pewnych wypadkach reprezentujące tendencje ekstremistyczne (pro-chińscy „Marksści-leniniści”, „Movimento Studentesco” — ruch studencki, i inne mniejsze ugrupowania). Grupy te już prowadzą agitację wśród robotników, ustawiają pikety przed strajkującymi fabrykami, organizują manifestacje. Partia nie ma już do czynienia z niezorganizowaną, wzburzoną masą, która czeka na konkretny program. Autonomiczne ugrupowania, a głównie „Ruch studencki”, traktowane jako potencjalni partnerzy są bardzo trudnym i wymagającym interlokutorem, stawiającym konkretne pytania i żądającym konkretnych odpowiedzi.

Nic więc dziwnego, że problem „bodźców oddolnych”, czyli masowego ruchu protestacyjnego oraz konieczność sprecyzowania stanowiska Partii, był drugim, podstawowym punktem programu Kongresu. Jednocześnie sam charakter tego ruchu i jego założenia narzuciły konieczność przeanalizowania zagadnień o charakterze ideologicznym, wykraczających poza ramy strategii działania w danej, aktualnej sytuacji. Nawet jeśli Ingrao odrzucał, jako z gruntu fałszywy, domniemany dylemat „wyboru między kontestacją a parlamentem”, problem stworzenia wspólnej płaszczyzny dla tych dwóch tendencji pozostał problemem otwartym aż do końca Kongresu.

Tolerancyjna postawa Longo, czyli partii w jej oficjalnym wydaniu, wobec „idei i tendencji, których nie podzielamy”, oraz potwierdzenie „gotowości do dyskusowania ze wszystkimi” były zielonym światłem dla propozycji skierowanych pośrednio lub bezpośrednio pod adresem młodych (głównie ze strony „nowej lewicy”) a także nadały znaczenia wypowiedziom przedstawicieli FGCI (Zw. włoskiej Młodzieży Komunistycznej), będącego rodzajem komsomołu, oczywiście tylko pod względem stosunków organizacyjnych z partią. Cytowany już wyżej Pintor uważa za jedyne wyjście z kryzysu „podniesienie całości ruchu (studenckiego i ro-

botniczego) na wyższy poziom polityczny”, czyli bezpośredni udział kontestatorów w sprawowaniu władzy politycznej. Jako alternatywę instytucji „odgórných”, proponuje stworzenie „tkanki demokracji robotniczej, [...] która bezpośrednio nadałaby klasie robotniczej jej polityczne znaczenie”. Ingrao, dzieląc w tym względzie stanowisko Pintora wysuwa koncepcję „sieci organów bezpośrednio demokracji”, które powinny działać właśnie na terenie Parlamentu. Punkt, w którym zbiega się linia partii z ruchem młodzieżowym to „działalność oddolna”, to, zdaniem Ingrao, odebranie władzy biurokratycznym aparatom. Nawet sama partia nie może mieć wyłączności na jej sprawowanie, gdyż władzę powinny sprawować „samorządy ludzi pracy”. Zaangażowanie się partii w tym kierunku to jedyny warunek mobilizacji nowego pokolenia. Zarówno Natoli jak i Pintor podkreślają rewolucyjny charakter aktualnego procesu i proponują, zamiast „sloganów” (Pintor) czy „ogólnikowych dyskusji na temat błędów, trudności czy próżni politycznych” (Natoli), „konkretne postawienie sprawy socjalizmu”, „powtórne rozpatrzenie całości zagadnienia struktury społeczeństwa i państwa włoskiego” a także konieczność przeprowadzenia „analizy marksistowskiej całości doświadczeń sowieckich i doświadczeń naszego ruchu”. (Pintor). „Nie możemy zatrzymywać się na krytyce ideologii Ruchu Studenckiego — mówi Borghini, członek kierownictwa FGCI — ale przekształcić ją w krytykę społeczeństwa kapitalistycznego”.

„Należy już dziś postawić zagadnienie przejścia do komunizmu” — precyzuje Rossana Rossanda, reprezentująca najskrajniejsze stanowisko w łonie „nowej lewicy”. Stąd już niedaleko do pozycji ideologicznych Ruchu Studenckiego czy Partii Marksistowsko-Leninowskiej, które, na swój sposób interpretując „Czerwoną książeczkę” Mao, pisma Che Guevary i filozofię Marcuse, proponują całkowitą zmianę struktury systemu poprzez walkę z instytucjami represyjnymi zaawansowanego kapitalizmu, poczynając od rodziny, poprzez szkołę, uniwersytet, fabrykę aż do organów władzy.

Czy istnieje w ogóle możliwość skanalizowania tego typu globalnej kontestacji w ramach realnego programu Partii Komunistycznej? Wśród licznych zapewnień o poparciu dla ruchu studenckiego, o poszanowaniu autonomii etc., Longo podkreślił wyraźnie: „Nigdy nie podzielaliśmy teorii, że im gorzej, tym lepiej. Nawet w tej sytuacji, pełnej głębokich kontrastów i ostrych walk politycznych, nie stawiamy na anarchistyczne konwulsje”.

Jakie więc miejsce, w ostatecznym rozrachunku, zostało przyznane kontestacji młodych i młodzieży w ogóle, w „w strategii przymierzy” PCI?

Co wreszcie ofiarowuje Partia swym przyszłym sprzymierzeńcom, proponując im współdziałanie w tworzeniu nowego bloku politycznego z biegunem na lewicy?

Inauguracyjne przemówienie Longo, pełne obietnic, lecz nie pozbawione uogólnień i znaków zapytania miało przede wszystkim określić nową postawę partii i wynikające z niej możliwości dia-

logu, nadać kierunek nowej linii działania, pozostawiając szeroki margines dla konkretnego jej określenia. Stało się ono punktem wyjścia dla kontrowersyjnej w wielu wypadkach dyskusji. Tu należy zastanowić się, jakie było jej obiektywne znaczenie i w jakim stopniu wpłynęła ona na sformułowanie definitywnej linii partii. Longo położył nacisk głównie na możliwościach polityki parlamentarnej, wyraźnie precyzując z kim i o czym pragnie rozmawiać partia. Głosy „nowej lewicy” były natomiast skierowane pod adresem autonomicznych grup lewicowych, Ruchu Studenckiego i organizacji robotniczych. Podniesienie ruchu masowego do roli partnera, nawet bardzo istotnego, mogłoby okazać się niewystarczające. „Nowa lewica” miała stworzyć pomost, między partią a „kontestacją”. Sam fakt możliwości istnienia w łonie partii komunistycznej, opozycji wewnątrzpartyjnej miał być konkretnym potwierdzeniem zasady „jedności w różnorodności”, otwierając tym samym drzwi na przyjęcie prądów i ugrupowań pozapartyjnych. W przeciwnym wypadku nie byłoby mowy nie tylko o integracji, ale nawet o jakimkolwiek porozumieniu z całym odłamek młodzieży, z którym w obecnej sytuacji partia musi się liczyć.

Ostateczną linię partii, będącą wynikiem zarówno dyskusji na trybunie jak i obrad komisji przy drzwiach zamkniętych, można by scharakteryzować jako linię większości, reprezentowanej przez Longo z poprawkami na rzecz nowej lewicy. Zadanie podsumowania kongresu przypadło w udziale nowemu wicesekretarzowi PCI, Enrico Berlinguerowi, uważanemu, praktycznie rzecz biorąc, za następcę Longo. W przemówieniu swym Berlinguer, pozostając w zasadzie wierny linii proponowanej przez Longo, przedstawił niektóre akcenty, skonkretyzował niektóre z ogólnikowych koncepcji pierwszego sekretarza, zajął bardziej zdecydowane stanowisko wobec kwestii „dyskusyjnych”, które ten ostatni potraktował zbyt ostrożnie (mam na myśli sprawę Czechosłowacji). Punkt ciężkości Berlinguera leżał w zdefiniowaniu pozycji Włoskiej Partii Komunistycznej w ruchu międzynarodowym w świetle wypadków czechosłowackich. W części poświęconej sprawom wewnętrznym Berlinguer usiłował postawić na jednej płaszczyźnie kryzys rządowy i wynikające z niego możliwości oraz nasilenie fali protestacyjnej o charakterze społecznym. „Odpowiedzią na kryzys centro-lewicy było przesunięcie na lewo całego kraju”. Tak więc cele polityczne są nierozdzielnie związane z realizacją reform ekonomicznych i socjalnych. Tu Berlinguer raz jeszcze podkreślił, że „strategia reform jest więc głównie strategią przymierzy”, przy czym „to już nie sama partia ma zdobywać władzę, lecz blok sił socjalnych i politycznych, których częścią składową jest partia”. Berlinguer zaakceptował również jedną z koncepcji „nowej lewicy”, dotyczącą rozwoju „bezpośredniej sieci demokratycznej” czyli bezpośredniego udziału mas w decyzjach ekonomicznych i politycznych.

Jeśli chodzi o sojusze parlamentarne, Berlinguer ograniczył się do podkreślenia ich wagi, proponując jednocześnie cały szereg

reform, które mogłyby stać się terenem dla wspólnej dyskusji w niedalekiej przyszłości. Natomiast stosunek partii do autonomicznych ruchów młodzieżowych został zdefiniowany w bardziej konkretnych terminach niż miało to miejsce w przemówieniu Longo. Tak więc partia zapewnia „pełne uznanie autonomii poszczególnych ugrupowań [...] rezygnując z jakichkolwiek form wyłączności w walce o przemianę społeczeństwa”. Zadaniem partii jest wcielenie tych ruchów poprzez „indywidualizację, bez przyspieszonych uogólnień”, poszczególnych cech procesu „odkrywania przez nowe pokolenie własnych dróg do socjalizmu”, poprzez zmianę postawy i metod działalności i stworzenie takich samych warunków udziału w polityce partyjnej dla wszystkich elementów. „Wewnątrz partii komunistycznej i w jej stosunku do mas nie ma miejsca na zjawiska, o których pisał Gramsci, wspominając pewien okres historii Kościoła katolickiego, zjawiska dwóch prawd, jednych dla uczonych w piśmie, drugich dla prostaczków”. „Powinniśmy wymagać od wszystkich i od każdego z nas, postawy opartej na lojalności, wykluczającej, poprzez swobodę wypowiedzi i poszanowanie każdej opinii, jakiejkolwiek przejawy otwartej frakcyjności”.

Jak zareagują na taką postawę partii jej przyszli partnerzy?

Czy uda się jej zachować równowagę w trudnym dialogu „na obie strony” i dotrzymać warunków wobec każdego z interlokutorów?

Czy włoska koncepcja drogi do socjalizmu, zaproponowana przez XII-ty Kongres PCI ma realne szanse urzeczywistnienia?

Odpowiedź na to pytanie, która być może nastąpi już w niedalekiej przyszłości będzie oznaczała punkt zwrotny nie tylko dla wewnętrznych stosunków we Włoszech, lecz także w całym układzie sił międzynarodowego ruchu komunistycznego.

Jeszcze raz sprawa Czechosłowacji

Natychmiastowa reakcja PCI na inwazję Czechosłowacji w dniu 21 sierpnia i późniejsze, wielokrotne potwierdzenie „dezaprobaty” w stosunku do akcji Związku Sowieckiego i poparcia dla Czechosłowacji zdefiniowały pozycję włoskiej partii. Powtórne zajęcie stanowiska w tej sprawie przez XII-ty kongres miało jeszcze tym większe znaczenie, że na sali siedzieli przedstawiciele KPZS i pozostałych partii komunistycznych a kongres PCI odbywał się na trzy miesiące przed rozpoczęciem Światowej Konferencji Partii Komunistycznych. Wszystko wskazywało na to, że problem Czechosłowacji będzie, jeśli nie pierwszoplanowym, to najbardziej kontrowersyjnym problemem dyskusji. Otwierając Kongres, Luigi Longo potwierdził stanowisko PCI z sierpnia ubiegłego roku. Nie powtórzył już sformułowania „tragiczny błąd”, które wówczas wywołało tak wiele sprzecznych komentarzy. Sformułowanie to zostało użyte natomiast przez innych mówców, ale w zupełnie innym kontekście.

Longo raz jeszcze podkreślił zasadę „poważania autonomii i suwerenności każdej partii komunistycznej i każdego kraju socjalistycznego”, zdecydowanie odrzucił „teorię kraju lub partii przodującej” i wyraził „zrozumienie dla postawy towarzyszy czechosłowackich, którzy w trudnych warunkach, w jakich zostali postawieni przez wydarzenia sierpniowe, kontynuują odnowę zapoczątkowaną w styczniu 1968”. Na kongresie nie chodziło już o potępienie samego faktu interwencji, co było oczywiste, czy o potwierdzenie własnej autonomii w stosunku do Moskwy. Został poddany pod dyskusję system sowiecki jako taki i jego sprzeczności a także konieczność marksistowskiej analizy całego socjalizmu. Zostało zweryfikowane samo pojęcie autonomii. „Zwłaszcza po tragedii czechosłowackiej, która pozostaje ciągle otwarta — mówi Pintor — niemożliwością staje się wmańwanie sobie i innym, że biurokratyczne ograniczenia, które obciążają socjalistyczne społeczeństwa, są li-tylko historyczną spuścizną zacofania i początkowych trudności rewolucji. Pewne węzły systemu hamują dalszy proces rewolucyjny krajów socjalistycznych”. Partia nie może odpowiadać na pewne pytania przy pomocy sloganów” — precyzuje Pintor.

Walkę ze sloganami i schematyzmem prowadzi jeszcze dalej Rossanda, pytając: „Jaki jest sens polityczny naszej autonomii dziś, w momencie gdy rozluźniają się nasze więzy ze Związkiem Sowieckim? Czy prowadzi ona do zwiększenia lub zmniejszenia naszego zaangażowania w ruch międzynarodowym?” „W sierpniu był to dowód naszej odwagi i zaangażowania — potwierdza — ale od tego czasu do dziś nie zrobiliśmy ani kroku naprzód w tym kierunku. [...] Dziś stoimy już nie wobec rozczłonkowania narodowego, lecz wobec głębokich przeciwności strategii i zasad całego ruchu; należy więc dojść do meritum sprawy czyli do źródeł rozbieżności, by móc znaleźć jakieś wyjście”. Przed wszystkim, zdaniem Rossandy, należy obalić schematy, takie jak koncepcja koegzystencji pokojowej, która doprowadziła do polityki popierania strategicznych i ekonomicznych pozycji ZSSR i jego bloku, „wychodząc z założenia, że priorytet i przyszłość całego ruchu leży w umacnianiu tych pozycji”. Przeciwnie, „należy zmierzać w kierunku rozszerzenia ruchów wolnościowych i rewolucyjnych, podporządkowując im międzynarodowe decyzje krajów socjalistycznych”.

Drugim schematem jest błędna analiza wypadków czechosłowackich. „Interwencja sowiecka w Czechosłowacji — twierdzi Rossanda — tłumaczy się jedynie faktem istnienia maksymalnego napięcia wewnętrznego i bodźców odśrodkowych w łonie aktualnego europejskiego obozu socjalistycznego”. Analizując ten stan rzeczy „należy obalić schemat XX Kongresu KPZS, który w istniejącym napięciu widział jedynie opóźnienia nadbudowy w stosunku do bazy. Przyczyna leży natomiast w trwającym ciągle różnicowaniu społeczeństwa [...], które można zlikwidować tylko przez rewizję od podstaw, mającą na celu rozbić uwarstwienia i krystalizacji wewnętrznych oraz ich odbicia w

stosunkach międzynarodowych, likwidację permanentnych ważeń między centralizacją a ekonomią rynku, między biurokracją a technokracją i poprzez stworzenie trwałych podstaw wolności politycznej w rzeczywistych procesach socjalnych”.

Przemówienie Rossandy zostało uznane za najodważniejsze i jednocześnie za najbardziej kontrowersyjne. Niezależnie od wniosków, jakie ze swej analizy wyciąga Rossanda (np. proponowanie, jako modelu, chińskiej rewolucji kulturalnej) samo wydobywanie na jaw sprzeczności systemu sowieckiego, przecięcie dyskusji na temat błędów czy przejściowych trudności, wykażało, że system ten, w swej obecnej formie jest nie do przyjęcia a jakakolwiek dyskusja na temat socjalizmu jako ustroju przyszłości musi wyjść od reformy socjalizmu już istniejącego.

Polityczny aspekt wydarzeń czechosłowackich był tematem przemówienia przewodniczącego Komisji do Spraw Zagranicznych PCI, Galluzziego. Był to właściwie apel skierowany pod adresem „sowieckich towarzyszy”, dużo bardziej kategoryczny niż „dezaprobata” Longo. Za punkt wyjścia obrał Galluzzi zdanie z przemówienia (bardzo zresztą ogólnikowego) sowieckiego delegata Ponomariowa, że „nie istnieją ani partie, ani kraje przodujące”, co powinno by oznaczać „uznanie prawa do poszukiwania autonomicznej drogi do socjalizmu w każdym kraju i uznanie autonomii każdej partii w kwestii określenia typu socjalistycznego społeczeństwa a także sposobu wyrażania się demokracji socjalistycznej”. „Niepokoją nas tezy — zauważył Galluzzi — które, wychodząc z założenia, że jedność obozu socjalistycznego stanowi podstawę dla obrony pokoju, podporządkowują zasadę suwerenności narodowej krajów socjalistycznych wymaganiom trwałości i bezpieczeństwa obozu socjalistycznego. Nie możemy uznać teorii suwerenności ograniczonej, [...] przeciwnie, uważamy, że poszanowanie suwerenności krajów socjalistycznych jest podstawową gwarancją jedności i siły obozu socjalistycznego, która nie może opierać się jedynie na sile wojskowej, nawet niezbędnej, lecz przede wszystkim na zgodzie ludności czyli na rozwoju demokracji socjalistycznej”. Zdania te były wyraźną odpowiedzią na próby usprawiedliwienia interwencji niebezpieczeństwem rozbięcia jedności bloku, jedyne argumentu Moskwy i jej wspólników. „Wydarzenia czechosłowackie — konkluduje Galluzzi — przed i po sierpniu, potwierdzają, że ogromna większość partii i narodu Czechosłowacji nigdy nie poddała w wątpliwość ani socjalistycznej przyszłości swego kraju, ani swej wierności wobec obozu socjalistycznego”. „Dezaprobata” partii wzmocnił Galluzzi apelem „by naród czechosłowacki i jego partia komunistyczna mogły, w warunkach pełnej suwerenności, pracować nad rozwojem własnego, socjalistycznego społeczeństwa”. „Nasza postawa wobec wypadków w Czechosłowacji jest jasna i niedwuznaczna” — odświadczył w swym końcowym przemówieniu Berliquer.

„Nieprawdą jest — oświadczył wicesekretarz PCI — że interwencję w

Czechosłowacji uważaliśmy za „wypadek” lub „błąd”. Uznaliśmy ją za wynik kryzysu, którego korzenie tkwią zarówno w sprzecznościach obiektywnych jak i w trudnościach i w błędach. Jakże wyciągnęliśmy z tego wnioski?

— Właśnie te wydarzenia stanowiły dla nas bodziec, by lepiej zdefiniować całą naszą postawę wobec wzajemnych stosunków między krajami socjalistycznymi i partiami komunistycznymi;

— zasadę bezwzględnego poszanowania niepodległości i suwerenności każdego państwa, a także państwa socjalistycznego, zasadę niezależności każdej partii komunistycznej;

— definicję demokracji socjalistycznej.

— Na koniecie, przeświadczenie, że należy pogłębić naszą wiedzę o rzeczywistości krajów socjalistycznych, by, poprzez obiektywną, krytyczną ocenę historyczną zebrać, obok elementów pozytywnych [...] elementy negatywne i granice, wydobyć ich związki i wynikające stąd sprzeczności. Chodzi więc o nową formę naszej kolokacji wobec rzeczywistości Związku Sowieckiego i krajów socjalistycznych. [...] Uważamy, że należy wyjść od koncepcji „historyczności” socjalizmu [...] oraz od połączonej z nią koncepcji historyczności samego marksizmu”. „Wszystko to — kontynuuje Berliquer — składa się na autonomię naszej partii. [...] Chodzi tu także o pełną autonomię wydawania opinii na temat rzeczywistości Związku Sowieckiego i krajów socjalistycznych, polityki prowadzonej przez Związek Sowiecki i poszczególnych jej aktów. Rozróżniamy to, co wydaje nam się pozytywne lub negatywne... [...] nie chcemy zrezygnować z mówienia prawdy, mówienia tego co my uważamy za prawdziwe, bez dyplomatycznych przeczności. Jest to naszym obowiązkiem wobec klasy robotniczej i wobec młodych, którzy chcą wiedzieć jak sprawy stoją w rzeczywistości. [...] Wydaje nam się, że tylko w ten sposób możemy pozostać partią marksistowską i internacjonalistyczną”.

Nową linię Włoskiej Partii Komunistycznej można by w skrócie nazwać linią alternatywy; alternatywy i propozycji.

Wobec kryzysu wewnętrznego alternatywą tą byłby blok lewicowy, już nie opozycyjny, lecz stanowiący większość parlamentarną w ustroju demokratycznym. Koncepcja ta opiera się na równoczesnym wyzyskaniu elementów niezadowolenia z dotychczasowych stosunków wśród partii aktualnej większości oraz masowego ruchu protestacyjnego.

Propozycja dialogu czeka na odpowiedź partnerów. (*Nota-bene* ostre dyskusje wśród socjalistów i chrześcijańskiej demokracji na temat możliwości współpracy z komunistami i wyraźne różnice zdań są dowodem, jak dalece problem ten jest aktualny. Mam tu na myśli ostatnie dyskusje nad reformą szkolnictwa i uniwersytetu).

W płaszczyźnie teoretycznej alternatywa dogmatyzmu, czy to sowieckiego czy chińskiego, jedyna możliwa do przyjęcia alternatywa — to rewizjonizm. W stosunkach międzynarodowych ciąga on za sobą:

— autonomiczność modelu, dostosowanego do danej rzeczywistości;

— prawo do krytycznej oceny istniejącego już socjalizmu i własną interpretację myśli marksistowskiej;

— automatyczne poparcie dla przejawów rewizjonizmu w innych krajach, implikujące nowe możliwości porozumienia;

— odcięcie się od jakichkolwiek schematów.

Zarysowuje się nowa perspektywa: powstanie „trzeciej siły”, będącej przeciwumą zarówno w stosunku do komunizmu w jego klasycznym, stalinowskim wydaniu jak i w stosunku do antykomunizmu. Komunizm włoski zmierza wyraźnie w tym kierunku, wybierając, nie bez powodu, Czechosłowację jako punkt odniesienia.

Barbara KOZŁOWSKA

W Belgradzie — krok naprzód

W bibliotece Domu Przyjaźni Sowiecko-Jugosłowiańskiej w Belgradzie siedzą dwie ruskie babiny — emigrantki jeszcze z czasów generała Wrangla. Towarzyszka z Moskwy nie zwraca uwagi na plotki staruszek. A one psioczą na towarzysza Breżniewa, że „padlec” i „sukinsyn”, bo pogrzebał dobre imię Rosji w Jugosławii. Babiny wzdychają, wspominając stare dobre czasy. „Mario Wasilejewno, pamiętacie jak nas tutaj kochali, jak nas hołubili, popierali, karmili. A teraz co? Mamy obywatelstwo rosyjskie i już za to samo nas nienawidzą”. Druga babina marszczy czoło, patrzy złowrogo na moskwiczanę-bibliotekarkę i syczy: „Ja zawsze mówiłam, droga Anno Michajłowno, że ci bolszewicy Rosji nie pomogą. Chociaż po ostatniej wojnie, kiedy nasza matuszka uśmierzyła polskich i niemieckich buntowników, myślałam, że teraz będzie już wieczna przyjaźń Rosji i Jugosławii. No, ale co z tego wyszło? No, co wyszło? — stara się zaperzyła — do diabła wyszło. Kilka lat temu, jak ten muzyk Chruszczow przyjechał do tutejszych, to myślałam, że coś z tego będzie. Nic nie wyszło, choć ten chłopiec nie był wcale taki głupi! On chciał dla Rosji coś zrobić. A te dzisiejsze świnię niczego nie umieją. Potem jeszcze trochę myślałam, że nasz Szulgin* po uwolnieniu z niewoli Stalina i po ciekawych wywiadach w ich... prasie moskiewskiej coś niecoś działo, ale teraz jakoś o nim cicho”.

Mniej więcej w tym samym czasie kiedy w budynku nieistniejącej przyjaźni sprawdzałem stopień zainteresowania kulturą i propagandą sowiecką — w siedzibie jugosłowiańskich Związków Zawodowych odbywał się drugi dzień obrad IX Zjazdu Komunistów Jugosławii. Każdy z nas, kto zna stalinowski schemat takich imprez, był zaskoczony.

* Czarnosecinny, przedrewolucyjny szowinista i czołowy działacz antysemitki, wśród Rosjan w Kijowie, dziennikarz, naczelny redaktor antyukraińskiej i antyzydowskiej gazety rosyjskiej prawicy „Kijewlanin”, wychodzącej na Ukrainie.

Stary Tito zerwał z dawnym porządkiem. Nie było tradycyjnych przemówień, bo główny referat szefa partii piękne dziewczęta rozdawały jako lekturę lub podkład do dyskusji; nie było oklepnych pozdrowień delegacji zagranicznych. „Na tę zabawę nie mamy czasu” — oświadczył pewien członek zlikwidowanego na Zjeździe Komitetu Centralnego. Dla zwyczajów międzynarodowego ruchu komunistycznego był to nieomalże krok rewolucyjny. Nawet włoscy komuniści nie odważyli się na zjeździe w Bolonii zerwać z tym rytuałem. A półoficjalny organ partyjny w Belgradzie pisał w przeddzień zjazdu, że trzeba wyrzucić partyjników niezdolnych do twórczej pracy, gdyż nie warto się z nimi patyczkować. Ostatecznie papież zwalnia nieudolnych kardynałów — oczywiście nie przesładując ich i zapewniając im emeryturę.

Na początku mogło się co prawda wydawać, że odbędzie się coś w rodzaju typowej akademii. Ale to szło jedynie o załatwienie sprawy jubileuszu 50-lecia partii. A może jeszcze bardziej o to, aby działaczom jugosłowiańskim przypomnieć ofiary terroru stalinowskiego. Następnie było przyjęcie i przy tej okazji długie prywatne dyskusje na temat bojkotu ze strony ortodoksyjnego obozu moskiewskiego. Dla czytelnika polskiego będzie chyba ważnym szczegółem to, że jugosłowiańscy komuniści stracili całkowicie szacunek dla Gomułki. Władca PRL przegrał z kretesem u dawnych przyjaciół południowo-słowiańskich. Trzeba będzie dużo czasu, aby tę stratę wyrównać. Wydaje się, że Moczar ma obecnie w pewnych kołach jugosłowiańskich o wiele więcej sympatii, chociaż można przypuszczać że wynika to raczej z kiepskiego rozeznania polskiej topografii politycznej.

Ale wróćmy do Zjazdu. Moskwie nie udało się przeprowadzić skutecznego bojkotu. Ilość gości z Zachodu wyrównała całkowicie lukę z Europy wschodniej. Podkreśliło to ponadto wyraźnie gdzie przebiega granica postępu i reform. I dało obcokrajowcom możliwość zastanowienia się nad lepszymi i godnymi naśladowania wzorami. Moskwa na tym nie wygrała. Zresztą, cały styl pracy kongresu — przesunięcie punktu ciężkości z plenum na siedem komisji w sensie parlamentarnym — sprawił, że wielu komunistów zagranicznych zastanawia się obecnie czy nie warto by pójść w ślady Tity.

Możliwe, że jeszcze ważniejsze są sprawy organizacyjne i ideologiczne. Jeśli chodzi o podstawowe sprawy modelowe, to IX Zjazd Związku Komunistów Jugosławii był ważnym krokiem naprzód. Przede wszystkim zmieniono dotychczasowe statuty a tym samym oddalono się od wciąż jeszcze obowiązującego w Europie Wschodniej i Środkowej systemu statutów stalinowskich. Obecnie, szeregowi komuniści mają w Jugosławii daleko idące uprawnienia w stosunku do aparatu. Tym samym ograniczono dawną siłę złowieszczo „centralizmu demokratycznego”. Ale to jeszcze nie wszystko. Daleko idące zmiany nastąpiły również w strukturze organizacyjnej. Nie ma już Komitetu Centralnego i Sekretariatu (Politbiuro było zlikwidowane już dawniej). Jest natomiast

obszerne ciało w postaci Prezydium oraz Biuro Wykonawcze, składające się z piętnastu przedstawicieli wszystkich narodowości. Tym samym federalizm jugosłowiański wyprzedził znakomicie swój pierwowzór sowiecki. Moskwa będzie musiała się poważnie zastanowić nad tym jak należy odpowiedzieć na to wyzwanie w sprawie narodowej.

I w końcu chodzi o coś bardzo, bardzo ważnego. Otóż proklamowano na zjeździe zupełną niezależność zarówno jeśli idzie o „nadbudowę” tj. ideologię, kulturę i naukę jak i o „bazę” czyli sprawy gospodarcze. Reformy gospodarcze i rozluźnienie dawnego systemu rządów etatystycznych będą postępowały dalej wraz z rozwojem samorządu robotniczego.

Bohdan OSADCZUK

1.000.000

GILLETTE super silver
wysłał w bieżącym
roku do Kraju
T A Z A B

- Obecnie cło zostało podniesione z 1 zł. i pół na 10 zł. od sztuki, co oczywiście zlikwidowało opłacalność wysyłki większych ilości. (Od 30 sztuk cło wynosi tylko 3 zł. od sztuki).
- Powyższą podwyżkę tak uzasadnia „Życie Warszawy” z 19 lipca: ... „za każdy dolar wydany za granicą na zakup „Silverów” otrzymywało się w Kraju do 230 złotych”.
- Tak było istotnie i TAZAB ma pełną i wyłączną satysfakcję wprowadzenia tego towaru i ułatwienia naszym Klientom na całym świecie NAJKORZYSTNIEJSZEJ pomocy rodzinom.
- Okazja ta została obecnie przekreślona, ale w najnowszych ILUSTROWANYCH KATALOGACH TAZABA ZNAJDĄ ZAINTERESOWANI INNE KORZYSTNE OKAZJE.

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB and Co., Tazab House

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W.7.
16, STUYVESANT STR., NEW YORK, N.Y. 10003,
Tel.: ALgonquin 4-4161

20, RUE LEGENDRE, PARIS 17^e, Tel.: 924-0045

Sąsiedzi

Czy potrzebny konflikt ?

W podwójnym numerze Kultury ze stycznia-lutego bieżącego roku ukazał się wywiad z dwoma wybitnymi działaczami słowackiej emigracji w Kanadzie, pod tytułem „Rozmowy z biskupem Rusnakiem i St. Romanem”. Wywiad ten, przeprowadzony przez Benedykta Heydenkorna, wywołał szereg gwałtownych protestów ze strony ukraińskiej. Redakcja Kultury otrzymała szereg listów, w tym dłuższą replikę od Wasyla Markusia, profesora uniwersytetu w Chicago, oraz podobnej treści list od doktora Oresta Czupranca redaktora ukraińskiego czasopisma katolickiego, Światło, wychodzącego w Kanadzie.

Redaktor Kupraneć załączył odbitki drukarskie dwóch artykułów, które ukażą się w najbliższym czasie w redagowanym przez niego czasopiśmie i stanowią replikę na oświadczenia emigracyjnych działaczy słowackich. Chodzi o stosunki słowacko-ukraińskie w Preszowszczyźnie, najbardziej na wschód wysuniętej części Słowacji, a przede wszystkim o stosunki na terenie kościelno-religijnym. Ukraińska mniejszość w Słowacji należy do kościoła grecko-katolickiego, który został tam najpierw zniszczony, a ostatnio restytuowany.

Nadesłany materiał zajęłby w Kulturze ponad trzydzieści stron druku. Wobec tego redaktor Giedroyc zaproponował mi dokonania kondensacji, z przytoczeniem in extenso najważniejszych opinii i ocen. Nie jest to zadanie łatwe ani wdzięczne, gdyż streszczenie zawsze naraża na popełnienie pewnych błędów. Ale spróbujmy.

J. Ł.

Profesor Markus w wstępie zakwestionował dane statystyczne podane przez słowackich działaczy w wywiadzie. Również kwestionuje oficjalne liczby statystyczne. Statystyka podaje, że od roku

1930 do 1961 ilość Ukraińców-Rusinów zmniejszyła się z 96 tysięcy do 33. Według Markusia, w Preszowszczyźnie zamieszkuje w chwili obecnej około 150 tysięcy Ukraińców-Rusinów. Jak widzimy, rozbieżność ogromna.

„Liczby te — pisze Markus — wymagają komentarza. Stopniowe zmniejszenie się liczby ukraińsko-ruskiej ludności nastąpiło w konsekwencji nacisku panującego żywiołu słowackiego oraz zorganizowanej polityki wynarodowiania. Innym powodem, najważniejszym, drastycznego spadku ilości Ukraińców w statystyce było usunięcie starodawnego określenia „Rusin, ruski”, zmuszając ludność do alternatywy: albo Ukrainiec, albo Słowak. Jak wiadomo, narodowa świadomość wśród miejscowej ludności uległa wielkiemu opóźnieniu i administracyjnie narzucona nazwa „Ukraińcy” nie przyjęła się ogólnie”.

„Przy tej okazji — pisze dalej Markus — pragnę sprostować opinię biskupa Rusnaka, jakoby nazwy „Rusin, rusnak” dotyczyły tylko wyznania a nie przynależności narodowo-etnicznej. Co prawda, teoria nie jest nowa, bo już w latach trzydziestych rozszerzały ją koła szowinistyczne...”

Wszystkie nadesłane materiały powtarzają ten zarzut pod adresem Słowaków: usiłowanie wynarodowienia ruskiej czy też ukraińskiej mniejszości na Preszowszczyźnie. Z tym, że zarzuty idą daleko wstecz, bo dotyczą nawet lat dwudziestych, gdy — zdaniem autorów — Słowacy rozpoczęli wynaradawiającą politykę na Preszowszczyźnie.

Zaostrzenie tego rodzaju polityki nastąpiło po rozkładzie Czechosłowacji, podczas drugiej wojny światowej.

„Przeglądając się — pisze Orest Kupraneć — dzisiejszym słowackim dążeniem narodowym, mamy prawo powiedzieć, nie krzywdząc w najmniejszym stopniu słowackiego narodu, że obecne szowinistyczne posunięcia stanowią przedłużenie i uzupełnienie linii, po jakiej poszedł marionetkowy rząd faszystowski księdza Tiso, prezydenta niezależnej Republiki Słowackiej, utworzonej i kierowanej przez Hitlera, jako drugorzędny instrument polityki antyczeskiej. I jeśli mowa o ukraińskim kościele katolickim w Preszowszczyźnie, to właśnie w owym okresie zachowanie się prezydenta księdza Tiso i jego dygnitarzy mało czym albo wcale różniło się od nazistowskich albo późniejszych, sowieckich, posunięć. To właśnie wtedy nastąpiło brutalne prześladowanie wszelkich objawów ukraińskości, a zwłaszcza bezwstydne znęcanie się nad śp. biskupem Pawłem Gojdycem, który stawał w obronie swoich wiernych i swego narodu”.

Wasyl Markus prostuje zarzut, wysunięty przez biskupa Rusnaka, jakoby w niszczeniu kościoła unickiego na Słowaczycyźnie i w akcji zmuszania przechodzenia na prawosławie w latach 1949-1950, główną rolę odegrała Ukraińska Rada Narodowa.

„Rada ta — pisze Markus — utworzona na Preszowszczyźnie, była jak podobne organizacje, zarówno słowackie jak ukraińskie, jedynie narzędziem odgórnej polityki, która decydowała się w Pradze i Bratysławie. Celem tej polityki nie była, jak podają panowie występujący w wywiadzie, „desłowakizacja” greko-katolików, lecz określona komunistyczna działalność „społeczno-inżynierska”.

Również „prawosławizacja” (określenie bardzo obecnie popu-

larne w Preszowie) nie miała nic wspólnego z ukrainizacją, gdyż od samego początku episkopat i władze udzieliły pełnego poparcia tym byłym greko-katolikom, którzy siebie uważali za Słowaków...

„Od początku prawosławna cerkiew w Czechosłowacji miała raczej orientację rusofilską, zaś świadome elementy ukraińskie chętniej utożsamiały się z greko-katolicyzmem”.

„Nie odpowiada prawdzie — czytamy dalej — co podał biskup Rusnak, że w wyniku rehabilitacji Kościoła Grecko-Katolickiego, zaledwie trzy parafie pozostały wierne prawosławiu. Jeżeli w roku 1968 było 241 parafii greko-katolickich, z czego — jak podaje biskup Rusnak — 205 przeszło na greko-katolicyzm w tymże 1968 roku, to jednak pozostaje jeszcze ponad czterdzieści. W rzeczywistości, przy prawosławiu pozostało znacznie więcej; ponadto jest sporo parafii podzielonych”.

Co prawda trudno zdać sobie dokładną sprawę z sytuacji, gdyż brakuje najnowszych danych. Niemniej Markuś kwestionuje większość liczb, podanych przez biskupa Rusnaka, który na przykład podał ilość sześciuset księży aresztowanych w roku 1950; według Markusia, jest to liczba mocno przesadzona, gdy cała diecezja miała zaledwie 340 kapłanów.

„Nie odpowiada prawdzie twierdzenie, że prawosławnymi księżmi na Preszowszczyźnie byli wyłącznie Ukraińcy z Rusi Zakarpackiej (Ukrainy). W dziewięciu dziesiątych prawosławny kler składał się z miejscowych, kiedyś greko-katolików. Po co ukrywać rzeczywistość pod figowym listkiem! Faktem jest, że znaczna część księży greko-katolickich przyjęła prawosławie z różnych powodów, jak na przykład zapewnienie płatnej posady państwowej. Natomiast prawdą jest, że dwaj biskupi prawosławni... pochodzą z Zakarpackiej Ukrainy”.

Osobny temat, poruszony w tej polemice, to sprawa wytyczenia granicy administracyjnej między Słowacją i Rusią Zakarpacką. Ukraińcy oburzyli się na twierdzenie Stefana Romana, że granica ta „została sztucznie wykrojona”, z krzywdą Słowaków. Profesor Markuś oświadcza, że było akurat odwrotnie. Ale oddajmy mu głos:

„Niesprawiedliwie wyznaczona przez francuskiego generała Hennoque, do wódce czechosłowackich wojsk okupacyjnych w roku 1919, a następnie zatwierdzona przez rząd Czechosłowacji, linia demarkacyjna na rzece Už, pomimo protestów przywódców Zakarpacia obydwu orientacji politycznych — ukraińskiej i rusofilskiej, sprawiła, że po stronie słowackiej znalazło się ponad dwieście tysięcy Ukraińców, a na Rusi Zakarpackiej zaledwie dziesięć tysięcy Słowaków, w okolicach Užhorodu... Po roku 1920 pozostawiono Słowakom wolną rękę dla słowakizacji zachodniej części ludności karpacko-ukraińskiej...”

Trudno na kilku stronach wdawać się we wszystkie szczegóły tej sąsiedzkiej polemiki. Jak widzimy, Słowacy oskarżają Ukraińców o to samo, co Ukraińcy Słowaków: o próby wynarodowienia i odpowiedzialność za przyczynienie się do zniszczenia kościoła greko-katolickiego na Preszowszczyźnie w roku 1950.

Ponieważ czytelnicy *Kultury* mogą odświeżyć w pamięci zarzuty słowackie, z zeszytu ze stycznia-lutego bieżącego roku, ograniczę się w zakończeniu do streszczenia końcowych wywodów strony przeciwnej.

A więc po pierwsze, mniejszość rusko-ukraińska na Preszowszczyźnie jest znacznie silniejsza, niż to przedstawiają autorzy słowaccy, i posiada stare tradycje narodowe. Historycznie biorąc, kościół greko-katolicki miał zawsze charakter ukraiński a nie słowacki. Jeżeli część wiernych rytu wschodniego zaczęła się uważać z biegiem czasu za Słowaków, stało się tak w wyniku polityki wynarodowiania.

Wprowadzenie prawosławia zadecydowane zostało w Pradze i Bratysławie. Wśród miejscowych aktywistów komunistycznych brali w tej akcji udział zarówno Ukraińcy jak Słowacy, wykonujący dyrektywy, idące z góry.

Część greko-katolików, siłą zmuszonych do przejścia na prawosławie, wróciła w roku 1968 do dawnego obrządku; pozostałych prawosławnych obecne władze słowackie poddają stałej dyskryminacji. Twierdzenie Stefana Romana, jakoby „odpowiedzialne czyniki w Watykanie zupełnie nie rozumiały narodowościowego aspektu i milcząco akceptowały polityczno-nacjonalistyczną wykładnię Ukraińców”, jest bezpodstawne. Profesor Markuś pisze, że przeciwnie, wpływy ukraińskie nie mogą w Watykanie konkurować z wpływami słowackimi.

Kończy on swój list polemiczny następującymi słowami pod adresem redaktora *Kultury*:

„Przykro mi, panie redaktorze, że właśnie na łamach polskiego czasopisma, które dąży do zbliżenia słowiańskich narodów i wyrównania ich historycznych konfliktów, muszę załatwiać 'porachunki' z przedstawicielami słowackiego narodu, do którego skądinąd żywię sympatię i którego walkę o prawo do samookreślenia zawsze oceniałem przychylnie. Stwierdzam jednak, że asumpt do tej, raczej nieprzyjemnej dyskusji, dali sami szanowni Słowacy”.



Nie wdając się w dalsze szczegóły polemiki i ograniczając się do najważniejszych spraw, nie zająłem żadnego stanowiska. Moja rola polegała wyłącznie na możliwie wiernym przedstawieniu stanowiska Ukraińców i ich argumentów. W skali ogólnoukraińskiej problematyki Preszowszczyzna to tylko niewielki odcinek, o lokalnym raczej znaczeniu.

Niedobrze jednak, gdy sąsiednie narody, znajdujące się w podobnej sytuacji i walczące o tę samą sprawę, wdają się w konflikty, choćby lokalne. Każdy taki konflikt, nie zlikwidowany na czas, to woda na sowieckie młyny. Miejmy nadzieję, że co najmniej na emigracji dojdzie do jakiegoś porozumienia, które by posłużyło przykładem dla Słowaków i Ukraińców na samej Preszowszczyźnie.

Józef ŁOBODOWSKI

W sowieckiej prasie

„Kto kontroluje przeszłość ten kontroluje i przyszłość” — tak to — dosadnie, zwięźle i niezmiernie trafnie formułował George Orwell w „1984 roku” rolę historii w totalitarnym państwie. Formuła ta nie była wymyślona przez Orwella. On ją tylko wygładził stylistycznie. Prekursorem tego stwierdzenia był sowiecki historyk, M. N. Pokrowski, który na długo przed Orwellem powiedział: „Historia to polityka przerzucona w przeszłość”.

Przełóżając ostatnie numery sowieckich czasopism i gazet nie można nie zwrócić uwagi na ogromne zainteresowanie historią jakie istnieje obecnie w Związku Sowieckim. Bez wielkiej przesady można powiedzieć, że tego rodzaju zainteresowanie historią miało miejsce tylko w końcu dwudziestych i na początku trzydziestych lat, kiedy to Stalin wykańczał swoich przeciwników i przeredagowywał na nowo całą historię Rewolucji Październikowej.

Historię przepisywano, poprawiano, przerabiano w Związku Sowieckim także i później, do samej śmierci Stalina. Jednakże mniej więcej od 1932 roku to przepisywanie odbywało się w myśl wytycznych z „centrum”, to jest na polecenie Stalina i nosiło charakter nie dyskusji a wypełniania rozkazów. Na przykład: wczoraj Iwan Groźny był reakcjonistą, a dziś stawał się postępowym działaczem. Wczoraj Szamil był bojownikiem z carskim uciskiem, dziś przemieniał się w agenta angielskiego wywiadu.

Artykuły na tematy historyczne, wypełniające dzisiaj szpalty sowieckich pism, przedstawiają jeśli nie różne poglądy to różne odcienie jednakowych poglądów. To jeszcze nie jest zuniifikowana historia późniejszego okresu stalinowskiego, to odbicie walk o możliwość „kierowania przeszłością, by kierować przyszłością”.

Głównym tematem pasjonującym historyków to przeszło pięćdziesiąt lat władzy sowieckiej. Jeśli idzie o pierwsze siedem lat — do roku 1924 — wszystko jest jasne, wszystko jest dobre dopóki żył Lenin. Po prostu nie mogło być lepiej. Ale co robić z pozostałymi czterdziestoma latami? (Po usunięciu Chruszczowa w roku 1964 znów wszystko jest doskonałe). Jakie zająć stanowisko wobec Stalina?

Stopniowa, powolna, zawołowana rehabilitacja Stalina jest kontynuowana, choć z dużym trudem. Generalną linię wytycza tu organ KC KPZS *Komunist*. W nrze 2 tego pisma ukazał się artykuł Bołtina, rehabilitujący Stalina jako wodza. „I. W. Stalin — konkluduje autor — przy całym skomplikowanym i kontrolersyjnym charakterze ukazuje się jako wybitny generalissimus wojskowy”. Bołtin powołuje się na pamiętniki wybitniejszych sowieckich dowódców, marszałków Żukowa, Rokossowskiego, Mierieckowa, na wspomnienia obecnego szefa sztabu Paktu War-

NOWOŚCI

BIBLIOTEKI « KULTURY »

INSTYTUT LITERACKI

Adres Redakcji : 91, Avenue de Poissy, 78-MAISONS-LAFFITTE, France

ZESZYTY HISTORYCZNE

(Zeszyt 14-ty)

● Zawiera m.in. prace: K. Iranka-Osmeckiego — *Polacy i Żydzi 1939-1945*; M. Tauchnera — *W bolesną rocznicę*; T. Nowackiego — *Gen. Kazimierz Sosnkowski*; St. Biegańskiego — *Rozkaz Nr 19 gen. Sosnkowskiego*; F. Kalinowskiego — *Lotnictwo polskie w bitwie o Atlantyk*; do końca wspomnień prof. S. Kota oraz dział recenzyjny. (Wrzesień, 1968).

Tom 161
Str. 240
15 F (\$ 3,00)

Andrej SACHAROW

ROZMYŚLANIA O POSTĘPIE, POKOJOWYM WSPÓLISTNIENIU I WOLNOŚCI INTELEKTUALNEJ (Seria „Dokumenty”)

● Prof. Sacharow, wybitny sowiecki fizyk atomowy, spisał swoje *Rozmyślenia* w ramach dyskusji toczonej się w kołach non-konformistycznej inteligencji sowieckiej. Jego esej obiegł w przekładach cały świat i jest dziś powszechnie uważany za jedno z najważniejszych wystąpień jawnych opozycji wewnętrznej w ZSSR. Karą za *Rozmyślenia* było ostatnio pozbawienie ich autora zajmowanego dotąd w Moskwie stanowiska. (Październik, 1968).

Tom 162
Str. 48
4 F (\$ 1,00)



Jerzy ANDRZEJEWSKI

APELACJA

● Według opinii wielu krytyków *Apelacja* należy do szczytowych osiągnięć pisarskich Andrzejewskiego. To świetne opowiadanie, obrazujące w formie monologu człowieka chorego psychicznie współczesną rzeczywistość polską, zostało przez cenzurę zablokowane w kraju. (Październik, 1968).

Tom 163
Str. 112
9 F (\$ 2,25)

Eugenio REALE

RAPORTY — POLSKA 1945-1946 (Seria „Dokumenty”)

● Autor *Raportów*, jeden z założycieli nielegalnej komunistycznej organizacji partyjnej w Neapolu w okresie faszystów, a po wojnie pierwszy ambasador włoski w Warszawie i wiceminister spraw zagranicznych w rządzie koalicyjnym, wystąpił z partii w roku 1955 i jest dziś działaczem socjalistycznym. Jego raporty z lat ambasadorowania w Warszawie, nigdzie dotychczas niedrukowane, stanowią cenny przyczynek do poznania pierwszych kroków PRL. (Listopad, 1968).

Tom 164
Str. 288
18,50 F (\$ 4,00)



Stanisław WYGODZKI

ZATRZYMANY DO WYJAŚNIENIA

● Tylko pierwsza część powieści Wygodzkiego o wybitnym działaczu KPP, uwięzionym w latach bierutowsko-bermanowskiego stalinizmu, była drukowana w Polsce po „przełomie październikowym”, druk drugiej, już złożonej, wstrzymano z nakazu cenzury. Autor, znany polski pisarz komunistyczny, zmuszony do wyjazdu z kraju w ramach nagonki „antysyjonistycznej”, zdołał przemycić zagranicę całość tej niezmiernie ciekawej powieści dokumentarnej i udostępnił ją „Bibliotece Kultury”. (Grudzień, 1968).

Tom 165
Str. 208
16,50 F (\$ 3,75)

szawskiego, gen. armii Sztienenko (który napisał najbardziej entuzjastyczną apologię Stalina), na książkę wybitnego konstruktora samolotowego, A. Jakowlewa.

W marcowym numerze *Komunista* zamieszczono artykuł, mający na celu pełną rehabilitację stalinowskiej działalności. W artykule „Za leninowską partyjność w oświeceniu historii KPSS”, podpisanym przez pięciu autorów (W. Golikow, S. Muraszow, N. Czchikwiszwili, N. Szatagin, S. Szałumian), poddano ostrej krytyce (przy czym wymienione są nazwiska — co oznacza ostatnie ostrzeżenie) wszystkich historyków poddających w wątpliwość politykę stalinowską w dziedzinie uprzymysławienia, kolektywizacji, jak również w dziedzinie bezlitosnej walki ze wszystkimi przeciwnikami Stalina zarówno z prawa jak i z lewa. Przeciw tym historykom wysuwa się najcięższe oskarżenia: „Poszczególni autorzy zamiast uczciwej, partyjnej krytyki błędów związanych z kultem jednostki, oczerniają (!) bohaterską historię naszego państwa i leninowskiej partii w okresie budowania socjalizmu, przedstawiając te lata jako jeden łańcuch błędów i niepowodzeń”.

Zasługuje na uwagę, że organ ministerstwa Obrony SSSR (*Wojenno-Istoriczeskij Żurnał*) jest mniej kategoryczny w swych artykułach rehabilitujących Stalina. Co prawda w lutymowym numerze tego pisma ogłoszono pamiętniki marszałka Koniewa o Korsuń-Szewczenkowskiej operacji, w których podkreśla się stałe zainteresowanie Stalina wszystkimi szczegółami bitwy, prawda że w recenzji drugiego wydania książki A. Samsonowa („Bitwa Stalingradzka”), które ukazało się w 1968 roku, podkreśla się jako błąd niedostateczne uwypuklenie roli naczelnego dowództwa, ale to wszystko ma charakter mniej ofensywny niż artykuły w *Komuniście*.

Jednak, gdy trzeba, *Wojenno-Istoriczeskij Żurnał* również atakuje z całych sił. W styczniowym numerze ukazał się artykuł płk. S. Lipickiego pod długim i małowiąącym tytułem „Działalność KC RKP (b) i W. I. Lenina dla utrwalenia wojskowo politycznej jedności Republiki Sowieckiej (1917-1920)”. Motto przy artykule jest bardziej wymowne: „Jesteśmy przeciwnikami narodowościowych walk, narodowościowych nienawiści, narodowościowego separatyzmu. W. I. Lenin”. A treść artykułu jest najbardziej prosta. Operując paroma cytatami z Lenina, płk. Lipicki dowodzi, że w latach Wojny Domowej doświadczenie, wynikające z powstania narodowych armii w poszczególnych republikach, wykazało „niezmiernie niską wartość bojową formacji narodowych”, podkreśla on także niebezpieczeństwa takiej sytuacji gdy poszczególne sowieckie republiki zaczynają myśleć o „separatystycznej autonomii w zagadnieniach prowadzenia wojny”. Jak wiadomo sowieckie republiki nawet nie myślą przejawiać separatystycznej autonomii „w zagadnieniach prowadzenia wojny”. Faktycznym adresatem artykułu są niektórzy członkowie Paktu Warszawskiego, co uwidacznia się w końcu artykułu: „przyjaźń narodów zawsze była i będzie ważnym czynnikiem siły Związku Sowieckiego. Jest ona również podniecającym przykładem dla wszystkich

narodów prowadzących narodowo-wyzwoleńczą walkę i dla krajów socjalistycznej przyjaźni". Przypomnijmy nawiasem, że sowieccy wojskowi argumentowali konieczność okupacji Czechosłowacji niskim poziomem jej wojska.

Pismo *Woprosy Istorii* (Nr 2) postąpiło bardzo dowcipnie. Zamieściło obok siebie pamiętniki admirała W. Tribuca, dowodzącego w czasie wojny flotą bałtycką i A. Zwieriewa, ministra skarbu ZSSR w latach 1938-1960. Wspomnienia admirała Tribuca — jeśli nie brać pod uwagę obowiązującego wstępu o pełnej gotowości Związku Sowieckiego do wojny — odkrywają kompletne nieprzygotowanie do spodziewanej przecież przez wszystkich napaści Hitlera i potwierdzają dawno znany fakt o zdemontowaniu starych granicznych umocnień, gdy nowe jeszcze nie były gotowe (pisze o tym A. Niekrycz w swojej książce „22 lipca 1941 roku”, pisze P. Jakir w swoim oskarżeniu Stalina), ujawniają nieskoordynowanie działalności morskiego i lądowego dowództwa. Za to wspomnienia min. Zwieriewa przypominają nam te dobre czasy kiedy było wiadomo, że Stalin równie dobrze zna się na lotnictwie, gospodarstwie rolnym i filologii, jak i na finansach, kłopotząc się jednocześnie o wdowy i sieroty. „On także — śmiało stwierdza Zwieriew — on — to jasne że Stalin — popełniał błędy. Jednak jestem skłonny wysoko oceniać jego kierownictwo polityką finansową”.

Historyków sowieckich interesuje nie tylko historia SSSR. Duże ożywienie wywołało 50-lecie Kominternu. W związku z tym jubileuszem rozpatrywano przede wszystkim jedno zagadnienie — dalekowzroczność uchwały Kominternu, przyjętej w 1934 roku na VII Kongresie Kominternu, na temat konieczności stworzenia narodowego, antyfaszystowskiego i antywojennego frontu. Nikt ma się rozumieć nie przypomina, że to polityka stalinowska, którą w tym okresie realizował Komintern, polityka walki w pierwszym rządzie z socjal-demokratami, umożliwiła dojście Hitlera do władzy, a w r. 1939 do drugiej wojny światowej. Jedynym dysonansem w tym jednobrzmiącym chórze było wystąpienie w Moskwie na uroczystym posiedzeniu poświęconym jubileuszowi Kominternu, Waltera Ulbrichta, twierdzącego nadal, że socjal-demokraci są głównym wrogiem socjalizmu.

Tematyka historyczna (jeśli można to tak nazwać) zajmuje dużo miejsca także na szpaltach czysto literackich periodyków. Na przykład miesięcznik *Oktiabr* skoncentrował atak na encyklopediach sowieckich. Polscy czytelnicy zapewne dobrze pamiętają ataki na Wielką Powszechną Encyklopedię. Ataki *Oktiabra* przeciw poszczególnym tomom Literackiej Encyklopedii i przeciw makiecie przygotowywanego 3 wydania Wielkiej Sowieckiej Encyklopedii — swoim poziomem mało odbiegają od artykułów Rusinka czy Gontarza. Dlaczego — zapytuje czujny *Oktiabr* — w 3 wydaniu Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej zamierza się poświęcić Furmanowowi i Gajdarowi artykuły złożone ze 1200 znaków, a Babłowi i Bułhakowowi z 1800 znaków? Dlaczego artykuł o Pilniaku zamierza się zaopatrzyć fotografią, gdy jest powszech-

nie wiadome, że Pilniak popełnił masę błędów i nie był prawdziwym sowieckim pisarzem?

Jeśli jednak napaści *Oktiabra*, mimo ich pozornej powagi, są wręcz komiczne, to bynajmniej nie śmiech wywołuje poemat Jewgenia Jewtuszenki: „Na czerwonym śniegu Ussuryjskim”, opublikowany 19 marca w *Literaturnej Gazecie*. W ubogim w wydarzenia życiu literackim Związku Sowieckiego jest to niewątpliwie ewenement. Utwór Jewtuszenki jest prawdziwym manifestem wojującego rosyjskiego szowinizmu, napisanym ze sprytem politycznym właściwym temu pocie, którego na Zachodzie nadal traktuje się jako „chorążego sowieckiego liberalizmu”.

Utwór składa się z trzech części: z opisu boju na wyspie Damanskij, z obrazów nieszczęść, które mogłyby spaść na Rosję w wypadku zalewu hord chińskich i z wezwania do walki z „nowymi Batyjami”.

Po opisie walki i koszmarnym obrazie zwierzęco zamęczonych rosyjskich chłopców — poeta, w drugiej części, opisuje co będzie, jeśli Chiny zajmą Rosję. Na pytanie to sprytny Jewtuszenko odpowiada opisując Rosję z okresu stalinowskiego. Prosta rosyjska dziewczyna dźwiga „blok granitowy na pomnik dla wielkiego sternika” (Stalina jak wiadomo nazywano Wielkim Sternikiem), Maja Plissieckaja miesi cement baletkami (jak to robiło w łagrach wielu sowieckich artystów), „do ogoną samolotu” Chińczycy przywiązują Tupolewa (który przecież siedział szereg lat w stalinowskiej „szarazsce”), „hunwejbiny rwą struny z gitary Bułata” (sowieccy hunwejbini ani razu jeszcze nie dopuścili Bułata Okudźawy do radia czy telewizji) i tak dalej i tak dalej.

Rachuba Jewtuszenki jest genialnie prosta: jeśli ktokolwiek zarzuci mu, że broni następców Stalina, przed którymi szereg lat temu przestrzegał sowiecki naród, że ani słowem nie wspomina o sowieckich hunwejbinach, bijących na Czerwonym Placu Larysę Daniel, Pawła Litwinowa i ich przyjaciół — zawsze może wtedy odpowiedzieć, że dał symboliczny obraz stalinowskiej Rosji.

Najciekawsze jednak jest zakończenie poematu. Jewtuszenko ogłasza w nim swoje nowe credo: trzeba być gotowym do walki „za Ruś i za wiarę”. Niebezpieczeństwo grozi nie Związkowi Sowieckiemu, ale Rosji. W poemacie wymienia się kopuły suzdalskich cerkwi. Poeta zwraca się do „starożytnych” rosyjskich miast: Włodzimierza i Kijowa:

„O, widzi Włodzimierz i Kijów
jak w dymnym zmierzchu zmętniałym
w kołczanach nowych Batyjów
telepią się bomby, nie strzały.
Jeśli zwałą się, najdą —
dzwon uderzy na trwogę nad przestworem ruskich pól.
I witezie jeszcze się znajdą,
tajgi dość dla nowych Kulikowych Pól!”

(Przekład Witolda Dąbrowskiego, „Polityka”, Warszawa, 29. III. 1969).

Naturalnie Jewtuszenko wystarczająco dobrze zna historię swojego kraju by mógł uważać Batię za Chińczyka, albo przypuszczać, że na Polu Kulikowym toczył się bój z wojskami niebiańskiego Imperium. Ale przecież i Mongoły Batię i Tatarzy Mamaję i Chińczycy Mao Tse-tunga to Żółci, zagrażający białej Rosji. Jewtuszenko jest spokojny, bo wierzy, że „jeśli napadną” to na zew cerkiewnych dzwonów, w obronie prawosławnej cerkwi poderwie się cały rosyjski naród.

Co będą robić pozostałe narody Związku Sowieckiego, tego nowy chrześcijanin — Jewtuszenko, nie wie. Możliwe, że go to nie interesuje, a może jest przekonany że wszystkie one pójdą w bój o „jedyną, niepodzielną Rosję”.

Ten przegląd można by zakończyć przypomnieniem artykułu publicysty sowieckiej agencji prasowej *Nowosti*, Georgia Dadianca, który ukazał się w *Le Monde* 2 marca. Artykuł ten, przeznaczony dla zagranicznego czytelnika, kontynuuje i uzupełnia idee wyrażone przez Jewtuszenkę. Dadianc ostrzega Europejczyków, że myślą się przypuszczając, iż Chińczycy zagrażają jedynie Rosji. Oni grożą i Europie. W swojej polemice z argumentami chińskimi na temat niesprawiedliwych carskich układów, na podstawie których, sto lat temu, Rosja zagarnęła wielkie przestrzenie chińskiego terytorium, Dadianc idzie tak daleko, że twierdzi, iż te terytoria „zagarnięte w 1858-60 przez Rosję” były nie chińskie, ale niczyje. Dodaje, że Wielki Mur chiński nie stoi na Ussuri. Patrząc na mapę widzimy, że Mur ten nie stoi nawet w Mandżurii — może i Mandżuria jest wobec tego ziemią niczyją? W sowieckiej prasie chwilowo na ten temat nic się nie pisze.

Ale walka o próbę „kontrolowania przeszłości” trwa.

Adam KRUCZEK

Kraj

Łódzki marzec

Dziewiątego marca towarzysz Hieronim Rejniak, sekretarz propagandy Komitetu Łódzkiego PZPR, walił pięścią w stół i wołał: — U mnie nie będzie Warszawy!

W Łodzi panował jeszcze pozorny spokój. Zarządzono jednak pełną mobilizację Milicji, ORMÓ, pracowników partyjnych, komórek POP w zakładach pracy, dziennikarzy i ZMS. Była to kwestia ambicji Komitetu Łódzkiego — „czerwona, robotnicza Łódź” miała pokazać, że jest należycie trzymana w karchach.

Otóż planom tym groziło niebezpieczeństwo — tylko dlatego że znakomity aktor, Gustaw Holoubek nie godził się zaśpiewać „Całuję Twoją dłoń, Madame”...



11 i 12 marca 1968 r. Estrada Łódzka wraz z Redakcją *Głosu Robotniczego*, organu KŁ i KW PZPR, organizowała wielką imprezę rozrywkową w Pałacu Sportowym. Wśród wielu popularnych aktorów mieli także wystąpić Beata Tyszkiewicz, Andrzej Wajda i Gustaw Holoubek. Scenariusz przewidywał dyskusję na temat wspólnie realizowanych filmów.

Wszystko szło dobrze, aż tu nagle zostaje wezwana przez naczelnego *Głosu*. Naczelnicy, ni to błąd ni to zielony, w gabinecie telefony się urywają, siedzi całe kolegium nie mówiąc o kierownikowi Wydziału Kultury. Kto zaprosił Holoubka?!? Kto wpadł na ten straszliwy pomysł który może storpedować wszystkie wysiłki, zmierzające do zachowania spokoju? Co będzie jeżeli jakieś „chulikańskie elementy” zaczną skandować na przykład: „GUSTAW-KONRAD” albo „GUSTAW-DZIADY” albo jeszcze coś gorszego?

Nie do wiary, ale sprawie występu (kilkuminutowego zresztą) Holoubka, poświęcono parę wielogodzinnych narad w *Głosie*, Estradzie, Wydziale Kultury Rady Narodowej i w Komitecie.

Odwołać imprezy nie było można, odwołać aktora też nie

(„gdyby się zgodził dacie mu dyskretnie do zrozumienia że zapłacimy wysokie odszkodowanie”), ponieważ „to może przeciec do Wolnej Europy”. Rada w radę wymyślono, żeby Holoubka nie dopuścić na scenie do głosu. „Niech nic nie mówi, niech zaśpiewa”.

Autorem tego projektu był towarzysz Rejniak. On również ustalił jaką piosenkę ma śpiewać odtwórca głównej roli w Dejmowski „Dziadach”. Właśnie „Całuję Twoją dłoń, Madame” miało rozładować ewentualne nastroje rewolucyjne dziesięcioletniej widowni Pałacu Sportowego...

Pchnięto umyślnego do stolicy, a w Łodzi paręnaście osób czekało w napięciu.

9 marca przyszła odpowiedź: Holoubek się nie zgadza!

Wówczas sekretarz propagandy uderzył pięścią w stół i oświadczył: — U mnie nie będzie Warszawy!

Zaraz też zarezerwowano sporo miejsc na widowni dla panów ubranych po cywilnemu a jednocześnie zdecydowano wprowadzić do Pałacu wzmocnione oddziały MO i ORMO, uzbrojone w pałki i gazy łzawiące, nadto obstawiono wszystkie wejścia i wyjścia.

W tych dniach Łódź przypominała miasto z okresu, kiedy to we Wrocławiu panowała epidemia ospy. Wtedy także wszystkie wysiłki zmierzały do odizolowania zarażonego terenu, nieustannie dyżury telefoniczne pełnili pracownicy Służby Zdrowia, Stacji San-Epidu i szpitali.

Analogie nasuwają się same — przewodniczący Rady Okręgowej ZSP, Z. Ekiert, przebywał 11 marca na prywatnej uroczystości rodzinno-towarzyskiej. Co godzinę meldował telefonicznie Komitetowi gdzie się znajduje. Co pół godziny odbierał meldunki z Domów Studenckich.

Podobnie wszystkim partyjnym dziennikarzom nakazano zostawiać w domach wiadomości, jeżeli wychodzili choć na chwilę. W budynkach komitetów PZPR w ogóle nie gasły nocą światła.

Łódź szykowała się do odparcia dżumy.

Przed wszystkim, pod ostrą kontrolą znalazły się wszystkie dostępne publicznie powielacze i inne środki masowego rozpowszechniania. Szczególnie na wyższych uczelniach, gdzie ZSP, ZMS i Koła Naukowe często korzystały z powielaczy, wymagano obecnie specjalnego zezwolenia cenzury.

Kierownik popularnego Klubu Studenckiego „Pod siódemkami” odbył dyskretną rozmowę w gmachu MO, w wyniku której kilkanaście legitymacji klubowych otrzymali nieznani nikomu „studenci”.

Jednocześnie toczyły się pertraktacje z Łódzkim Oddziałem Związku Literatów Polskich i ze SPATIF'em. Zorganizowano spotkanie literatów z I sekretarzem Komitetu, a paru osobom przyrzeczono posady w Wydawnictwie i w tygodniku społeczno-kulturalnym *Odgłosy*. (Między innymi, posadę dyrektora Wydawnic-

stwa Łódzkiego obiecano wpływowemu pisarzowi łódzkiemu, Wiesławowi Jażdżyńskiemu. Przyrzeczenia tego później dotrzymano).

W naprężonej sytuacji zaczęły brać górę zamęt i dezorientacja. Mnóstwo zabawnych historii działo się np. w instytucjach zajmujących się rozpowszechnianiem filmów. Dziennie przychodziło kilkanaście sprzecznych rozkazów — część z Warszawy, część z Łodzi. Na gwałt wycyfywano z kin filmy „trefnych” reżyserów — Rybkowskiego, Forda, z wiejskich kin zwożono świeżo wykonane kopie „Krzyżaków”, wstrzymano filmy Kluby i Nafetera, krótkometrażówki Etlera i Kokesza. Tymczasem reklamy, afisze i plakaty wisiały już w gablotach. Tak więc bałagan powstał niesamowity. Do tego codziennie któryś z numerów Polskiej Kroniki Filmowej okazywał się być „trefny” ze względu na udział tych czy innych działaczy lub oficjeli. Był taki dzień kiedy to za najbardziej trefnego uznano... prezydenta de Gaulle'a. W krótkim czasie z najbardziej odległych zakątków województwa sprowadzono Kroniki, w których znalazły się fotografie prezydenta. Montażysta „na łapu capu” wycinał „niebezpieczne” klatki i tego samego dnia Kroniki odesłano. Aż tu nagle telefon: De Gaulle'a wmontować z powrotem, wyciąć otwarcie Muzeum! Wśród gości znajduje się Staszewski!

Po pewnym czasie w gazetach łódzkich ukazały się informacje o wydarzeniach w stolicy. W komentarzach prasa podkreślała jednak cały czas że są to „sporadyczne wybryki chuligańskie” i że łódzkie środowisko studenckie „okazuje pełną dojrzałość polityczną w obliczu nieodpowiedzialnych wystąpień”.

Mimo siatki tajniaków i agentów władze stosunkowo słabo orientowały się w nastrojach akademików...

Dlatego nawet dla dziennikarzy partyjnych zaskoczenie stanowił artykuł pióra naczelnego redaktora *Głosu Robotniczego*, Sergiusza Kłaczkowa, poświęcony „mąciocielom spokoju na łódzkich uczelniach”.

Mimo bariery ochronnej dżuma przeniknęła do miasta.

Było to bardzo dziwne uczucie: staliśmy w oknach gmachu prasy przy ulicy Piotrkowskiej a pod oknami przeciągał pochód studencki. Prymitywne, na prędcie sklecone transparenty głosiły: PRASA KŁAMIE. To samo skandowali młodzi ludzie niosący transparenty i najwyraźniej ten właśnie gmach znajdował się w centrum uwagi wszystkich przechodniów. Demonstracja szła pozornie bez przeszkód, skandując swoje: „PRASA KŁAMIE”. Autobusy i samochody omijały idących środkiem demonstrantów, dezorientowani milicjanci stali grupkami na chodnikach, aż przy skrzyżowaniu pochód rozwiązał się samorzutnie i znów postyszeliliśmy tylko normalny gwar uliczny.

Do redakcji wpadł zadyszany „specjalista od spraw studenckich” w dziale partyjno-ekonomicznym. „Delegacja tu idzie” sapnął w podnieceniu i biegł szybkimi kroczkami do gabinetu naczelnego.

... Na Uniwersytecie wrzało. W rzeczywistości pierwsze próby dyskusji politycznych zaczęły się na uczelniach łódzkich dużo wcześniej. Niektóre ćwiczenia i seminaria — szczególnie na Wydziałach Filologicznym i Historycznym UŁ. od kilku tygodni przemieniały się spontanicznie w rozmowy o roli cenzury, o sytuacji kultury polskiej, o polityce zagranicznej i wewnętrznej państwa. Nawiązywano do tradycji Rewolucyjnego Związku Młodzieży i Związku Młodzieży Demokratycznej, aczkolwiek studenci przekroczyli progi uczelni w blisko dziesięć lat po rozwiązaniu tych grup.

Wiedzieli jednak, że właśnie Łódź była w latach 1955-1956 ośrodkiem działania RZM. Po warszawskim zjeździe kół Rewolucyjnego Związku Młodzieży, po rozwiązaniu ZMP i utworzeniu ZMS, na Wydziale Prawa UŁ. powstały koła Demokratycznego Związku Młodzieży. Koła te pragnęły działać w oparciu o odrębne — jak się wówczas wydawało — Stronnictwo Demokratyczne, tworząc rodzaj „liberalnej opozycji”, podkreślały swój krytyczny stosunek do ustroju totalnego i w niektórych postulatach sięgały daleko poza deklaracje RZM.

Nie trzeba informować że członkowie tych grup zostali dosyć szybko spacyfikowani. U jednego z działaczy ZMD, młodego prawnika K.D. znaleziono Statut Związku co wystarczyło do wytoczenia procesu politycznego.

Jednakże na Uniwersytecie trwała pewna tradycja związana z działalnością RZM i ZMD i przypominano przynajmniej miejsca najślynniejszych najbardziej burzliwych „październikowych” zebrań.

Ważną rolę w teraźniejszych, nieśmiałył jeszcze dyskusjach uniwersyteckich odegrali niektórzy profesorowie i asystenci. Ze zrozumiałych względów nie można podawać ich nazwisk, było jednak wiele przypadków kiedy to seminaria przekształcały się w dyskusje polityczne za ich zgodą i wiedzą. W małych i w większych grupach rozmawiano o sprawie „Dziadów”, o niektórych wydarzeniach warszawskich, a przede wszystkim — o znaczeniu swobód demokratycznych dla prawidłowego rozwoju państwa socjalistycznego.

Tymczasem za plecami studentów, rozgorączkowanych lecz jakże dalekich od jakiegokolwiek myśli o „podważaniu podstaw ustroju” przygotowywano Wielką Prowokację.

Ponieważ „bariera ochronna” nie izolowała od wieści ze stolicy a przede wszystkim — od „wewnętrznego schorzenia”, rozpoczęto kontrakcję. Parę dni wcześniej we wspomnianym klubie studenckim „pod siódemkami” odbywała się zabawa karnawałowa. Podobno wśród młodzieży przebranej „za Arlekina” albo za „kota w butach” znalazło się dwóch studentów w opaskach zasłaniających jedno oko.

Czyżby była to demonstracja na cześć Mosze Dajana? Wspomniany artykuł w *Głosie Robotniczym* wyjaśnił tę sprawę niedwuznacznie, podając jednocześnie nazwiska obu „syjonistów”. Artykuł ostrzegł jednocześnie przed wichrzycielami i mącicielami na

terenie uczelni, jawnie już stwierdzając że „zaraza przeniknęła do miasta”. Nie trzeba dodawać, że wymieniono nazwiska typowo żydowskie (jeden z rzekomych „dajanów” nazywał się Goldberg). Artykuł był ponadto poświęcony niebezpieczeństwu syjonistycznemu wśród profesorów i studentów.

Jednakowoż pech — czy też pośpiech towarzyszący sprawie spowodował, że dokonano fatalnego przeoczenia. Jeden z „dajanów” przebywał w tym czasie w wojsku i od paru miesięcy nie otrzymał przepustki. (Nie był już zresztą studentem). Drugi w ogóle nie uczestniczył w zabawie.

Po ukazaniu się wspomnianego artykułu Rada Klubu wydała studentowi zaświadczenie stwierdzające, że nie było go tego wieczoru na imprezie — *nota-bene* wkrótce po tym kierownik Klubu Zdzisław Hejduk oraz wiceprzewodniczący Rady Okręgowej ZSP Jan Jakubiszyn otrzymali wypowiedzenia z pracy „za bezprawne posługiwanie się pieczęcią klubową”...

Do tego wszystkiego, jak się okazało, dwaj „syjonistyczni wichrzyciele” nie byli przebrani „za dajana” ale... „za korsarza”, co całkowicie zmieniało polityczną wymowę przepaski na oku.

Nie na wiele się zresztą przydało wspomniane „zaświadczenie niewinności” bo redaktor naczelny *Głosu* nie chciał nawet rozmawiać z tak ostro napiętnowanym „syjonistą”...

Ta groteskowa sprawa niezwykle wzburzyła środowisko uniwersyteckie. W tym czasie rozreklamowano szeroko rzekomy „pochód studencki”, składający się faktycznie z garstki słuchaczy Studium Języka Polskiego dla Obcokrajowców. Ku ogólnemu zdziwieniu Piotrkowską przemaszerowali czarni mieszkańcy Afryki oraz trochę Wietnamczyków niosących transparenty: „Potępiamy agresję izraelską” oraz „Syjoniści precz z uczelni”. Prasa zapowiedziała to sensacyjne widowisko jako „spontaniczną demonstrację zdrowej części młodzieży studenckiej”.

Teraz wypadki toczyły się bardzo szybko. Na Uniwersytecie zwołano wiec ogólnostudencki i wybrano delegatów, którym zresztą zlecono działać drogami oficjalnymi — przede wszystkim poprzez Rektorat. Wiek uchwalił rezolucję. W dokumencie tym znalazły się głównie punkty dotyczące: 1) prawdziwej informacji o wypadkach w Warszawie, 2) rezygnacji z publikowanych w całej prasie krajowej artykułów sugerujących jakoby ruch studencki „robili” syjoniści i wichrzyciele, 3) szczerzej i bezpośrednio rozmowy władz partyjnych ze studentami.

Delegaci udali się do Rektora a także do redaktorów naczelnych łódzkich gazet. W redakcjach rezolucję przyjęto i obiecano „rozważyć możliwości wydrukowania”. Nieco inaczej rozwinęła się sytuacja w Rektoracie UŁ. Na wieść o wybraniu delegatów Komitet Łódzki zażądał od Rektora, prof. dr. J. Piątkowskiego natychmiastowego relegowania przedstawicieli studenckich z uczelni. Rektor odmówił. (W kilka tygodni później uniwersytecka POP wykluczyła go z PZPR wraz z wnioskiem o usunięcie ze stanowiska).

Natomiast w gazetach pojawiły się nie rezolucje studenckie a... dalsze napastliwe artykuły.

Już 15 marca ogłoszono w Łodzi „stan wyjątkowy” (trwał on do 15 maja). Wprowadzenie „stanu wyjątkowego” umożliwiło zaostrezenie wyroków, wydawanych przez Kolegia Orzekające w przyspieszonym terminie. Zarządzenie o „stanie wyjątkowym” podpisane przez przewodniczącego Prez. Rady Narodowej, E. Kaźmierczaka, podwyższało wymiar kary za wykroczenia związane z „zakłóceniem porządku publicznego”.

Mimo podjęcia takich środków, delegatów grupowych i wydziałowych wybrano także na Politechnice Łódzkiej. Delegaci ci byli w stałym kontakcie z przedstawicielami Uniwersytetu.

Wobec braku pozytywnej reakcji ze strony władz, zdecydowano zwołać wiec międzyuczelniany przed gmachem Biblioteki Uniwersyteckiej przy pl. Matejki. Wiec jednakże nie doszedł do skutku z następującej przyczyny: na parę godzin przed terminem zaczęły zjeżdżać przed gmach Biblioteki ciężarówka z „przedstawicielami robotników”. Delegaci studenccy zorientowali się że wśród paru tysięcy kolegów znajduje się... przynajmniej tysiąc nikomu nie znanych osób. Zachodziło niebezpieczeństwo że wiec przekształcony zostanie bądź w prowokację bądź w masakrę.

Wydaje się że od tego momentu rozpoczął się na łódzkich uczelniach przyspieszony proces dojrzewania politycznego — zgodnie zresztą z przewidywaniami Marksa i Lenina, według których terror jest jedynie katalizatorem w rozwoju ruchów rewolucyjnych... Przede wszystkim, zorganizowano samorzutnie grupy, których zadaniem była kontrola legitymacji studenckich podczas wszystkich spotkań i zebrań. Faktycznie, w znacznym stopniu uniemożliwiło to tajniakom przedostanie się do gmachów uczelni, a nawet na zorganizowany w dzień później wiec na Placu Wolności (rezolucja z tego wieceu znalazła się w zbiorze „Wydawnictwa Marcowe 1968”).

Wiec trwał kilkadziesiąt minut i zgromadził około 2 tysięcy studentów. Przybyło także wielu mieszkańców miasta, którzy jednak mówiąc szczerze, „trzymali się w bezpiecznej odległości”. Teren obstawiały radiowozy i karetki milicyjne, ale milicja nie ingerowała w trakcie przemówień i uchwalania rezolucji. Kolejni mówcy akcentowali przede wszystkim solidarność ze studentami warszawskimi oraz chęć nawiązania kontaktu z młodzieżą robotniczą. Odczytanie projektu rezolucji przyjęto okrzykami „hurra!” i „niech żyje”. W tym momencie rozległy się gwizdki milicyjne. U wylotu jednej z ulic zobaczyliśmy tzw. „sukę” — ciężarówkę z zakratowanymi otworami. Milicjanci wpychali tam przypadkowych przechodniów. Poszły w ruch pałki. Tego wieczora aresztowano około 50 osób — wśród nich zatrzymano kilku wyrostków, którzy traktowali wiec jako okazję do „rozróby”. Ludzie zaczęli spiesznie opuszczać plac.

Następnego dnia na Uniwersytecie i na Politechnice wybrano przedstawicieli, których zadaniem było udać się do fabryk i do klubów robotniczych. Jednocześnie proklamowano strajk okupa-

cyjny. Przepisywano ręcznie lub na maszynie teksty rezolucji i ulotki które miały dotrzeć do robotników.

Musimy pamiętać, że wszystko to odbywało się w sytuacji w której władze robiły co mogły, aby opinia publiczna nie zorientowała się w przebiegu i masowości ruchów studenckich. W czasie strajku okupacyjnego milicja otoczyła Politechnikę tak, że przejścia uliczne zostały zablokowane. Radiowozy i patrole skutecznie płoszyły ciekawskich którzy chcieli przeczytać transparenty wywieszane na gmachu U.E. przy Al. Kościuszki oraz przy Narutowicza i Buczka. Strajk okupacyjny trwał zresztą krótko — studentom odcięto wodę i światło w „okupowanych” gmachach.

Mimo trudności spowodowanych brakiem dostępu do powielaczy ulotki — przepisywane ręcznie — dostarczono do kilkunastu zakładów pracy. Wykorzystano „styk zmian” kiedy to wychodzących robotników poddaje się rewizji osobistej i na portierniach jest sporo zamieszania i bałaganu. Jednakże, gdy delegaci studenccy chcieli dostać się m.in. do Zakładów im. Marchlewskiego, Komuny Paryskiej i 1 Maja — zostali wylegitymowani i zatrzymani przez ORMO.

Byli to słuchacze P.E. i U.E. Akademia Medyczna nie przyłączyła się do strajku ani nie wybrała delegatów — stanowiło to później „tytuł do chwały” i było wielokrotnie podkreślane przez Rektora A.M. Jednak nieoficjalnie słuchacze A.M. uczestniczyli w wiecach studenckich. Natomiast na teren Uniwersytetu podrzucono ulotkę następującej treści: „Do studentów Uniwersytetu i Politechniki! Jesteśmy całym sercem z Wami, ale grożą nam poważne konsekwencje. Zostaliśmy przecież zmobilizowani i pozostajemy pod wojskowymi rozkazami. Tylko dlatego nie możemy przyłączyć się do Was — Słuchacze Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi”.

Wkrótce po zakończeniu strajku okupacyjnego relegowano z Uniwersytetu sześciu studentów oraz trzech studentów z Politechniki. Nazwiska ich ogłoszono w prasie. Natomiast nie zamieszczono informacji o wyrzuceniu ze studiów dalszych kilkunastu osób i o licznych aresztowaniach. Część osób skazano w przyspieszonym tempie na kary pieniężne lub areszt na podstawie wspomnianej ustawy o „stanie wyjątkowym”. Relegowanych studentów natychmiast powołano do wojska. Przystąpiono też do generalnej czystki wśród profesorów. I tak na przykład rozbito właściwie łódzką Państwową Wyższą Szkołę Teatralną i Filmową, gdzie Rektora prof. dr. Jerzego Toeplitza oraz Prorektora prof. dr. Romana Waydowicza uznano winnymi „solidaryzowania się z młodzieżą studencką” i usunięto ze stanowisk.

Łódź została opanowana przez „czarną sotnię”, kierowaną przez towarzyszy: Rejniaka, Górczaka, Tomczyka z Wydziału Pro-

pagandy KŁ oraz towarzysza Józwiaka z Wydziału Organizacyjnego. W trakcie parodystycznych „procesów” na forum Podstawowych Organizacji Partyjnych usunięto kilkunastu pracowników dyrekcji fabryk i Zjednoczeń Przemysłowych — „pochodzenia żydowskiego”. Następnie usunięto wicedyrektora Akademii Medycznej i kilku naukowców tej Akademii. W Łodzi także odbyły się zebrania partyjne filmowców — usunięto, Aleksandra Forda, wyrzucono dyrektora Studia Małych Form Filmowych „Semafor”, mgr. R. Brudzińskiego. Usunięto ze stanowiska dyrektora Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki „Ruch”. Z Wytwórni Filmów Oświatowych wyrzucono naczelnego redaktora oraz reżyserów Etlera i Kokesza. Etlerowi zarzucono że jego filmy (nagrodzony w Locarno „Cmentarz Remu” czy późniejsza „Judaica”) traktowały wyłącznie o sprawach żydowskich, co stanowi „wypaczenie tematyczne”. Z Wydawnictwa Łódzkiego usunięto dyrektora A. Postołowa — za wydanie książki A. Minkowskiego „Urlop na Tahiti” i w ogóle za „nadmiar wydawnictw o tematyce żydowskiej”. Ubolewano jednocześnie nad niewłaściwym repertuarem wydawniczym, który „uwzględniał tematykę żydowską i martyrologię Żydów zamiast tematu „strajki chłopskie w okresie międzywojennym” (!)

Dokumentną czystkę przeprowadzono w prasie łódzkiej, skąd usunięto około 10 dziennikarzy i pracowników administracji. Z Kliniki Chorób Wewnętrznych Wojskowej Akademii Medycznej usunięto kilku lekarzy — wśród nich ordynatora prof. dr. Himmla. Z Uniwersytetu — między innymi Rektora J. Piątkowskiego (o czym pisałam wyżej) oraz docenta Amsterdamskiego. Ten ostatni podczas seminarium z historii filozofii nie zorientował się w swoistej demonstracji — studenci wstali i zapowiedzieli „minutę ciszy dla uczczenia pamięci kolegi zamordowanego przez MO na Uniwersytecie Warszawskim”.

Towarzyszyła temu niebywała zupełnie atmosfera nienawiści i strachu. W związku z procesem wytoczonym 62-letniemu byłemu dyrektorowi Zjednoczenia Gumowego, M. Srebnikowi (po 25 latach piastowania najwyższych stanowisk gospodarczych okazało się podobno że... nie ma matyry!). *Dziennik Łódzki* pisał: „oskarżony zachowywał się z bezczelnością właściwą osobom pochodzenia żydowskiego” (artykuł pt. „Fałszywy Srebrnik”).

Aby nie zachodziła przypadkiem jakakolwiek wątpliwość że wyrzuca się głównie Żydów, każde sprawozdanie prasowe podawało — w przypadku zmiany — poprzednie nazwisko „oskarżonych”, co, *nota-bene*, jest całkowicie niezgodne z obowiązującymi przepisami prawnymi.

Na terenie Łodzi mieszka stosunkowo wielu przedwojennych członków KPP i wielu z tych starych ludzi, dawnych komunistów to „osoby pochodzenia żydowskiego”. Większości odebrano renty, przy czym w znanym mi osobiście przypadku Felicji R. argumentowano że „towarzyszka Felicja paliła w piątek świece”. Na marginesie dodam, że towarzyszka Felicja faktycznie paliła w piątek

świece, ale nie z powodów religijnych a wyłącznie dlatego że tego wieczoru Elektrownia wyłączyła światło.

W jednej z gazet pojawił się artykuł o młodym prokuratorze „pochodzenia żydowskiego”, który rzekomo porwał córkę gospodarza wiejskiego aby ją wywieźć do Izraela (nie do wiary, ale w artykule była mowa o „dawnych żydowskich praktykach religijnych” i o „niesprawdzonych podaniach, jakoby do macy dodawano krew chrześcijańskich niemowląt”). W innym artykule stwierdzono że religijni Żydzi pogłębiali „trudności mięsne” ponieważ „zjadali bardzo dużo mięsa z uboju rytualnego”.

Przypominano, jak to Żydzi okazywali niewdzięczność Polakom którzy ratowali ich w czasie okupacji i jak... ochoczo współpracowali z Gestapo.

Niebywały zupełnie „felieton” wydrukował organ KŁ i KW PZPR — „List otwarty do Goldy Meir”. Autor sugeruje, że Golda Meir przechowuje w swojej szafie Martina Bormanna, a w zakończeniu wzywa obecnego premiera państwa Izrael aby „sprawdziła czy jej się czasem czulent nie przypala”. Wkrótce potem ukazał się „list Czytelnika”, skierowany do autora felietonu, P. Gószczyńskiego. Ów czytelnik pisał że „zgadza się z autorem artykułu i nie będzie przyczołwał na brylanty pani Goldy Meir”.

Niestety, najdziwsze bzdury rozpowszechniane w tym czasie przez prasę, radio i telewizję wywołały — częściowo przynajmniej — zamierzony skutek. Przede wszystkim, odwróciły uwagę społeczeństwa od istotnych wypadków, od rezolucji studenckich, od wieców i strajków okupacyjnych. Następnie — wywołały atmosferę niesłychanego strachu.

Kiedy w prasie ukazała się lista usuniętych dziennikarzy łódzkich, w szpitalu MSW leżał z rozpoznaniem zawału serca dotychczasowy naczelny redaktor *Dziennika Łódzkiego* St. Januszewski. Jego nazwisko również znajdowało się na tej liście. Tego samego dnia lekarze nakazali mu natychmiast opuścić szpital.

Rada Klubu Dziennikarza w Łodzi zabroniła dziennikarzom „pochodzenia żydowskiego” wstępu na teren lokalu. Pracownicy rad narodowych otrzymali tajne polecenia aby przygotowano listę właścicieli nieruchomości „pochodzenia żydowskiego”. W Klinice Chorób Ocznych Wojskowej Akademii Medycznej zażądano od lekarzy przedstawienia metryk chrztu.

Wydaje się że nie wszystkie te akcje — a przynajmniej nie te najbardziej ostentacyjnie nawiązujące do „Ustaw Norymberskich” przeprowadzano z inicjatywy partyjnej góry. Chaos i dezorientację najlepiej ilustrują takie fakty: autor „Listu otwartego do Goldy Meir” otrzymał najpierw nagrodę z tzw. funduszu naczelnego redaktora a po paru dniach... naganę z Komitetu PZPR. Oba Komitety wydały dwie antysemityczne broszury, w których m.in. zamieszczono przedruki najbardziej bzdurnych artykułów z prasy łódzkiej. Współautor broszur, rozpowszechnianych na Uniwersytecie i Politechnice, naczelny redaktor *Ekspresu Ilustrowanego* Wiktor Malski, opracował broszury na zlecenie partyjne

po to by... w kilka tygodni później otrzymać ostre upomnienie Komisji Kontroli Partyjnej.

W pewnym momencie akcja wymknęła się z rąk organizatorów. Dezorganizacja, sprzeczne dyspozycje, pośpiesznie podejmowane decyzje, chaos i panika, nadgorliwość prowadząca do zbyt nio kompromitujących posunięć, wszystko to rozwinęło się na wyjątkowo podatnej glebie. Sprawdziło się przysłowie że „władcy takie mają narody, jakie sami sobie wychowają”. Niestety, władcom komunistycznym udało się to czego nie dokonały w Polsce ani lata zaborów ani czasy okupacyjnego terroru — większość stanowisk urzędniczych i partyjnych, przynajmniej na prowincji, okupują dziś ludzie gotowi dosłownie na wszystko w obronie lepszej posady, większych przywilejów, ludzie pozbawieni kręgosłupa moralnego, dokumentnie zeszmaceni.

Ten bilans jest bardziej tragiczny niż podsumowanie sytuacji ekonomicznej kraju po 25 latach rządów komunistycznych.



Na tym tle marcowe wystąpienia studenckie nabierają szczególnej wymowy. Są jeszcze w Polsce środowiska zdolne do różnicowania pomiędzy starymi, wytartymi niejednokrotnie pojęciami „dobra” i „zła”, „uczciwość” i „zakłamania”, grupy młodych gotowych do „niemodnej”, odważnej walki w obronie własnych przekonań.



... Ulotka, którą wrzucono za parkan ogradzający Zakłady imienia Wiosny Ludów zaczynała się słowami: „Trudno być komunistą w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”...

Alina GRABOWSKA

Czarna lista

Piotr Krasnodebski: „Mit powiatowych Dantonów”, *ITD* 23. II. 69.

Karol Szyndzielorz: „Federacja liczona w koronach”, *Polityka*, 15. III. 69.

Maria Osiadacz: „Metamorfozy”, *Prawo i Życie*, 23. III. 69.

Aleksander Rowiński: „Ekskursja do niepodległej Słowacji”, *Prawo i Życie* z 23. III. 69.

DO NIEKTÓRYCH STUDENTÓW

Mierny studencie, wymoczku błdy
Zostaw w spokoju dreźniekie „Dziady”

Przy polskim stole gościnnie siadasz
Chłopa polskiego (pracę) chleb jadasz.
Gdy zeszyły z nieba niewoli chmury
Po co, fajdaku, robisz w nim dziury.
Za moje Dziady, wiersze i ody
Dejmek ma wilę i samochody.
Za moich czasów my filomaci
Nie rzucaliśmy rublem w swych braci.
Nie rzucaliśmy błota w Moskali,
Którzy za nami twardo trzymali.
Za owych czasów raz na weselu
Dużo mówiło się o Jankielu.
Grał Zydek Jankiel, grały cymbały,
Gdyż pary zagrać sobie kazały.
A ty łachudro, durny muflonie,
Kulturę widzisz w „Poety Syjonie”.
Przecież Zambrowscy jeść ci nie dają,
Dlaczego tańczysz tak jak zagroją.
Gdybym nie musiał stać na cokole,
Rzuciłbym do nóg twoich bawole
Wszystkie me szaty na jedną kupę
Byś mnie całował wraz z Dejmkiem w d...

A. MICKIEWICZ

Warszawa, Krakowskie Przedmieście

Oto jedno z „arcydział”, pióra (zapewne) p. Gaworskiego, rozdawane jako „ulotka studencka” w Szkole Teatralnej w Warszawie.

Wybory w Polsce

RZĄDZICIE SAMI — WYBIERAJCIE SIĘ SAMI

Od kilku miesięcy trwa w naszym kraju ogromna kampania propagandowa pod hasłem wyborów. Sprawująca dyktatorskie rządy biurokratyczna elita pragnie zalegalizowania swojej władzy. Zalegalizowania fikcyjnego. „Najwyższy organ ustawodawczy” państwa wybierany jest bowiem metodą dzięki której wybory nie mają najmniejszego wpływu na jego skład. Mało tego, gdy podejmowano jedną z najdonioślejszych decyzji w historii naszego kraju, hańbiącą imię Polski ekspedycję karną w bratnim, chcącym wolności kraju, nikt sejmu o zdanie nie pytał. Gdy w pamiętnych dniach zeszłorocznej wiosny pięciu posłów o poczuciu obywatelskim wyłamało się z biurokratycznej rutyny i zabrało głos w imieniu swych wyborców — okrzyczano ich za zdrajców.

Uzurpatorzy szermują hasłem dwudziestu pięciu lat dorobku powojennej Polski, jak gdyby dorobek ten był ich zasługą. Bez wątpienia zrobiliśmy

ogromny krok naprzód, jednak ogromna większość tego co dokonano odbyła się pomimo, nierzadko i wbrew właścicielom Polski.

Wiemy jaką cierniową drogę przejść musi każdy, kto zechce w naszym kraju zrealizować jakąkolwiek inicjatywę, jakikolwiek pomysł. Ile wysiłku wymaga przebicie muru bezmyślności, niekompetencji, złej woli — istniejących wyłącznie z winy tych, którzy wszystko co zostało zrobione uważają za swoją zasługę. A ile inicjatyw nie może ujrzeć światła dziennego tylko dlatego, że groziłyby one minimalnym uszczupleniem absolutnej władzy aparatu partyjnego.

Namawiający dziś do głosowania na siebie władcy opowiadają wiele o dorobku, nie wspominają jednak kto odpowiedzialny jest za stan permanentnego kryzysu polskiej gospodarki, za ciągłe, jawne i ukryte, podwyżki cen, za zarobki, które nie wystarczają na minimum egzystencji, za istniejące w wielu rejonach kraju bezrobocie, za katastrofalną sytuację mieszkaniową. Obradujące co jakiś czas plena Komitetu Centralnego partii radzą nie nad tym jak przezwyciężyć istniejące trudności, lecz nad tym jak w trudnej sytuacji kraju utrzymać się przy władzy wbrew woli narodu.

Na konferencji przedwyborczej w Szczecinie Stefan Jędrzychowski powiedział: „partia rozmawia z narodem i pozyskuje go dla swojej polityki”. Jak ta rozmowa i pozyskiwanie wyglądało widzieliśmy w marcu: chciano nawiązać dialog — partia odpowiedziała pałkami policyjnymi.

Władcy usiłują wmówić narodowi, że każdy głos przeciw nim jest głosem przeciwko socjalizmowi. To nieprawda. Usiłujemy bronić tego co w idei socjalistycznej jest najcenniejsze — humanizmu, a to co dzień jest gwałcone przez tych, którzy za obrońców tej idei się podają.

W ostatnim roku zebrało się zbyt wiele goryczy, by można dłużej milczeć. Haniebna kampania antysemitka, w wyniku której kilkanaście tysięcy Polaków musiało iść na wygnanie, interwencja wojsk polskich w Czechosłowacji, niszczenie nauki, ciągłe procesy studenckie, zakneblowanie literatury — wszystko to woła o wielkie NIE.

Nie mamy wielkich możliwości. Wciąż, za społeczne pieniądze, rozbudowywany aparat represyjny, ogromna machina propagandowa, najprzeróżniejsze środki administracyjne, czy wreszcie czołgi sąsiedniego mocarstwa, stoją na straży absolutnej władzy tych, którym nikt na sprawowanie władzy mandatu nie dawał.

Właśnie wybory jednak, ten zachowany pro forma relikw, dają okazję aby powiedzieć NIE.

Nie wzywamy do bojkotu, który może spowodować niepotrzebne represje. Ale nie wróciliśmy jeszcze do czasów kiedy to policja pilnowała jawnego głosowania. Idźcie do urn i przekażcie im na kartkach wyborczych prawdę: **RZĄDZICIE SAMI — WYBIERAJCIE SIĘ SAMI.**

(Tekst otrzymany z Kraju)

Sprawy i troski

O Polakach w Afryce Południowej

Tak zwana stara emigracja

Każdy nowoprzybyły rodak po kilkudniowym pobycie w Johannesburgu jest zdziwiony ilością nazwisk o polskim brzmieniu, które widzi na szyldach i reklamach sklepowych oraz w książce telefonicznej.

Czyta się: Borowski, Borsuk, Dombrowski, Gonski, Karmenski, Karnowski, Klewanski, Machanich, Mankiewicz, Markowicz, Papierowski, Papiłski, Paślawski, Podeschwa, Poeta, Pogorzelski i wiele, wiele innych do Zagórski włącznie.

Jest to tak zwana stara imigracja, przeważnie Żydzi, którzy przyjechali tu z Rosji po 1905 roku.

Następna fala to Żydzi, którzy opuścili Polskę po 1920 roku lub przyjechali z Niemiec względnie z Austrii.

Wymienieni poprzednio, prawie wszyscy wspominają lata spędzone w Rosji, gdzie wielu z nich miało znajomych Polaków — miłe i z sentymentem. Natomiast druga fala, która wyjechała z Polski na skutek *numerus clausus* lub na wezwanie przebywających już zagranicą krewnych, nie okazuje sympatii dla swych dawnych współziomków.

W czasie ostatniej wojny był znany w Johannesburgu gościnny dom pochodzących z Łodzi państwa Gońskich, w którym pani Gońska co czwartek gościła polskie studentki i żołnierzy-inwalidów.

W kołach handlowych Cape Town był znany p. Międzyrzecki, który importował drzewo z Polski i bronił polskich interesów handlowych. (Wyjechał z Płd. Afryki via Palestyna do Kanady, gdzie niedawno umarł).

W prasie często się czyta oficjalne zgłoszenia o zamiarze zmiany nazwiska z polskiego na nazwisko o brzmieniu niemieckim lub holenderskim. Jako motywy podane są trudności w uprawianiu zawodu. Jednak jest wielu Żydów z nazwiskami na „ski”, któ-

rzy są z nich dumni i którzy wyrobili sobie w handlu czy przemyśle markę. Futra Borowskiego mają sławę światową, a pan Miodownik jest jednym z największych kontraktorów budowlanych w kraju.

Ta grupa ludzi, zwłaszcza starsi, mówiąca jeszcze płynnie po polsku utraciła z czasem wszelką łączność z Polonią. Trzeba otwarcie przyznać — ze stratą dla tej ostatniej. Są to ludzie zamożni i ustosunkowani, którzy w indywidualnych wypadkach pomagali swoim znajomym Polakom w okresie trudnym. Lecz na ogół trzymają się oni na uboczu i do polskości się nie przyznają.

Niestety musimy tu zaobserwować stary polski szowinizm (nie chcę używać określenia „antysemityzm”). Odbija się tu, znany zresztą w innych ośrodkach polonijnych zwyczaj, że prawie zawsze nasze uroczystości narodowe są poprzedzane mszą świętą.

Przyznam, że nie spotkałem się z Polakami którzy by stale mieszkali w Południowej Afryce przed wojną, z wyjątkiem obsady placówek konsularnych. Nie dotyczy to misjonarzy-Polaków, których ślady spotyka się w wielu misjach.

Imigracja wojenna

W czasie ostatniej wojny, w roku 1942, zawitali do Unii Południowo-Afrykańskiej żołnierze z Brygady Karpackiej z Egiptu, których rozmieszczono w szpitalach wojskowych w Johannesburgu, Pietermaritzburgu i Durbanie. Na skutek postępów ofensywy Rommła w Afryce północnej, władze brytyjskie ewakuowały tu rannych i chorych żołnierzy z Egiptu i tak grupa około 300 żołnierzy polskich trafiła do Unii. Większość z nich, po wyleczeniu, powróciła do swych oddziałów, lecz została spora ilość inwalidów z czasem zdemobilizowanych z Polskich Sił Zbrojnych. Grupą tą opiekował się kpt. dr L. Surzyński.

W tym samym czasie przyjeżdżali do Unii na urlopy polscy oficerowie służący w oddziałach brytyjskich w Zachodniej Afryce (grupa płk. Ludwiga). Kilku z nich poznałszy kraj, zdecydowało się tu osiedlić na stałe.

Do portów w Cape Town i Durban przyjeżdżały często statki marynarki polskiej, co też dało okazję wielu marynarzom różnych stopni wybrać ten kraj na osiedlenie. W r. 1966 odbył się zjazd marynarzy polskich, na który przybyło 20 osób.

Z osiedli polskich w Afryce Wschodniej i Środkowej, dzięki staraniom ówczesnego delegata ministerstwa oświaty, S. Szczepańskiego, kilkanaście maturzystek przyjęto na uniwersytety w Johannesburgu i Cape Town, gdzie ukończyły wyższe studia.

Pierwsza większa grupa polska, to transport 500 dzieci, które razem z opiekunami i wychowawcami przyjechały w roku 1944 z Persji do Unii. Dzieci te przebywały do roku 1948 w Domu Dziecka Polskiego w Oudtshoorn. Po ukończeniu szkoły średniej, niektórzy z chłopców studiowali na wyższych uczelniach Unii i wyrosli z nich wykwalifikowani fachowcy.

W 1968 byli wychowankowie Oudtshoorn'u obchodzili 25-lecie przyjazdu do Unii. Można obliczyć, że z początkowej grupy 500 dzieci obecnie mieszka w Republice około 300 osób.

Z chwilą zakończenia wojny, w planach rozmieszczenia Polaków w Afryce, International Refugee Organization (I.R.O.) uzyskało od rządów Kenii, Tanganiki i obu Rodezji, tak zwane „kwoty polskie”, według których przyznawano wizy pobytowe dla Polaków.

Ówczesny rząd Unii „kwoty polskiej” nie przyznał, ale obiecał ministrowi S. Łepkowskiemu, reprezentatowi R.P. w Pretorii, przychylnie załatwić indywidualne podania o wizy pobytowe. Była wzmianka że rząd zgodził się udzielić 2.000 wiz dla Polaków — wojskowych i ich rodzin.

Z tej liczby, w latach 1946 do 1948 przybyło do Unii około 200 b. wojskowych na stały pobyt. Wymagano wówczas dowodu na posiadanie majątku w wysokości 2.000 funtów lub kontraktu na zatrudnienie.

W latach 1948 do 1956 przybywali przeważnie b. wojskowi lub Polacy z obozów uchodźczych w Niemczech i Austrii.

Po zapanowaniu „UHURU” w Afryce Wschodniej, przybyło z Kenii i Tanganiki kilka rodzin polskich.

Według nieoficjalnych danych obliczam ilość Polaków przebywających w Republice na około 1.200 osób. Można przyjąć, że w Transvaalu jest 600 osób, w Natalu 200, w Oranii 50, w prowincji Cape 300 i w Afryce południowo-zachodniej 50 osób. Ogółem 600 rodzin polskich przybyłych po 1939 roku. Starania przeprowadzenia rejestracji Polaków w Republice — nie udały się.

Życie społeczne

Życie społeczne które winno łączyć rozrzuconych po świecie rodaków, u nas nie bardzo jest rozwinięte. Z dobrobytem i zwiększającym się majątkiem osobistym, z wejściem w krąg nowych znajomych i przyjaciół, szukanie rodaków i uczęszczanie na zebrania i uroczystości polskie nie jest już uważane za obowiązek.

Nie dotyczy to naturalnie wszystkich! Ale z wyjątkiem dorocznych uroczystości 3 Maja czy Święta Żołnierza, zebrania są raczej mało uczęszczane. Nie zawodzi kościół. I można zaobserwować dziwny objaw: więcej się widzi małżeństw mieszanych, kiedy to żona Angielka lub częściej Szkotka razem z dziećmi przychodzi na nabożeństwo polskie, aniżeli małżeństw polskich. Inne podejście do praktyk religijnych.

Trzeba mieć uznanie dla ludzi dobrej woli, którzy poświęcają swój czas aby to współżycie społeczne podtrzymać.

Pierwszą polską organizacją w Unii był Związek Inwalidów, założony w roku 1942, lecz organizacja ta z czasem zamarła.

W kwietniu 1948 grupa ludzi dobrej woli zorganizowała „Zjednoczenie Osadników Polskich w Południowej Afryce” z siedzibą w Johannesburgu, które objęło całą Unię. Dla potomnych dobrze

jest upamiętnić te osoby: prezes Socha-Paprocki, członkowie zarządu: Emilia Dobson, Maria Skowrońska, Stanisław Jordan, Stanisław Lisiecki, dr Kazimierz Mycielski i Alfred Szymkowiak.

Oddział Z.O.P., założony w roku 1949 w Cape Town, z czasem się usamodzielniał, obejmując swoją działalnością prowincję Cape (Kraj przylądkowy).

W roku 1950 w Durbanie powstało samodzielne „Koło Polskie”, które się rozwija i pracuje wydajnie.

Sp. płk. Antoni Wejtko zjednoczył w Pretorii Polaków w „Rodzinie Polskiej”, prowadzonej obecnie przez inż. F. Kałużę.

W roku 1948 powstało w Johannesburgu Stowarzyszenie Techników Polskich, obejmujące swoją działalnością całą Republikę.

Sp. płk. Antoni Wejtko założył w roku 1948 podwaliny pod S.P.K., organizując Koło Transvaal, Natal i Cape oraz Zarząd krajowy „Afryka Południe”.



W trzech środowiskach polskich: Johannesburgu, Durbanie i Cape Town daje się odczuwać brak Domu Polskiego. Chroniczny brak funduszy a może brak sprężystej organizacji, która z czasem może by pokonała trudności finansowe.

W roku 1949 dzięki staraniom śp. Janusza Kruszyńskiego powstała w Johannesburgu zarejestrowana spółka akcyjna, Polish Club Ltd., która wypuściła akcje po dwa randy za sztukę. Z zebranych pieniędzy zakupiono w Johannesburgu grunt, przeznaczony pod budowę Domu Polskiego. Niestety brak dalszych funduszy oraz inercja dyrekcji spowodowały, że w roku 1967 teren ten sprzedano, a pieniądze umieszczono na rachunku w banku. Ale domu nie ma i długo jeszcze nie będzie.

W roku 1967, dzięki staraniom p. Wallasa, otrzymano w starym, nieużytkowanym budynku szkolnym pomieszczenie dla Klubu Polskiego, gdzie odbywają się zebrania, a w większej sali zabawy taneczne i akademie. Budynek oddany przez rząd „Akademii Kultury” z przeznaczeniem dla imigrantów jest wykorzystywany na razie tylko przez Polaków i Węgrów. Niemcy, Grecy, Włosi i Portugalczycy mają swoje własne kluby z terenami sportowymi.

W Klubie mieści się biblioteka dobrze zaopatrzona w książki (przeważnie z darów) oraz czasopisma. Regularnie otrzymujemy *Kulturę* i *Zeszyty Historyczne* oraz *Dziennik i Tydzień Polski*. W miarę dobrej woli i zainteresowania odbywają się odczyty i zebrania towarzyskie. Z imprez kulturalnych mieliśmy odczyt o nowoczesnej architekturze (inż. J. Skolimowski), o historii polskiej (dr K. Mycielski), wieczór poezji polskiej zorganizowany przez panią R. Mycielską i W. Zaleskich, Wieczór Lwowski z wspomnieniami z Obrony Lwowa (mjr. R. Królikowski i p. A. Górny). Talenty i chętnych do pracy zawsze można znaleźć, czego dowodem jest wystawienie SZOPKI z 17 numerami, w której układ muzyczny (p. Ali-Arletowicz) oraz artystyczne kukiełki

(pani Karen Jaroszyńska) były oklaskiwane w trzech kolejnych wysprzedanych przedstawieniach.

Największe powodzenie ma Klub bridżowy zbierający się na rozgrywki raz na miesiąc w sile 10 stolików. Jak wszędzie na świecie do tej batalii chętnych zawsze jest moc.



Ośrodkiem, gdzie rektor Misji Polskiej, ks. dr Jaworski, odprawia msze św. i gdzie można się spotkać z rodakami, jest konwent Sióstr Służebniczek (ze Starej Wsi) w Lyndhurst pod Johannesburgiem.

Zakład prowadzony na prawach przedszkola dla dzieci (nie koniecznie polskich) posiada już swoją tradycję i zdrowe podstawy finansowe. Gościnne Siostry (obecnie w liczbie 10) zawsze godzą się na zebrania w ich auli, zakończone miłym poczęstunkiem.



Aby dać pojęcie o aktywności naszych rodaków przytaczam kilka danych wziętych z lokalnych Komunikatów. Komunikaty wydawane są raz na miesiąc w Johannesburgu, Cape Town, Pretorii i Durbanie. Z nich można się dowiedzieć o życiu organizacyjnym, o ślubach czy też urodzinach oraz — co się zdarza coraz częściej — o śmierci kogoś nam bliskiego lub znajomego.

Z.O.P. Johannesburg ma 180 członków płacących składki, Oddział Cape Town ma około 80 członków, Koło Polskie w Natalu, które składek nie pobiera, liczy około 80 osób a Rodzina Polska w Pretorii około 20 osób.

Procent osób biorących co roku udział w Walnym Zebraniu jest dosyć wysoki.



Co czytamy: Jest to zagadnienie wielokrotnie poruszane na łamach prasy emigracyjnej a ostatnio będące tematem ankiety zorganizowanej przez *Kulturę*. Będąc od lat przedstawicielem *Kultury* w Afryce Południowej mogę się pochwalić aż 45 stałymi abonentami, z których 10 opłaca również *Zeszyty Historyczne*. Mogę przypuścić, że najwyżej około 20 osób opłaca abonament *Wiadomości*. Sp. J. Lipowski, który reprezentował na naszym terenie *Dziennik Polski* i Polską Fundację Kulturalną, miał podobno około 80 klientów. Razem z nim ogłaszałyśmy nowe wydawnictwa emigracyjne zachęcając do kupna, lecz bez wielkich skutków.

Warunki życia

Młodzi ludzie z fachowym wykształceniem i dobrą znajomością języków — angielsko i afrikaans — mają szanse zrobienia ka-

riery i majątku. W przemyśle i w budownictwie są zawsze dobrze płatne posady. W ostatnich latach po „październiku” mamy coraz więcej przybyszów z Polski z dyplomami, którzy nie mają trudności w znalezieniu pracy.

Dla starszej generacji, która w Polsce doszła do tytułów radcy, naczelnika czy też w wojsku osiągnęła stopień majora, sytuacja jest gorsza, lecz nie beznadziejna. Mimo podeszłego wieku wszyscy oni pracują. Zarobki nie są wielkie, ale czas jest zajęty produktywną pracą a otrzymywane wynagrodzenie wystarcza na dostatnie życie i nawet na odłożenie na wyjazd urlopowy do Europy, co jednak stąd kosztuje około 500 randów (£ 250) od osoby.

Najwięcej mamy inżynierów i techników, potem urzędników różnego typu (*white collar jobs*): buchalterów, kierowników sklepów i hoteli, po nich idą handlowcy i przemysłowcy, wolne zawody, a na końcu farmerzy.

Prawie wszyscy dawni przybysze mają już obywatelstwo Republiki; wiele osób przybyłych z W. Brytanii dotrzymuje jeszcze wierności Królowej Elżbiecie, a nowoprzybyli Polacy są albo na Travel-documents albo na konsularnych paszportach polskich.

W ostatnich miesiącach polityka imigracyjna rządu została zmieniona w taki sposób, że obecnie, starając się o wizę wjazdowo-pobytową, trzeba przedstawić kontrakt pracy lub list zapewniający pracę po przybyciu do Republiki. Zmiana ta nastąpiła na skutek nadużyć ze strony tysięcy imigrantów z Europy (Greków, Włochów i Portugalczków) którzy po przyjeździe sprawiali rządowi wiele kłopotu z wyszukaniem dla nich odpowiedniego zatrudnienia. Wielu z nich na koszt rządu wraca do swego kraju ojczystego.

Polityka

Brak wpływów oraz infiltracji komunistycznej jest skutkiem surowej polityki obecnego rządu, który nie dopuszcza ani literatury ani agitatorów z za żelaznej kurtyny. Na terenie Republiki, od roku 1956 nie ma przedstawicielstw dyplomatycznych ani konsularnych krajów komunistycznych.

Najbliższa ambasada P.R.L. jest w Dar es Salaam w Tanzanii i tam przybysze z Polski zwracają się w wypadku konieczności przedłużenia swych paszportów.



Szkic powyższy nie byłby kompletny bez dodania kilka uwag o położeniu gospodarczym i politycznym kraju w którym żyjemy.

Kraj jest piękny i bardzo bogaty w naturalne skarby: złoto, diamenty, platynę, uran i wiele innych cennych minerałów. Dochody jakie rząd czerpie z eksploatacji tych kruszców i minerałów są olbrzymie. Podatek od dochodu z wyprodukowanego złota

ta wynosi 60 %, a od wydobytych diamentów 45 %. Toteż skarbiec republiki jest pełen a niektórzy ekonomiści świata mówią, że nawet za pełny, co się odbija na międzynarodowym rynku złota. Brakuje tylko jednego surowca — ropy naftowej — aby republika uniezależniła się w zupełności od rynków zagranicznych. Od kilku lat trwające poszukiwania, przy wielkim nakładzie kapitałów, nie dały jak na razie pozytywnych wyników.

Jak z powyższego widać dałem obraz kraju w którym złoto i diamenty leżą na ulicy (tak jest dosłownie!). Czyli raj na ziemi!

Tak jednak nie jest! Nierozwiązana kwestia współzycia ras — białej, czarnej i mieszańców — oraz wprowadzenie od r. 1948 — kiedy to doszła do rządów partia nacjonalistyczna — tak zwanej polityki segregacji (*apartheid*) nie gwarantują stałego pokoju i dobrobytu. Nacisk krajów niepodległych o czarnej większości jest coraz większy w kierunku zmiany polityki wewnętrznej kraju.

Granicą naporu czarnych z północy do niedawna była rzeka Zambezi, która jest granicą między Zambią a Rodezją. W ciągu ostatnich dwóch lat, najścia band terrorystów, szkolonych i zbrojonych na Kubie, w Chinach i w Rosji, zwanych „bojownikami o wolność”, przesunęły tę granicę nad rzekę Limpopo, która jest granicą między Rodezją a Republiką. I to powoduje coraz większe wydatki na brojenie i budowę dróg strategicznych oraz utrzymywanie oddziałów policyjnych, łącznie z oddziałami wojskowymi Rodezji, na granicy Zambii.

Na zakończenie chciałbym dodać wyjaśnienie:

Pod nazwą Afryka południowa (*Southern Africa*) należy rozumieć kraje: Botswana, Leshoto, Malawi, Swaziland i największy z nich, Republikę Afryki Południowej — Republic of South Africa.

31 maja 1961 dawna Unia południowo-afrykańska, istniejąca od roku 1910, wystąpiła z brytyjskiej Wspólnoty interesów i ogłosiła się republiką.

Fakty te podaję aby zwrócić uwagę dziennikarzom polskim, nawet tym uznanym, którzy w swoich artykułach i depeszach nadal używają określenia „Unia południowo-afrykańska”.

W powyższym szkicu zajmowałem się jedynie Polakami mieszkającymi w Republice Płd. Afrykańskiej. Chciałem dodać też trochę informacji o Polakach mieszkających w Zambii i Rodezji, lecz niestety, mimo prośb, materiału nie dostałem.

Roman KRÓLIKOWSKI

Johannesburg, styczeń 1969.

FUNDUSZ POMOCY PRAWNEJ DLA UCHODźCÓW Z POLSKI

W związku ze zwiększeniem się ilości spraw odnośnych legalizacji pobytu w Kanadzie osobom bądź proszących o azyl (ostatnio sprawa marynarzy polskich) lub tych, którzy chcą pozostać w Kanadzie po wygaśnięciu ważności wizy turystycznej, zaszła potrzeba stworzenia Funduszu Pomocy Prawnej Uchodźcom z Polski.

Zarząd Główny KPK zwrócił się do organizacji zrzeszonych w Kongresie o opodatkowanie się na ten cel.

Członkowie Zarządu Głównego zapoczątkowali Fundusz Pomocy indywidualnymi dotacjami w sumie \$ 125,00.

Gorąco apelujemy do całej Polonii Kanadyjskiej o poparcie naszej akcji zbiorkowej.

Czeki należy przysyłać na adres Kongresu Polonii Kanadyjskiej 783 College Street, Toronto 4, Ont. wystawiając na:

Polish Canadian Congress, Inc. (zaznaczając Fundusz Pomocy Prawnej).

I. Berezowska
sekretarz generalny

Z. Jarmicki
prezes

BIBLIOTEKA « KULTURY » — TOM 171

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

SEN MARA

Ostatnie wiersze

Str. 128.

Cena egz. F. 11 (dol. 2,50)

CZARNY POLONEZ

Poezje

WYDANIE DRUGIE

Str. 40.

Cena egz. F. 7 (dol. 1,75)

Sprawy Polaków

Literatura i polityka w Polsce

*Did that play of mine send out
Certain men the English shot?...
Could my spoken words have checked
That whereby a house lay wrecked?*

W. B. Yeats

I

Kiedy, w latach 1945-48, grupa *Kuźnicy* domagała się — nie bez inspiracji i poparcia Partii — literatury „współczesnej”, zaangażowanej, problemowej, kiedy wysuwano hasła „powieści naszego czasu”, „realizmu”, „poezji realistycznej” i „rewolucji kulturalnej”, znaczenie przypisywane literaturze przez Partię było bardzo duże.

W okresie tym komuniści w Polsce dążyli przede wszystkim do konsolidacji zdobytej władzy, szukając dostatecznego poparcia wśród społeczeństwa, a szczególnie wśród intelektualistów i inteligencji. W roku 1945 Partia liczyła niecałe 23.000 tzw. pracowników umysłowych, czyli około 9,6 % swego ówczesnego stanu. Z sytuacji tej wynikała konieczność przyjęcia polityki łagodnego kursu wobec inteligencji, zdobycia jej aktywnego udziału w życiu społecznym, gospodarczym i politycznym kraju, a przynajmniej zapewnienia sobie neutralności tej jej części, która stała na stanowisku ideologicznie niechętnym. Literatura miała w tym kontekście odegrać ważną rolę, częściowo w charakterze propagandowym, ale przede wszystkim jako inspiratorka przewartościowań i ideologicznego fermentu, skierowanego przeciwko tradycyjnym postawom i wartościom polskiej inteligencji.

Wykonanie tego zadania powierzono grupie *Kuźnicy*, w której zasadniczą rolę odgrywali: Stefan Żółkiewski, Adam Ważyk, Jan Kott, a pomniejszą: Kazimierz Brandys, Paweł Hertz, Mieczysław Jastrun, Ryszard Matuszewski i inni. Polityka kulturalna, formu-

lowana przez tę grupę, miała — w porównaniu z okresem stalinowskim — charakter stosunkowo „liberalny”, chociaż co najmniej Ważyk, najbardziej wówczas zdecydowany i bezkompromisowy komunista w grupie, a następnie Jan Kott, reprezentowali stanowisko ostrzejsze, bliższe późniejszym stalinowskim „wypaczeniom”.

Grupa bardziej „liberalna” w redakcji pisma reprezentowała na ogół pogląd nie ingerowania *bezpośrednio* w warsztat twórczy pisarza. Literaturze chciano pozostawić pewien stopień autonomii, przede wszystkim w zakresie formalnym, a pożądane wyniki ideologiczne i formalne uzyskiwać metodą perswazji, sugerowania tradycji i wzorów, krytyki i przebudowy aparatu pojęciowego pisarzy. Członkowie grupy stali, z paroma wyjątkami, na stanowisku, że zmiany w strukturze gospodarczej, upowszechnienie szkolnictwa, powstanie masowego zamówienia społecznego w postaci mas nowych czytelników, skieruje w końcu literaturę na „właściwe” tory. Wyrażali równocześnie przekonanie, że nie powinno to nastąpić w drodze obniżenia poziomu, gdyż masy ludowe mają prawo do wszystkiego co najwartościowsze w kulturalnym dziedzictwie ludzkości. W tym stanowisku grupy nie byłoby oczywiście nic szczególnego, gdyby nie to, że za jej kampaniami publicystycznymi i ocenami krytycznymi stał aparat partyjny, co nadawało jej doktrynom oficjalną sankcję. Groźba administracyjnych skutków ocen krytycznych była już wówczas całkiem realna.

Względny „liberalizm” poglądów grupy *Kuźnicy* wynikał zarówno z taktyki, jak i z głębszych przekonań niektórych jej członków (nie mieli oni, na przykład, zbyt wielkiego nabożeństwa do wzorów sowieckich), znajdował przy tym uzasadnienie w fakcie rozwijania się w tym czasie spontanicznych procesów w środowisku pisarskim, które zdawały się iść po linii postulatów pisma. Chociaż wielu pisarzy, jak np. Iwaszkiewicz, trwało na stanowisku ponadpolityczności funkcji pisarskiej, pokaźna grupa, łącznie z Jerzym Andrzejewskim i Kazimierzem Wyką, skłaniała się w kierunku tak czy inaczej pojętego realizmu, a wśród powojennych utworów poważne miejsce zajmowała tematyka inteligentnych rozrachunków, ujawniająca krytycyzm pisarzy wobec własnych dotychczasowych postaw. Problem faszyzmu był niewątpliwie problemem głęboko nurtującym pisarzy, a doświadczenia wojny i okupacji skłaniały do pisarstwa zaangażowanego moralnie. Wydaje się, że w okresie powojennym istniała w Polsce rzeczywiście szansa powstania literatury realistycznej i problemowej, chociaż zaznaczały się również tendencje inne, w kierunku groteski, a wpływy przedwojennej awangardy w poezji nie były całkowicie wyczerpane. *Kuźnica* — postulując realizm — nie odśądzała równocześnie od wartości form eksperymentalnych i awangardowych, przyznając im, chociaż niezbyt chętnie, prawo bytu. I pod tym względem jej program był bardziej śmiały, niż wprowadzony później — na wzór sowiecki — soc-realistm.

Hasło „realizmu” w literaturze okazało się jednak szybko wielkim nieporozumieniem. Jak to brutalnie wykazał okres stalinowski, Partii — na pewno zaś tej grupie, która doszła do władzy po usunięciu Gomułki — nie chodziło, oczywiście, o literaturę rzeczywistych problemów, o realizm, lecz o partyjność literatury. Literatura odzwierciedlająca rzeczywistość była dla Partii nie tylko nie do przyjęcia, ale wręcz groźna, tak jak nie do przyjęcia była prawdziwa socjologia czy niezależna filozofia. Program *Kuźnicy* okazał się, z punktu widzenia Partii, całkowitym nieporozumieniem, przynajmniej w formie w jakiej mógł trafić do przekonania pisarzom niezaangażowanym lub marksizmowi niechętnym.

Podobnie, kiedy „Pryszczaci” wołali o rewolucyjny romantyzm, ulegali nie tylko własnemu fanatyzmowi, ale daleko idącym złudzeniom. Jeżeli bowiem racjonalizm cechujący intelektualną postawę niektórych członków *Kuźnicy*, racjonalizm gotowy dawać Partii daleko idące poparcie i przyjmować jej dyrektywy, był dla Partii nie do przyjęcia, gdyż zakładał jakąś autonomię myśli, tym bardziej nie do przyjęcia był rewolucyjny romantyzm, gdyż żaden aparat rządzący nie pragnie prawdziwie rewolucyjnej literatury czy poezji. Dlatego narzucono poezji — pseudoklasycyzm. Dlatego nawet wzorzec powieści balzakowskiej oceniono jako niezbyt bezpieczny.

Zarówno grupa *Kuźnicy* jak i „Pryszczaci” okazali się jednak Partii bardzo przydatni. *Kuźnica* niewątpliwie odegrała doniosłą rolę w neutralizowaniu i intelektualnych oporów wobec rządów i ideologii komunistycznej w środowisku pisarskim. Grupa „Pryszczatych” natomiast posłużyła za rodzaj tarana, przy pomocy którego Partia uderzyła m.in. na grupę *Kuźnicy*, odbierając jej swoisty monopol na reprezentowanie i formułowanie linii partyjnej na odcinku literatury.

Jak wiadomo, w latach 1955-57, powstała w Polsce literatura rzeczywiście polityczna, której wczesnym przykładem był „Poemat dla dorosłych” Ważyka. Ostrze tej literatury skierowane było przeciwko stalinowskiej polityce w imię — najczęściej — humanizacji i demokratyzacji „socjalizmu”. Pod pewnymi względami okres ten był kontynuacją prądów nurtujących polskie środowisko pisarskie w latach powojennych. Wystąpiło ponownie silne zaangażowanie etyczne, znajdujące często wyraz w kategoriach bezpośrednio politycznych; nastąpiło odrodzenie się zmodyfikowanych form realizmu i rozkwit realistycznie zaadresowanej groteski; w pewnym — ironicznym — sensie spełniły się początkowe postulaty grupy *Kuźnicy*: współdziałaniu literatury w kształtowaniu rzeczywistości społeczno-politycznej. Zamknięcie pisma *Po prostu*, utracenie projektu pisma *Europa*, wystąpienie Ważyka i kilku innych pisarzy z Partii, zakończyło ten krótkotrwały okres największej swobody w historii powojennej Polski. Raz jeszcze okazało się, że Partia toleruje tylko taki rodzaj zaangażowania, który sama definiuje i wypełnia treścią.

II

W okresie ostatnich 10 lat literatura w Polsce znalazła się w sytuacji koncesjonowanego luksusu. Było to wynikiem nowej polityki kulturalnej Partii, której teoretykiem był do niedawna Stefan Żółkiewski, dopóki nie został usunięty z różnych stanowisk w rezultacie wypadków marcowych i nagonki antysemitkiej. Liczne prace Żółkiewskiego, wydane w Polsce po 1956 roku, dokumentują dosyć wyraźnie niektóre istotne aspekty polityki kulturalnej tego okresu*.

Jak wspominałem, „liberalne” skrzydło *Kuźnicy* reprezentowało linię nie ingerowania *bezpośrednio*, przy pomocy metod administracyjnych, w twórczość pisarską. Partia odrzuciła ten postulat w okresie stalinowskim, kiedy to

1. określano tematykę
2. odrzucano pewne formy i style literackie a narzucano inne
3. żądano od pisarzy bezpośredniego udziału w życiu politycznym według dyrektyw Partii
4. wprowadzono wyjazdy w teren jako sposób „edukowania” pisarzy
5. wprowadzono specjalne sekcje w Związku Literatów w celu zwiększenia kontroli nad pracą pisarza za pomocą autoreferatów, krytyki i samokrytyki
6. zdano pisarza na łaskę i niełaskę Partii w sprawach wydawniczych i bytowych.

Po Październiku, Partia zrezygnowała z niektórych z tych praktyk, lub zmodyfikowała je do pewnego stopnia. Ustupując pod naciskiem społeczeństwa i buntu samych pisarzy, Partia wypracowała nową politykę kulturalną, liberalniejszą od poprzedniej, i taktycznie inteligentniejszą.

Upowszechnienie szkolnictwa, jakie dokonało się w międzyczasie, rozbudowa państwowej sieci wydawniczej, wielokrotny wzrost produkcji wydawniczej, jej daleko idące zróżnicowanie, wzrost wysokości nakładów, ilości radioodbiorników i telewizorów, rozwinięcie się krajowej produkcji filmowej — spowodowały, że znaczenie literatury i sztuki odsunęło się na plan dalszy. Dużo istotniejsze wydawało się odzyskanie i umocnienie kontroli nad środkami masowego przekazu, co też nastąpiło dosyć szybko w wypadku prasy, radia i telewizji, a nieco później w wypadku filmu.

Umacniając kontrolę nad środkami masowego przekazu Partia poczuła się dostatecznie silna, aby pozostawić literaturze nawet ideologicznie „obcej”, rodzaj eksperymentalnego półka, wycho-

* Patrz, S. Żółkiewski, *Kultura i polityka* (1958), *Przepowiednie i wspomnienia* (1963), *O kulturze Polski ludowej* (1964) i in.

dząc m.in. z założenia, że literatura współczesna sama stwarza barierę swoją nowoczesnością i niejednokrotnie same walory literackie wystarczają do ograniczenia zasięgu jej oddziaływania. Literatura intelektualizująca treści, nawet żywo aktualne, czy anty-komunistyczne, wydawała się — w warunkach cenzury i kontroli środków masowego przekazu — stosunkowo niegroźna.

Jedną z reakcji na drętwą mowę i napuszoną retorykę stalinowskich rymowanek był odwrót w poezji polskiej od retoryki i wzorców stylistycznych poezji Majakowskiego czy Broniewskiego. Nowoczesna poezja krajowa, poezja Białoszewskiego, Herberta, Różewicza cieszy się bodaj czy nie większym oddźwiękiem poza Polską, niż w kraju. Nie bez powodu pisał Różewicz:

*Mówię do polityków
którzy mnie nie czytają
mówię do biskupów
którzy mnie nie czytają
mówię do generałów
którzy mnie nie czytają
mówię do tzw. „prostych ludzi”
którzy mnie nie czytają*

Tom, w którym ukazał się ten wiersz, wyszedł w nakładzie 2000 egzemplarzy, podczas gdy propagandowe wydawnictwa Partii lub utwory literackie pomagające „w budowie socjalizmu” ukazują się w nakładach nieporównalnie większych. A Różewicz jest jeszcze, pod względem nakładów i częstotliwości wydań, stosunkowo faworyzowany. Treści jego poezji mało mają wspólnego z ideologią czy linią polityczną Partii. Pomaga tu niewątpliwie fakt, że Różewicz stoi zdala od wszelkiej polityki i skrupulatnie unika bezpośredniego angażowania się czy wypowiedzania w sprawach aktualnych mających posmak polityczny. Nie ma wątpliwości, że Różewicz jest poetą głęboko etycznie zaangażowanym, i w swojej tematyce bardzo współczesnym, ale jego moralistyka adresowana jest w sposób apolityczny. Różewiczowski *hic et nunc* ma charakter zarówno szerszy jak i węższy od politycznego kontekstu, jest poza tym obsesyjnie zakotwiczone w problematyce czasu wojny i okupacji. (Jak to ktoś określił, nawet gdyby Różewicz napisał wiersz przeciwko inwazji Czechosłowacji, byłby to zapewne utwór nadający się do druku w warszawskiej *Kulturze* — co rozumiem jako pochwałę, ale gorzką, poezji Różewicza).

Przykład Różewicza wydaje mi się istotny. Wykazuje on, jak poezja współczesna, niewątpliwie o wysokich walorach moralnych i artystycznych, może egzystować w kontekście zasadniczo sprzecznym z jej charakterem etycznym bez popadania w sytuację konfliktową. Oczywiście, nawrót stalinizmu sytuację taką stworzyłby natychmiast.

Innym przykładem jest powieść Andrzejewskiego *Bramy raj*. Żółkiewski, w jednym ze swoich artykułów stwierdził, że z punktu widzenia „socjalizmu” powieść Andrzejewskiego jest „nie do przyjęcia”. Mogła się ona jednak ukazać, między innymi dlatego,

że forma i wręcz klinicznie skrótowa konstrukcja tej powieści niewątpliwie ogranicza zakres jej oddziaływania, dając równocześnie pole do różnorodnych interpretacji (np., że jest to atak na kościół katolicki). Czy trzeba się było zbytnio przejmować „szkodami” jakie mogła przynieść? Odpowiedź Żółkiewskiego i ludzi odpowiedzialnych za politykę kulturalną tego okresu brzmiała: nie zanadto.

Większość argumentów, uzasadniających pozostawienie literaturze eksperymentalnego półka, znaleźć można u Żółkiewskiego. Oprócz argumentów istotnych, wykazujących zasadniczą zmianę stosunku do funkcji literatury, znajdujemy argumenty czysto taktyczne. Tak więc, obok argumentu, że dobra literatura nie powstaje pod naciskiem, i nie da się „zakomenderować”, lub że groteska może równie dobrze wyrażać rzeczywistość jak tzw. powieść realistyczna, że przypisywanie ideologicznych treści *formie* jest procederem wątpliwym, lub, że dotychczasowa praktyka w Polsce za mało uwzględniała problemy i potrzeby jednostki i w interesie socjalizmu leży nasycenie własnej problematyki intelektualno-twórczej problematyką stawianą dotychczas głównie przez egzystencjalizm — obok takich argumentów znajdujemy stwierdzenia zupełnie innej kategorii, że nie zaszkodzi poznać wroga, lub że literatura jako symptom (np. przeżytków świadomości burżuazyjnej, czy antagonizmów nurtujących społeczeństwa „bezklasowe”) ma swoją wartość poznawczą dla ideologa, polityka i socjologa. Podobnie „wyrafinowane” stanowisko zajmowano wobec socjologii, czy socjotechniki — wskazując na użyteczność ankiet i badań socjologicznych dla polityki Partii, która przy ich pomocy poznaje dokładniej nie tylko rzeczywistość w jakiej sprawuje władzę, ale i skuteczność swoich metod. Jednym z argumentów Żółkiewskiego przeciwko komenderowaniu kulturą na sposób stalinowski było stwierdzenie nieskuteczności oddziaływania złej literatury („cegieł” wydawniczych), takiej jak powieść produkcyjna, a więc zmarnowana energia Partii.

To przemieszanie taktyki z elementami bardziej zasadniczymi cechowało cały okres popaździernikowy. W okresie tym intelektualna czołówka partyjna niewątpliwie przewartościowała cały szereg dawniejszych założeń, porzucając ideologiczną sztywność i poddając się prądom umysłowym, które kierownictwo partyjne coraz natarczywiej zaczęło określać mianem rewizjonizmu. Książka Schaffa *Marksizm i jednostka ludzka*, dopuszczająca istnienie procesów alienacyjnych w społeczeństwach „socjalistycznych”, była ważnym świadectwem tej ewolucji. Kierownictwo partyjne wykazało w tym momencie, jak daleko pozostaje w tyle za swoją czołowąką intelektualną. Granice dozwolonej swobody myślenia zostały ponownie usztywnione — proceder ten powtórzył się wielokrotnie w tych dziedzinach, które Partia nadal uznaje za wyłącznie swoją sferę wpływów i kontroli.

Ta sfera wyłącznych wpływów i kontroli w okresie omawianym obejmowała przede wszystkim: 1) kulturę masową, 2) dziedzinę ideologii i filozofii marksistowskiej, 3) interpretację i doku-

mentację najnowszej historii, 4) zagadnienia współczesne nauk społecznych, 5) współczesną tematykę polityczną w literaturze.

W sumie, polityka kulturalna Partii w latach 1957-67 stworzyła dla literatury warunki odznaczające się względną „normalnością” i pewnym uprzywilejowaniem. Pozwolono jej rozwijać się stosunkowo autonomicznie, według własnej, wewnętrznej logiki form i stylów, pozwolono na ograniczoną w zasięgu, zintelektualizowaną „obcość” ideologiczną. Równocześnie, kontekst polityczno-ustrojowy, fakt, że państwo utrzymało mecenat nad całą twórczością (wydzierżawiając go, co najwyżej, jak w wypadku *Paxu*) umożliwił okazanie większego zaufania do skuteczności mechanizmów autocenzury samych pisarzy. Mechanizmy te weszły pisarzom krajowym dosłownie w krew. Ich wycucie co, kiedy i jak można napisać, by utwór przeszedł przez sieć cenzury redakcyjno-wydawniczej i prewencyjnej, chociaż nie zawsze bezbłędne, może wprowadzić w podziw. Intelektualny horyzont wielu pisarzy krajowych jest zresztą wyraźnie określony przez panujące „reguły gry” i małą politykę literackiego świata. Niezwykle łagodna, czasami skandalicznie łagodna polityka wydawnicza wobec debiutów rzuca rokrocznie w szranki osób uzależnionych od państwowego mecenatu całe grupy potencjalnych rywali, dla których będzie się musiało znaleźć miejsce nie tylko w planach wydawniczych, ale i na stopkach redakcyjnych kolegów.

Mecenat państwowy faworyzuje przy tym wyraźnie pewne postawy i kierunki twórczości, a każda istotniejsza zmiana linii Partii grozi ewentualnym odzwierciedleniem w ocenach krytyki literackiej i w decyzjach aparatu odpowiedzialnego za selekcję utworów do druku. Prądy intelektualne i ideologiczne stają w tych warunkach przed problemem szukania kompromisowego wyrazu, transpozycji na język aluzji i niedomówień, co w rezultacie musi prowadzić — przynajmniej w pewnym zakresie — do intelektualnego cwaniactwa. Cwaniactwo, chociaż stanowi część systemu obronnego, niewątpliwie rodzi cynizm i demoralizuje.

Interesującym przykładem charakteryzowanych warunków oraz stosowanych metod obronnych, może być przedzjazdowa dyskusja grupy pisarzy krakowskich, opublikowana we fragmentach w krakowskim życiu literackim (nr 873). W dyskusji tej większość uczestników mówiła „nie na temat”, unikając oczekiwanych od nich wypowiedzi deklaracyjnych. W ogóle trudno nie zauważyć, że odwaga cywilna wydaje się być jednym z najsłabszych wycienionych elementów współczesnego życia w Polsce.

Kapitałny wgląd w stosunki polityczno-literackie daje fragment wypowiedzi Władysława Machejka dotyczący wyrażonej opinii, że „w związku z potępieniem pewnych politycznych postaw paru pisarzy polskich, nie należy potępiać w czambuł wcześniejszej afirmacji ich artystycznej twórczości”. Machejek zanotował:

„Zapoznać odpowiednie czynniki z opinią iż należałoby wstrzymać wypowiedzi w sprawie potępienia pewnych stylów twórczych z okazji potępienia postawy politycznej reprezentanta danego stylu”.

Po czym dodał: „Czy to aby nie rozszerzenie kompetencji cenzury?” (1) „... Ale jeżeli chodzi o Mroźka, to wypowiedzią w *Monde* niestety dał on komentarz polityczny do swoich utworów. Odpór na jego postawę może być tylko korzystny dla tego zdolnego krakowianina”.

Oto fragment kontekstu w którym pisarz krajowy, jeżeli nie należy do działaczy kulturalno-partyjnych typu Machejka, szuka kompromisu między własnymi przekonaniem i wymaganiami stawianymi mu przez „mecenasa”. Kompromis ten polega często na akcie uniku, przemilczenia, nie brania udziału, nie złożenia podpisu, niepójścia na zebranie, itd.

Dlatego tak brutalnie zabrzmiały wypowiedzi niektórych pisarzy na słynnym zebraniu lutowym. Wypadki zeszłego roku wykazały, że nie wszyscy pisarze gotowi są stosować autocenzurę w nieskończoność, wyrażać się dyplomatycznie, przyjmować z wdzięcznością koncesjonowany przywilej uprawiania własnego ogródka, godzić się w cichości ducha na porażki i klęski poniesione w utarczkach z cenzurą i rezygnować z prawa do głoszenia otwarcie własnych poglądów. Innymi słowy, szereg pisarzy odmówił stosowania się do reguł gry. Jeżeli można wierzyć niektórym raportom prasowym, około 50 pisarzy wystąpiło w ostatnich dwóch latach z Partii.

Zaszły również inne wypadki, które spowodowały, że Partia zaczęła stawiać dotychczasową politykę kulturalną pod znakiem zapytania już nie w sensie szczegółowych posunięć, ale zasadniczej linii. Po pierwsze, ruch Moczara, opanowawszy, przynajmniej częściowo, szereg dziedzin życia w Polsce, spróbował wejść również na teren wydawniczy i intelektualno-twórczy, co mu się po części udało. Po drugie, okazało się że dzieło literackie może nadal odegrać bezpośrednio polityczną rolę. *Dziady* wystawiano w Polsce od 1955 roku, ale w roku 1968 stały się one politycznie aktualne i w mniemaniu Partii — groźne. Po trzecie paru znanych pisarzy krajowych publicznie zaprotestowało przeciwko udziałowi Polski w inwazji Czechosłowacji. Po czwarte, okazało się, że środowisko pisarskie wcale nie jest zbyt skłonne pomóc Partii w rozgrywce z pisarzami potępionymi czy to za wypadki lutowe, czy za protest w sprawie Czechosłowacji. Zjazd bydgoski okazał się wielkim niewypałem kontrofensywy Partii na odcinku literackim, co wiąże się zapewne również z walką o władzę i rywalizacją o wpływy w środowisku intelektualnym między ruchem Moczara a kierownictwem Partii. Niemniej, próby zmontowania nowej polityki kulturalnej trwają, o czym świadczy szereg wypowiedzi i dyskusji w czasopiśmie literackich i kulturalnych, z których część, jak atak na członków byłej grupy *Kuźnicy* i ich dawniejsze czy późniejsze postulaty, inspirowana jest również przez ruch Moczara, stanowiąc drobny aspekt szerszej nagonki anty-semickiej.

W skrócie, elementy ewentualnej nowej polityki kulturalnej Partii na odcinku literackim zarysowują się następująco. Ich podstawą jest paradoks, który polega na tym, że z jednej strony atakuje się koncept pisarza jako duchowego przywódcy narodu,



Tom 166
Str. 96
9 F (§ 2,25)

Henryk GRYNBERG

Z W Y C I Ę S T W O

● Na talent Grynberga zwróciła uwagę jego *Wojna żydowska*, nowela o ukrywaniu się Żydów pod okupacją niemiecką, drukowana w swoim czasie w *Twórczości*. *Zwycięstwo* jest kontynuacją *Wojny żydowskiej*, wstrząsającą i doskonale napisaną opowieścią o losach tych, którzy ocalili z rzezi hitlerowskiej i usiłują wrócić do normalnego życia w PRL. (Styczeń, 1969).

WYDARZENIA MARCOWE 1968 (Seria „Dokumenty”)

● Pierwszy tego rodzaju zbiór dokumentów studenckich z marca 1968, poprzedzony obszerną przedmową prof. Zygmunta Baumana, którego w związku z tymi wydarzeniami pozbawiono Katedry w Warszawie. Polska rewolta studencka ukazuje tu swoje prawdziwe oblicze, wolne od fałszów gigantycznej i zacieklej kampanii propagandowej w PRL. (Styczeń, 1969).

Dominique DE ROUX

ROZMOWY Z GOMBROWICZEM

● Dyskutuje się ciągle — publicznie i prywatnie — o „niezrozumiałstwie” Gombrowicza. Znakomity pisarz, zeszłoroczny kandydat polski do nagrody literackiej Nobla, objaśnia i komentuje swoją własną twórczość w serii rozmów z francuskim krytykiem Dominique de Roux. (Luty, 1969).

Iwan KOSZELIWEK

UKRAINA 1956-1968 (Seria „Dokumenty”)

● Po inwazji Czechosłowacji wielu poważnych komentatorów politycznych twierdziło, że jednym z elementów decyzji sowieckiej był nacisk Szelesta, 1-go sekretarza partii ukraińskiej, zaniepokojonego stałym wzrostem fermentu na poddanej jego „pieczy” Ukrainie. O rosnącym ruchu oporu na Ukrainie pisał niedawno pekiński *Dziennik Ludowy*. Opracowany i poprzedzony wstępem przez I. Koszeliwca wybór doku-

Tom 167
Str. 160
15 F (§ 3,75)

Tom 168
Str. 160
15 F (§ 3,75)

INSTITUT LITTÉRAIRE

91, Avenue de Poissy

78-MAISONS-LAFFITTE

France



AMAWIAM NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI

.....	Cena
.....	Cena
.....	Cena
.....	Cena
.....	Cena
.....	Cena

WIAM PRENUMERATĘ „KULTURY” NA

.....
.....

— F. 50; *Zagranicą* F. 54 (lub \$ USA 12; can. 13).

WIAM PRENUMERATĘ „KULTURY”
Z „ZESZYTAMI HISTORYCZNYMI” NA

.....
.....

F. 75; *Zagranicą* F. 79 (lub \$ USA 17; can. 18).

m czek na

(podpis)

Tom 169
Str. 272
18,50 F (\$ 4,25)

Tom 170
Str. 256
17,50 F (\$ 4,00)



Tom 171
Str. 128
11 F (\$ 2,50)

Tom 172
Str. 160
15 F (\$ 3,75)

Imprimé en France.

mentów daje pojęcie o rozmiarach i zasięgu tego zjawiska. Przekład i wprowadzenie Józefa Łobodowskiego. (Luty, 1969).

ZESZYTY HISTORYCZNE

(Zeszyt 15-ty)

● Wyjątkowo bogaty *Zeszyt 15-ty* przynosi m.in.: Zapomniany i zakazany w PRL tekst Zeromskiego *Na plebanii w Wyszkowie*; studium Adama Ciołkosza *Broń dla getta Warszawy*; próbę *biografii Gomulki* pióra Petera Rainy; materiały o *Powstaniu Warszawskim w obcych oczach* (*Dziennik działań Niemieckiej 9 Armii* w opracowaniu J. Mateckiego, fragment pamiętników Rokossowskiego, reportaże dziennikarza moskiewskiego Mara o skoczkach sowieckich); wspomnienia L. Jurewicza, E. Puacza i D. Kli-
na; nieznanne listy rosyjskie Piłsudskiego w opracowaniu W. Sworakowskiego; oraz recenzje, listy i polemiki. (Luty, 1969).

Kazimierz WIERZYŃSKI

SEN MARA

(Poezje)

● Ostatni tom wierszy wielkiego poety, złożony do druku na krótko przed śmiercią. (Marzec, 1969).

POLSKIE PRZEDWIOŚNIE

wydarzeń marcowych T. 2
Czechosłowacja

● Tom drugi dokumentów studenckich pt. *Wydarzenia marcowe 1968* w przeciwieństwie do pierwszego — w którym przeważały rezolucje i ulotki — zawiera gruntowniejsze i głębsze uzasadnienia rewolwy marcowej. Książkę wzbogaca niezmiernie ciekawy wybór czechosłowackich dokumentów studenckich i pokrewnych. (Kwiecień, 1969).

Imprimé en France.

Richard S.A., Paris - 606-88-26

zabraniając wręcz mieszania się do spraw politycznych, chyba że w „imię socjalizmu” i zgodnie z linią polityczną Partii, z drugiej zaś — podtrzymuje się żądanie udziału pisarza w tworzeniu społeczno-politycznej rzeczywistości, nawracając do koncepcji literatury produkcyjnej, literatury pracy, literatury o tematyce proletariackiej itd. Dylemat zilustrować można licznymi przykładami.

W dyskusji pt. „Pisarz — zawód — powołanie” Stanisław Grochowiak oświadczył (*Kultura*, 3. XI. 68): „od pewnego czasu zaczęła w naszym kraju robić karierę dość zaskakująca tendencja. Oto jest skłonność traktowania pisarstwa jako jednego z wielu rzemiosł — i tylko jako rzemiosła. „Pilnuj, szewcze, kopyta!”. A to mi dopiero niespodzianka! W socjalistycznym kraju zachęca się pisarzy do eskapizmu (?), formalizmu (?), chałtury (?)”. Podobnie J. Krasieński: „Nie wyobrażam sobie literatury bez inspiracji społeczno-politycznej i dlatego rzucone nie tak dawno hasło: „literaci, do pióra, precz od polityki”, odczuwam jako, ogólnie mówiąc, dość niezrozumiałe”. W dyskusji tej okazało się, że pewne tendencje apolityczności literatury reprezentuje nie kto inny, tylko redaktor *Współczesności*, Józef Lenart. Oto charakterystyczny passus:

„W naszej literaturze funkcjonuje szereg mitów, które... konflikt (pisarz — polityk) znacznie wyraźniej konstytuują. Jednym z takich mitów jest mniemanie, że pisarz jest pełnoprawnym partnerem polityka. Literatura ma być nawet pierwsza w przywództwie duchowym narodu. Jest to mit romantyczny, wywodzący się z czasów, gdy literatura spełniała swoje ogromne powołanie przewodniczki narodowej, w sytuacji, gdy naród nasz nie miał ani swojej własnej państwowości, ani możliwości samookreślenia się... W momencie gdy losy narodu decydują się poprzez — jakże często brutalną — praktykę walki o istnienie, walki w skali międzynarodowej, gdy o losach tych decyduje praktyczne rozwiązanie problemów określających kierunek rozwojowy kraju, kiedy te losy rozstrzygają się poprzez sferę ekonomiki — po prostu zaczyna się okazywać, że pisarz z pretensjami do przywództwa duchowego wobec narodu zaczyna być w tych podstawowych sferach życia narodu po prostu niekompetentny. Jeżeli tego nie dostrzeże, będzie skazany na poważne uzurpacje”.

Grochowiak zgodził się, „że poeci w epoce niewoli spełniali rolę przywódców, którymi w warunkach niepodległości są i powinni być politycy — liderzy ugrupowań społecznych i politycznych... Choćby ze względu na poczucie dobrego smaku i *rzetelny* szacunek dla samego siebie postawa wieszczca, duchowego przewodnika narodu, jest dzisiaj nie do utrzymania...” Dodawał jednak:

„... trzeba stanowczo rozróżnić schedę po Mickiewiczu jako przymusowym liderze politycznym od spadku, jaki pozostawił nam Mickiewicz — poeta polityczny. Trzeba podkreślić z całą mocą, że tej tradycji, wielkiej spuścizny pisarstwa przenikniętego pasją polityczną, nie tylko się nie wyrzekamy, ale że ono powinno stanowić żywą krew w naszej twórczości”.

Dylemat ten, niewątpliwie istotny, jest jednak tylko zewnętrzny

ną, teoretyczną formą dylematu głębszego. Cóż jest warta pasja polityczna, bez swobody jej wyrażenia? Zwrócił na to uwagę w innym nieco, ale podobnym kontekście jeden z uczestników dyskusji pisarzy krakowskich:

„...jaki... motyw może skłonić pisarza do tematyki typu środowiskowego czy produkcyjnego, jednym słowem literatury pracy? Może nim być jakiś zaistniały konflikt w środowisku. A do tego, żeby się ten konflikt ujawnił w książce, potrzebna jest absolutnie właśnie swoboda krytyki. Chodzi więc o to, aby w miarę swoich możliwości — koledzy partyjni walczyli o zwiększenie obszaru dla krytyki”.

Próby określenia tego obszaru i uzasadnienia prawa do krytyki występują często w dyskusjach i wypowiedziach. W dyskusji „Literatura i polityka” (*Współczesność*, 1-14. I. 1969), J. Nicikowski oświadczył:

„Jako marksiści sądzimy, że pisarz nigdy nie przemawia tylko we własnym imieniu, a zawsze jest reprezentatem określonych grup społecznych. Z tego względu informacyjna wartość literatury wydaje się szczególnie ważna. W dobrze pojętym interesie polityka leży, by owa informacyjtwórcza funkcja zawodu pisarskiego nie była hamowana... Zbyt wielkie szkody społeczne rodzą się z sytuacji, gdy w społeczeństwie zakłócony zostaje naturalny obieg informacji, lub też proces ich powstawania... jesteśmy poniekąd skazani na regulowanie społecznego obiegu informacji. Chodzi wszakże o taki typ regulacji, który nie wpływałby hamująco na sam proces ich tworzenia, ani też nie uruchamiał bodźców, powodujących ich nieuzasadnioną selekcję.”.

Inaczej mówiąc, autor wypowiedzi jest przekonany, że swoboda słowa jest konieczna dla zdrowego rozwoju społeczeństwa, równocześnie jednak przyjmuje nieuchronność cenzury, pragnąłby jednak, by nie była ona zbyt ostra i tępa.

Pisarze polscy wikkają się więc w sprzecznościach, których wyrazistość ginie w sformułowaniach rzadko w pełni „informacyjtwórczych”. Polityka kulturalna Partii waha się między perspektywą silniejszego zamordyzmu a linią obwarowanego zastrzeżeniami „zaufania” do odpowiedzialności twórców w kontekście restrykcji ustrojowych, cenzuralnych i państwowego mecenatu. Teoretycznie, podstawy do wyboru tej drugiej alternatywy zostały sformułowane (np. przez Lenarta) w formie tezy, że dochodzi obecnie do głosu pokolenie pisarzy ukształtowanych już w Polsce Ludowej, o pochodzeniu klasowo „czystym”, robotniczo-chłopskim, nie obciążone, jak to trochę ironicznie określił Stefan Otwinowski, „wyobrażeniami Polski szlacheckiej” — godne więc kredytu zaufania. Z tym, że jak propagator tej tezy stwierdził: „kredytu tego nie należy wszakże nadużywać”.

Wizja jakiejś bezkonfliktowości jest jeszcze jednym złudzeniem, które zbyt łatwo przechodzi do porządku dziennego nad głębokimi sprzecznościami zawartymi w rzeczywistości polskiej. System polityczny istniejący w Polsce pozostaje daleko w tyle za rozwojem gospodarczym, kulturalnym i społecznym kraju. Tak

zwane „wyobrażenia Polski szlacheckiej” nie znikną wraz z pełnym dojściem do głosu pokolenia inteligencji robotniczo-chłopskiej chociażby dlatego, że inteligencja ta jest w dużej mierze, czy chce czy nie chce, spadkobierczynią ogólnej tradycji walki o wolność, niezależność i sprawiedliwość społeczną narodu polskiego. Do tradycji tej należy również, między innymi, spadek po polskim ruchu socjalistycznym i socjal-demokratycznym, do którego nawiązuje, przynajmniej nominalnie, ideologia partyjna. Między panującym w Polsce systemem ustrojowo-politycznym a tymi tradycjami, między formą i poziomem rządów a uprawnionymi aspiracjami społeczeństwa, między polityką oficjalną a możliwościami rozwojowymi czy to w gospodarce czy w kulturze narastają i pogłębiają się sprzeczności, które rozwiązać mógłby jedynie ruch odnowy i przebudowy, taki jaki doszedł do głosu w Polsce w latach 1955-57, taki, jaki dąży do humanizacji i demokratyzacji ustroju w Czechosłowacji. W systemie, w którym aparat władzy nie jest w stanie dać kredytu zaufania społeczeństwu, w którym polityka nie jest wyrazem dążeń i aspiracji całego społeczeństwa — rola pisarza nie jest znowu tak zasadniczo różna od roli jaką wyznaczały mu warunki porozbiorowe. Nie jest to bynajmniej rola romantycznego wieszczka, ale człowieka, którego zawód stanowi równocześnie ugruntowane długowiecznymi tradycjami — powołanie.

Bogdan CZAYKOWSKI

ZAPRENUMERUJ

ZESZYTY

HISTORYCZNE

Kronika kulturalna

Zaolziański „angry man”

Głos Ludu, pismo dla ludności polskiej w Czechosłowacji, z dnia 24 sierpnia 1968 roku, zamieścił wiersz dr. Janusza Gaudyna poświęcony pamięci zmarłego właśnie poety śląskiego, Pawła Kubisza.

*Rozpamiętywaniem przeszłości
ciszy ból odejścia.
A dźwięk dzwonów kościelnych
zagłusza szum wspomnień.
Człowiek-Poeta-Człowiek
i dzień, godzina i wiek
w blasku sławy i w rowie
twardy i słaby*

— Człowiek.

*Godzina śląskiej wsi
zamknęła piewcy wzrok.
Z Gutów, Nieborów krok i skok,
poeta płacze, klnie i śpiewa...
On jakby dąb,*

*jak śląskie drzewa
ku Olzie, Trzyńcu śle swój śpiew,
bunt i śpiew.*

*Poeta śląski, krnąbrny chłop
z sercem otwartym.*

Z sercem

Stop!

Z sercem otwartym! Ruszaj! Marsz!

A potem:

*„Z Bogiem, z Bogiem, panoczkowie...”
„Dość tych parad o ojczyznach!”*

Zmarł POETA

W JEGO bliźnach

ŚLĄSKI LUD.

Następnie dr Gaudyn rzuca garść wspomnień o zmarłym:

„W poniedziałek 19. VIII. 1968 r. przestało na zawsze bić serce największego poety Śląska Cieszyńskiego, Pawła Kubisza. Wielecy, powszechnie znani społeczeństwu ludzie odchodzą z reguły nagle, niespodziewanie i trudno w ich odejście zrazu uwierzyć. Są jakby bliźniami całego społeczeństwa. Ci, którzy mieli z nimi umówione spotkanie, wspólne plany na przyszłość, tym jakoś trudno uwierzyć w fakt dokonany, że nigdy nie zostaną dokończone rozpoczęte rozmowy. A z Pawłem Kubiszem było o czym rozmawiać. Nosił w sobie jakiś osobisty czar urzekający rozmówców.

Pomimo tego, że w ostatnich latach dużo przeszedł i chorował, miał w sobie siłę jakąś wewnętrzną, której niesposób było nie podziwiać.

Ostatnio spotykałem się z Pawłem Kubiszem bardzo często. Jako lekarz starałem się odwracać jego uwagę od choroby, która go dręczyła...

Paweł Kubisz, zaszczyty i sztucznie izolowany, w ostatnich miesiącach jakby ożył, zaczął angażować się, śledził z zainteresowaniem przebieg jego rehabilitacji...

Pisząc te słowa nie mogę się pogodzić z faktem śmierci Poety. Pośmiertna rehabilitacja z uwzględnieniem Jego Orzeczenia będzie tylko częściowym spłaceniem długu, jaki zaciągnęliśmy u Niego. Śląsk Cieszyński nie często wydaje takie osobistości, jaką był Zmarły. A dla ludzi wielkich los nie zawsze jest łaskawy. Spuścizna poety Pawła Kubisza jest i pozostanie majątkiem całego naszego społeczeństwa...”

Kim był ten człowiek, który umierał na Zaolziu w czasie, kiedy cały świat miał oczy zwrócone na Czechosłowację?

Umierał Paweł Kubisz w Końskiej, wsi zaolziańskiej, którą w jednym ze swych wspomnień, pisanych krótko przed śmiercią, podniósł do rangi wsi-buntownika. Tu w latach „Wiosny Ludów” rozplomieniał serca i umysły chłopów rewolucyjny doktor z Nieborów, Paweł Oszelda, ulubiona postać Pawła Kubisza, której poświęcił nie tylko poemat pt. „Rapsod o Oszeldzie” (wydany w roku 1953 przez Sekcję Literacko-Artystyczną w Czeskim Cieszyńcu), ale także sporo innych wierszy oraz publicystycznych wypowiedzi. Dopominał się w nich uznania dla zasług młodego Oszeldy, o którym zapomnieli historycy, ale którym nie zapomnieli lud śląski.

Setki strof sławią bohaterstwo człowieka, który gnął w lochach, bo mu się zachciało wolności dla jego Ojczyzny; bo mu się zachciało wojować o poszanowanie godności ludzkiej; bo mu się zachciało buntu i rewolucji.

Warto tu przypomnieć, że Kubisz, który przecież był nie tylko poetą, ale także działaczem i organizatorem polskiego życia za Olzą, zainicjował „Dzień Oszeldy”, obchodzony od kilkunastu lat przez miejscowe koło Polskiego Związku Kulturalnego w Czechosłowacji w Nieborach, miejscu urodzenia tego bojownika o prawa ludu śląskiego. Ale Kubisz apoteozuje Końską, gdzie się urodził w dniu 12 maja 1907 roku, jeszcze z innego powodu. Tu była kolebka założonego przez niego, w okresie międzywojennym, Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego SZLA). Jego powstanie poprzedziły — jak pisze autor „Przednówka” w jednej z relacji drukowanych już po jego śmierci — dyskusje „na poufnych

zebraniach młodej, lewicowej inteligencji polskiej w rodzinnym domu czterech braci Turoniów. Nie mówił i nie pisał o tym wcześniej, i trzeba było lat rozterki, zwątpienia, chęci wydobycia się z matni, w jaką go wpędzono w okresie panowania gwałtu i siły (czasy Gottwalda i Novotnego), by wskazać na fakty, zjawiska i zdarzenia, które poprzedziły jego rehabilitację ze strony PZKO. Cekał Kubisz na nią całe lata, trawiony gorączką walki, nie zawsze zdając sobie dokładnie sprawę z tego gdzie znajduje się przeciwnik, któremu należałoby wytrącić broń z ręki. Zło, jakie towarzyszyło latom znacznym bezprawiem w Czechosłowacji, wprawiało Kubisza w stan męki przerażającej się w chwili apatii i rezygnacji. Podrywała go do walki wizja nowego, lepszego jutra, którego nie doczekał. Umierał bowiem w nieświadomości dni, które miały nadejść krótko po jego śmierci. Ale dawno już przecież żył nadejściem owego dnia. Tak o nim pisał w jednym z utworów zamieszczonych w „Przednówku”:

*Duszno tu jakosi i čma tu jakosi,
Dźwiryze sóm zawrzyte i światła
zgaszone...
Gdosi žyci zdeptał i kosóm pokosił,
Smierć se tukej chodzi pędziutko
i hónym!
Tępo tu jakosi, czas czako na zorze,
Na niebo czyrwióno, na grómy i bici!
Ty czakej, ty czakej — jutro sie
wyorzym,
Grómádóm, kupiskym, marsz zacnym
o świcie!*

Trudna i niespokojna była ścieżka życiowa Pawła Kubisza, przyszłego poety i budziela sumień. Rozpoczął swą karierę pisarską w czesko-cieszyńskim „Prawie Ludu”, organie Stronnictwa Ludowego, gdzie zamieścił pierwszy swój artykuł na temat debiutu Gustawa Morcinka, którego książka „Serce za tamą” właśnie co wyszła w Poznaniu. Kubisz szuka jednak szerszych powiązań. Czuje się pisarzem i poetą, łaknie kontaktów z ośrodkami literackimi Polski. Nie miał jednak równych na Zaolziu. I to podnieca go do lotów. Musi jednak przebijać się w tym poszukiwaniu ludzi życzliwych i jemu i jego środowisku za Olzą, przez liczne zapory. Po prostu nikt nie uświadamia sobie faktu, że na Śląsku znanym tylko ze swego przemysłu, istnieją też talenty którym trzeba pomóc. Kubisz w swych wspomnieniach pisze, że przy nawiązaniu kontaktów pomocny był mu w Warszawie poeta Andrzej Wolica, a w Krakowie poeta i krytyk literacki Ignacy Fik, autor m.in. „Dwudziestu lat literatury polskiej 1918-1939”, zamordowany przez hitlerowców jako sekretarz komórki PPR w Krakowie. Dzięki Wolicy Kubisz zamieszcza swój pierwszy wiersz w warszawskim „Głosie Literackim”; ten wiersz — jak zresztą wiele innych — nie ukazał się dotąd w żadnym książkowym wy-

daniu utworów Pawła Kubisza. Ponadto zamieszczał swoje pierwowociny poetyckie w „Famulusie”, warszawskim tygodniku literackim redagowanym przez Remigiusza Kwiatkowskiego. Tenże Kwiatkowski wydawał i „Polski Tygodnik Ilustrowany”, w którym opublikował cykl wierszy gwarowych Kubisza, pt. „Szli se zbóje”. Było to w roku 1926. W r. 1927 ukazał się tomik wierszy Kubisza pt. „Kajdany i róże”, wydany przez Drukarnię Ludową we Frysztacie. Prócz wspomnianych wyżej czasopismach, drukuje Kubisz swoje wiersze w takich pismach jak: „Lirnik”, „Rola”, „Zaranie Śląskie”, „Gazeta Mazurska”, „Prawo Ludu” i „Sztorcem”, którego był założycielem i redaktorem (w Czeskim Cieszyńsku). Krótki żywot tego pisma ograniczył się do trzech kolejnych numerów. Z jego łamów najlepiej może przebija buntowniczy charakter Kubisza, człowieka o wielkim temperamencie, dużych ambicjach i niewątpliwym talencie, który jednak nie rozwinął się na miarę marzeń samego poety. Poza „Przednówkiem”, który stał się w roku 1937 głośny w całym kraju i obudził nadzieje wierzących w nieprzeciętne zdolności Kubisza, pozostał on poetą i pisarzem wybitnym, ale nie na ogromną skalę. „Przednówek” był czymś zupełnie zaskakującym; zajmuje też w poezji polskiej wyjątkową pozycję. Utwór pisany przepiękną gwarą cieszyńską miał ludowe podłoże. Nie potrafił jednak Kubisz — a może nie chciał — powiązać tej gwary z mową literacką, co sprawiło że utwór jego nie mógł przeniknąć do szerokich kręgów czytelniczych poza Śląskiem. Ale jest wielką zasługą Kubisza, że gwarę cieszyńską odkrył dla literatury, że nadał jej wysoki walor, czyniąc ją językiem swej poezji, zdolnej wyrazić skomplikowane stany uczuciowe i psychiczne. Tego przed Kubiszem nikt nie dokonał, i w tym tkwi jego wielka zasługa dla literatury, dla regionu, dla procesów integracyjnych tej dzielnicy Polski, która tak niedawno, po 600 latach niewoli, znalazła się w granicach Rzeczypospolitej.

W krajach nazywających się republikami ludowymi lub socjalistycznymi, burzy się młodzież, gdyż brak jej wolności słowa. W zachodniej Europie i Stanach Zjednoczonych, a ostatnio także w Kanadzie, buntuje się młodzież, bo ma za wiele wolności i nie wie co z nią począć. Kubisz, ten współczesny „angry man”, buntował się przeciwko wszystkiemu co było złe, lub w czym widział zło — czy to były obce rządy, czy wyzysk i ucisk swoich przez swoich. W „Akordach”, pierwszym wierszu „Przednówka”, tak woła, a raczej pomstuje:

*Sił do żył napuście — wigoru do słów!
...Zahulaj, zatańcuj, knij wierszu i mów!
Z goryczy se urznij nahaje i bicz —
Zarympluj, wyrzgotej, bier słowa i smycz...*

*Wydtubej, wyszarpej z dna boleść i wyj
Do pustki chwil naszych, zatarmość, gwizdź, ryj!
...Z trucizny i jadu — z otrzychości dni —
Wychluśnij poemat, zwrotkami sie pnij...*

*Za nami zostały jęk, klątwa i óma
I wiosny uroda: gołe skiby w mgatach.
Przed nami kulhącko los skąpy i chłód,
Miażdżący cep czasu, drepczący nas ból!*

.....
*Rośniesz nóm młodości w zburzynie i spiw,
W surowość odpłaty — w kipiący serc gniew —
My wzgardóm uszczuci, wykuwóm swój dziwny
Na radość, na smutek, na blaski, na ciyń...*

Wojna Światowa miała przywrócić Polsce wolność:

*— Polska przydzie... musi być!
Idzie z sinej dalekości...
— Prowde mówi, no... dyć, dyć —
Chodnik w wolność sie już prości!*

Wprawdzie Polska powstała, ale Zaolzie pozostało przy Czechach:

*Ja bez Ojczyzny — nie mam ojczyzny!
Smugi od batów, bat uczy prawa!
Ślinę wam w oczy, strzelę i bryzgnę,
I klątwę zacznę jak chleb rozdawać!*

Jakże smutnym wierszem kończy się „Przednówek”:

*Na furach trupy... to żywocice,
Wy polskie trupy o nów, swobodę!
Ręka wskazuje tu Ostrawicę,
Pieśń moja syczy wolności głodem!*

*Do buntu ciągnę ciężkie ramiona,
Chrzęszczą jak zbroja kości sterane —
Nie chce, nie mogą umrzeć i konać
Tutaj za Olzą! Chcę wstać — czy wstanę?!*

I sprawił niedobry los, że jednak nie było mu dane umrzeć w Kraju, o czym całe życie marzył.

Z grupy trzech pisarzy, którzy po pierwszej wojnie światowej tworzyli awangardę na Śląsku (Gustaw Morcinek, Adolf Fierla i Paweł Kubisz), Kubisz rokował największe nadzieje. Jego sękata, mocna mowa, przesycona buntem, zauroczyła krytyków; niestety nie wielu z nich zaakcentowało epicki charakter tej części „Przednówka” która stanowiła podstawę utworu. Jakże daleko odbiegł ten utwór od młodzieńczego debiutu, wyrażającego, dość nieudolnie, stan duchowy przyszłego poety w tomiku „Kajdany i róże”, wydanym dokładnie na dziesięć lat przed „Przednówką”, bo w 1927 roku. Ale już w 1933 roku Kubisz drukuje w „Wiadomościach

ciach Literackich” wiersz nadesłany na konkurs tego pisma, który zwrócił nań uwagę Juliana Tuwima. (Nawiasem mówiąc, na tysiąc uczestników konkursu Kubisz ułokował się na drugim miejscu). Tak o tym sam powiada: „Przez konkurs „Wiadomości Literackich” zyskałem nieoczekiwanie nowego przyjaciela — był nim Julian Tuwim, który później, po przesłaniu do redakcji „Wiadomości Literackich” „Ballady o hawirskim Śląsku za Cieszynem”, o mało nie zdemolował redakcji i zapowiedział redaktorowi Mieczysławowi Grydzewskiemu, że jeśli z okazji otrzymania „Ballady” nie wyda specjalnego, śląskiego numeru pisma, to on, Tuwim, jako redaktor działu poetyckiego, zrywa z nim wszelki kontakt. Co miał zrobić jeden z najdoskonalszych redaktorów pisma literackiego w Polsce? Zapowiedział wydanie śląskiego numeru. I wyszedł ten śląski (nie cieszyński) numer „Wiadomości Literackich”. Na pierwszej stronie zamieszczony był artykuł Ksawerego Pruszyńskiego „Człowiek i węgiel” oraz moja „Ballada o hawirskim Śląsku za Cieszynem”.

Przytoczony powyżej fragment ukazał się w „Głosie Ludu” z 14. IX. 1968. Artykuł nosi tytuł „Sprawy i Ludzie: Cieszyńska Awangarda”. Redakcja pisma poprzedziła go następującą uwagą: „Wspomnienie niniejsze, napisane z okazji 30-lecia śląskiego Związku Literacko-Artystycznego, nie miało szczęścia, gdyż natrafiło na sprzeciw ideologicznych władz przedstycznioowych i nie mogło ukazać się w druku. Publikujemy je dziś, po śmierci autora, na prawach dokumentu dotyczącego międzywojennych spraw naszej kultury”.

W tym samym artykule wspomina Kubisz swoje spotkanie z Julianem Przybosiem, który w latach trzydziestych uczył języka polskiego w jednym z gimnazjów cieszyńskich. Przyboś, związany z krakowską „Zwrotnicą” i „Linią”, powitał serdecznie poetów cieszyńskich, którzy według niego

„... na swój sposób odwrócili się od zastanych wzorów tradycyjnego poetyzowania, nie zarzucając pierwiastków postępowej tradycji, ale czerpiąc z niej, aby wnieść nowe walory artystyczne, inny krwiobieg, inną pulsację słowa, by kształtować nowe drogi w artystycznym widzeniu świata i odnajdywać zdołbycze z wyzwolonej wyobraźni”.

Wkrótce po wyjściu numeru śląskiego „Wiadomości Literackich”, Kubisz opublikował nowy wiersz, który został wyróżniony na wspomnianym konkursie „Wiadomości Literackich”. Utwór nosił tytuł: „Co to młody gorol prawił, jak mu sie na śmierć niósł”. Wiersz ten posiadał duże walory poetyckie, wnosił nadto do poezji polskiej świeży oddech beskidzkich groni.

Oto fragmenty z tego poematu:

*Kolanami miesiōnc kopie —
W poźłocōnym gwieździe snopie...
Dziwajóm sie gwiozdy kołym,
Smierć sie chichrze nad padōtem.*

*A hań idzie se od boru
Jakisi zwidzisko moru —
A hań żynie se przez pola
Przeklinano ludzko dola.*

*Trówty mi tam nie ciosejcie!
Ani krzyża nie strugejcie —
Ani mi kadziłtym kadźcie,
Ani o pogrzebie radźcie...*

*Tako dzisio noc straszeczno,
Potępińczo, ostateczno —
Charczy mi już krew po krtani,
Idzie do mnie umiyrani!*

*Nic wóm herbowoł nie bedym —
Jyny smutek, jyny biyde —
Jyny nasze pomiatani,
Jyny to żywe kónani!*

.....

*Twarde skały na Beskidzie —
Dusza moja już precz idzie;
Szumióm po gróniach smreczyska —
Cosi ku mje idzie zbliska...*

.....

Kubisz, natura buntownicza i smutna, nie potrafi być „tylko” poetą. Drzemie w nim ogień, którym pragnie rozpalać ludzi do czynu. W latach 1931/32 odbywa podróż do Prus Wschodnich, do Królewca, potem na Litwę i Łotwę. W przytoczonych już wspomnieniach powie, że podróż ta została odnotowana jako dziennikarska eskapada. W Królewcu, Tylży i Olsztynie przerażała go fala wzbierającego hitleryzmu. Mocą swej poetyckiej wyobraźni poeta widział swój los, nierozzerwalnie związany z losem Ojczyzny, z zatrąceniem tych ideałów, w obronie których stawał pisząc „Przednówek”. Przypomniały mu się lata jego startu literackiego, zakończonego... więzieniem w Ołumuńcu. Władze czeskie widziały w nim bowiem raczej polityka, działacza, nacjonalistę, może komunistę, niż poetę. Po uwięzieniu opuścili go nawet przyjaciele. Jedynie poseł komunistyczny Karol Sliwka — jak napisze na innym miejscu w przytoczonym wspomnieniu „Sprawy i ludzie” — upomni się o niego. Łączyła Kubisza z tym człowiekiem, o wyraźnie polskim obliczu, przyjaźń, a może i wspólnota ideologiczna. Niewiele jednak, widocznie, pomogły interwencje energicznego posła, skoro Kubisz przesiedział w więzieniu całe trzydzieści

miesiący, z coraz większą goryczą myśląc o tych, którzy go w trudnych chwilach opuścili. Taki stan osamotnienia towarzyszył mu też zapewne w okresie okupacji, zaczętej i zakończonej więzieniem. Nie sprzyjał ten czas twórczości poety. Za to narasta w nim stan, który później zdecydował o jego postawach pełnych napięcia nerwowego, niewiary w ludzi, podejrzliwości — i słusznej i nie słusznej. Nie pozwolą mu one w przyszłości, kiedy stanie na czele redakcji „Zwrot” (miesięcznika literackiego wydawanego przez PZKO w Czechosłowacji — w Czeskim Cieszynie), na przeciwstawienie się fali, zatruwającej wszystko co żywe, co zdrowe, jadem zła, jakie wkorzeniło się w życie Czechosłowacji przed styczniem 1968 r. Mimo to stara się zachować samodzielną sędliwość w sprawach, którymi rządziły szablony i oportunizm.

W tych zmaganiach z sobą samym i innymi, Kubisz usuwa się w cień; idzie na samotne wygnanie. Zaczyna pracować jako zwykły robotnik w hucie trzynieckiej. Niezadowolony jednak pozostaje w jego pamięci okres, kiedy był redaktorem „Zwrotu”, i kiedy, powołując Sekcję Literacką i Artystyczną przy PZKO, stanął na czele tej komórki pełen wiary w zwycięstwo swoich ideałów. Dużo w owym czasie pisze. Nie są to tylko wiersze. Sięga do wątków prozatorskich, do publicystyki; ma ona charakter odkrywczy i wojowniczy. Wokół poety wyrasta też młoda kadra twórców o dużych ambicjach. Być może, podziałały specjalne bodźce, które kazały Kubiszowi zwrócić ostrze własnych poczynań przeciwko niektórym członkom SZLA. Co raz więcej młodych ludzi sięga po pióro; niektórzy z nich pragną przypuszczalnie dorównać swemu duchowemu mistrzowi. Kubisz nie szuka jednak sojuszników. Odżywa w nim dawny, zapiekły ból, a czując się chwilami osamotniony, rozpoczyna nierówną walkę. Przeciwnicy rodzą się nawet wśród ludzi, którzy byli mu życzliwi, lecz zrażeni jego bezkompromisowością w wydawaniu sądów opuszczają go. Nawet w szeregach PZKO nie znalazło się wielu obrońców „samotnika z Końskiej”, gdy stawał do nierównej walki z władzami. Nie podobala się władzom postać Pawła Oszeldy, który poza treściami postępowymi reprezentował w latach „Wiosny Ludów” typ człowieka o obliczu polskim, narodowym. A przecie — co trzeba tu mocno podkreślić — Kubisz występował także otwarcie i mocno w obronie mniejszości polskiej w Czechosłowacji; domagał się uznania wysiłku polskiego ruchu oporu na Śląsku Cieszyńskim, stając się obok historiografa tego okresu, zmarłego niedawno dr. Józefa Mazurka, obrońcą praw ludności polskiej do niesfałszowanej historii z lat okupacji. Jak głęboko Kubisz przeżywał złe traktowanie mniejszości polskiej przez rządy przedstyczeniowe w Pradze, świadczy wiersz napisany przez niego krótko przedśmiercią:

*Palec na cyngiel polski Murzynie,
Śląski Kalmuku, cieszyński Kurdzie!
Czas z wichrem leci, nie pozwól ginąć
Nam autochtonom i lżonym ludziom!*

*O nieomylni, święci papieżu
W bluzach podszytych ściągami krzywdy,
Z bullami oszust — z wezwaniem wierzę,
Integracje ciał i chłosty żywych!*

*O głuchoniemi, święci papieżu
Z brudem w paznokciach czyszczonych szminką!
... Lawina natarć, odwet uderzy —
W kościołach zbrodni fundament pęknie!*

*O nieomylni, święci papieżu,
Uzurpatorzy i samozwańcy,
Gułlarze władzy, znowy przymierza:
— Śmierć autochtonom, rabom poddańcym!*

*O niekaralni, święci papieżu
Z chórem biskupów Berii w habitach.
Leci w Kosmosie Murzyn w eterze,
Dziwne mocarstwo — bez łez Republika!*

*Bunt płaszcz przydziewa: — dzień wyzwolenczy
Łakomych świtów jasną pochodnię.
Zabita prawda dźwiga się z klęczek
Roźbić taranem kołowrot zbrodni!*

To, czego Kubisz nie mógł oddać w artykule publicystycznym, w dziennikarskim wystąpieniu, ujmował w poetyckich strofach, nawracając do lat dawnych, kiedy front był wyraźny. W swe trudne układy wierszowane wprowadzał znajome nuty, pobrzmiwające echem tych zdarzeń, które przeżywał aktualnie, a które głęboko wryły się w jego psychikę, wywołując — tak się wydawać mogło — urazy.

W kręgu pisarzy, którzy tworzyli okole Kubisza, zaczęły wyrastać talenty. Do nich należał przede wszystkim Henryk Jasiczek. Wydeptał on sobie dość prędko swoją własną ścieżkę, którą poszerzył w okresie, kiedy Kubisz znalazł się poza nawiasem polskiego życia zorganizowanego za Olzą. W okresie owego dziesięcioletniego jego milczenia zmieniło się wiele. Może, by się przeciwstawić narastającej popularności Jasiczka, Kubisz zaczyna otaczać swoją opieką Grupę Literacką 63, która widziała w nim swego patrona. Wtedy właśnie nadeszła katastrofa. O tym ożywieniu Pawła Kubisza w ostatnich miesiącach przed śmiercią, świadczą wypowiedzi prezesa Grupy 63, zacytowanego na wstępie tego szkicu dr. Janusza Gaudyna; wskazywał on na Kubisza jako tego, który dawał mu wiele rad i cennych wskazówek, pobudzał do działania. Kubisz uległ, pracując w Trzyńcu, wypadkowi na ulicy. Przeleżał kilka miesięcy w szpitalu i nikt nie przypuszczał, że ten sześćdziesięcioletni mężczyzna, tak srodze przez los doświadczony, nagle odzyska siły do tworzenia i działania. Wróżyć mu spokojną starość. Lecz Kubisz nie umiał się zestarzeć. Gorzała w nim dawna gorączka, trawiąc schorowane ciało.

W czwartek dnia 15 sierpnia 1968 roku przedstawiciel PZKO,

dr Janusz Gaudyn, zaniósł mu dokument, na który Kubisz czekał lata. Była to pełna rehabilitacja poety. Kopię tego dokumentu Kubisz miał otrzymać na dniach. Zostało w tym spotkaniu uzgodnione, że Kubisz napisze orzeczenie, które z kolei przedłożone zostanie do wiadomości Zarządowi Głównemu Polskiego Związku Kulturalno-Artystycznego w Czechosłowacji. Niestety było to ostatnie pismo poety. Być może odebrało mu życie wzruszenie, świadomość że w nowych warunkach czekają go nowe przygody, nowe doznania i... nowa walka. Kubisz był bowiem poetą „zagniewanym”, był poetą buntu i walki. Pragnął widzieć świat bez skaz, a niestety dane mu było żyć w świecie skażonym. W tym buncie wykazywał jednak brak rozwagi, umiejętności dobierania właściwych metod postępowania. Był mocny jak dąb, śląski, twarde dąb, który nie da się ugiąć nawet największym wiatrom. Płynął pod prąd, wiedziony raczej instynktem i uczuciem walki, niż świadomością i rozumem.

„Zmarł człowiek — pozostał poeta”, napisze w „Zwrocie” po śmierci Kubisza jego następcą duchowy, Henryk Jasiczek. Ale w świadomości społeczeństwa polskiego na Śląsku Zaolziańskim pozostanie jeszcze Kubisz bojownik, symbol hartu i wytrwania. Toteż słuszna jest decyzja ufundowania przez ZG PZKO corocznej nagrody literackiej im. Pawła Kubisza. Czynnione są nadto starania, by postawić poecie-budzieliowi pomnik. Jego zasługi, jakkolwiekbyśmy je oceniali, nie są mniejsze od zasług innego budziela (jeszcze z okresu znaczonego śladami „Wiosny Ludów”), Jana Kubisza, pierwszego poety Śląska Cieszyńskiego, któremu postawiono pomnik w Końskiej w 120 rocznicę jego urodzin. Wiadomo, że Jan Kubisz był autorem słynnego hymnu zaolziańskiego „Płyniesz Olzo po dolinie”. Taki sam pomnik należy się Pawłowi Kubiszowi. Choć umarł, nie zagaśnie w pamięci ludu cieszyńskiego — po tej i tamtej stronie Olzy; ludu, z którego wyrósł i któremu pozostał wierny do ostatka swego trudnego, bojowniczego, ale jakże pięknego życia.

W spuściźnie po Kubiszu zostało dotychczas nie wydane:

1. Opowieść „Czas ludzkiej krzywdy”,
2. tom poezji obrachunkowej „Przednówkowy epilog”,
3. Zbiór godek i bojek śląskich „Zaszuwierzony świat”.

Powieść Kubisza, „Czas ludzkiej krzywdy”, w której autor opisuje życie górników w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim, a w szczególności tragiczne dzieje polskiego wynalazcy górnika Karola Klimszy, została nagrodzona na konkursie literackim PZKO, ale, na skutek zakulisowych działań, skład jej został rozrzucony. Tak samo odmówiono w r. 1968 wydania „Przednówkowego epilogu” (ale to już z wiadomych przyczyn).

Niech mi wolno będzie, na zakończenie tego skromnego szkicu, przytoczyć jeden z ostatnich wierszy, jakie Kubisz napisał; nosi on tytuł „Bochenek chleba”:

*Na moim głazie sztukmistrz obrazów
Wierny wykuwa krzyk,*

Ukrop perlisty bratanków nazi:
— „My mu złomime vaz!”*

Zachrzęcił glucho kręgosłup hardy,
Wspiera go tylko śmierć!
Dłutem sprężonym, kuksańcem twardym,
Rytmem uderzeń w pierś...

— Śpiewać nie będziesz! — cmoka wróbelek,
Usta zasklepia gips —
Wargi drętwieją, drapieżny knebel
Snuje pajęczą nić...

...Pomnik mój gotów, lazur i niebo
Oczy wysącza łaz —
W zaświaty niosę bochenek chleba:
„My mu złomime vaz!”

Paweł ŁYSEK

* „My mu złomime vaz” jest odpowiednikiem polskiego: „my mu prze-trącimy kręgosłup”, lub „my mu złamiemy stos pacierzowy”. Słowa te wypowiedział Vladimir Czudek, były sekretarz okręgowego sekretariatu KPČz w Ostrawie — na jednym z zebrań w czasie ostrej dyskusji — pod adresem Pawła Kubisza.

Wierny z wiernych

Śmierć Mieczysława Janikowskiego to wyrwa w szczupłej garstce polskich malarzy Paryża. Znaliliśmy go wszyscy, może znalazł go za mało, nie dość uważnie śledząc prace i styl wyjątkowego człowieka i przyjaciela.

Niewielu spotkałem ludzi, z którymi mógłbym porównać tego hardego i jednocześnie w stosunkach osobistych delikatnego, nieśmiałego artystę, niezdolnego do cienia nawet kompromisu, czy w swojej sztuce, czy w obcowaniu z ludźmi. Nie miał on nic z artysty „na podsłuchach”: co jest czy będzie *uznane*, co może być jutro *modne*, nie kusily go efermerydy, lansowane z wielkim hałasem co kwartał czy miesiąc. Nie drażniły go, nawet ich nie zauważał. Dla siebie wybrał i *wiedział*, nie tracił czasu na dyskusje, nie potrzebował ich.

Widzę go w „jego” domu, historycznej „Ruche” (Soutin, Leger etc.) bez cienia komfortu, o wielkiej, ciemnej i brudnej klatce schodowej — w jego pracowni długiej i wąskiej, zwężającej się jeszcze u wyjścia na kształt uciętego kawałka tortu, bo „Ruche” sama zbudowana była okrągło jak tort. Nie słyszałem nigdy słowa

skargi z ust tego schludnego, nawet wykwińskiego człowieka, który nie miał nic z rozchełstanej bohemy, ani skargi na to mieszkanie, ani na swój trudny byt. Pokazywał u siebie swoje płótna, z wielkim spokojem i rozważą; ustawione były w pedantycznym porządku pod ścianą, układał je z powrotem z tą samą metodyczną troską. Każde zadraśnięcie, każde przytarcie mogło przemyślaną całość i jej „napięcia kierunkowe” obalić.

„Twarda” abstrakcja Janikowskiego — przeciwieństwo modnej jeszcze w ostatnich latach abstrakcji lirycznej — geometria zestawionych paru płaszczyzn kolorowych, paru form malowanych, umyślnie jakby z czysto mechaniczną precyzją, prawie że nieosobistą. W swych płótnach nie dopuszczał żadnego odruchu subiektywnego, tiku, dreszczu, drgnienia, nie dopuszczał *bogacenia* płótna przez coraz to nowe, nieoczekiwane narastanie kolorów i gry ciepło-zimnych kontrastów, które w tym samym okresie na przykład Bonnard doprowadził do skrajnego i świadomego *raffinement* i wzbogacenia. Ta lakoniczność malarska wymagała wielkiej precyzji oka i nie tylko wysokiej swoistej techniki, ale długofalowej woli, upor, by doprowadzić grę tak oszczędną do działania, jakie sobie nazaczył. Nie tolerował nawet cienia modnego dziś „aleatoryzmu”. Pollock, action painting, Mathieux, de Koonig to były dla niego światy całkowicie poza ramami nie tylko jego sztuki — światy wykreślone, nie wątpię, że osądzone.

Trudno jest pisać o malarstwie i bardziej jeszcze o postawie Janikowskiego nie wspominając o jego zapleczu, przede wszystkim o Mondrianie.

Malarstwo tego mistrza abstrakcji, odcinającego się nie tylko od impresjonizmu i wszystkich jego pochodnych, ale i od gwałtownej uczuciowości ekspresjonizmu, od nasyconego podświadomością surrealizmu, nawet od kubizmu, który tak w jego rozwoju zaważył — zaraziło swych adeptów już nie tylko swym wpływem malarskim, ale wiarą w sztukę racjonalną, w której przekreślić należy wszelkie indywidualizmy i stworzyć poprzez sztukę *jedność* nie sztuki tylko ale człowieka i całej ludzkości.

„Uwolnić się od przywiązania tego co zewnętrzne” — uczył Mondrian — „bytowanie w absolutnym ładzie wyzwalaającym nas z tragizmu”. Ten pierwiastek mesjaniczny Mondriana, z urodzenia kalwina a w życiu teozofa i racjonalisty zarazem, nazaczył artystów którzy poszli jego śladami, nazaczył również Janikowskiego, którego apodyktyczność w sztuce była wyrazem wcale nie charakteru agresywnego ale wiary w pewne dogmaty sztuki — niezmiennie i wyzwalające. Jego praca konsekwentnie upraszczająca, prowadziła do płócien coraz bardziej obnażonych, ascetycznych. Cała jego teoria malarska zamykała się w tym zdaniu, które mi kiedyś powiedział i które już cytowałem: „linia prosta przeciwstawiona linii krzywej to już jest dramat, więc po co malować więcej?”

Na ostatnim Salonie „Réalité nouvelle” zawieszono dwa obrazy Janikowskiego u wejścia: „Hommage a Janikowski”. Jeden z nich gładki, jasno-kremowy był tylko przecięty linią poprzeczną.

Czy dalsza realizacja z konsekwencją i logiką tej linii twórczej nie prowadzi ostatecznie do płótna białego do swego rodzaju ostatecznego „unizmu”? Końca sztuki, przekreślenia jej poprzez zanurzenie w świat czystej intelektualnej kontemplacji.

Tu myślę o Strzemińskim, jedynym człowieku którego chciałem z Janikowskim porównać. Nie mniej od Mondriana chciał on odrzec sztukę swoją, którą nazwał „unizmem”, z wszystkiego co nie wchodziło w świat jego dogmatów racjonalnych i matematycznych formuł.

Strzemińskiego, o generację starszego od Janikowskiego, kolegę i przyjaciela Malewicza jeszcze z Moskwy, twórcę Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Łodzi w latach trzydziestych — znałem wówczas. Staliśmy na dwóch biegunach myślenia malarskiego, choć Cézanne nas łączył. Zawsze ulegałem urokowi tego szlachetnego fanatyka o wielkim autorytecie.

W roku chyba 1932 zorganizowałem mu odczyt w Instytucie Propagandy Sztuki w Warszawie. Mówił przez półtorej godziny skrajnie, sucho, teoretycznie, skończył gdy już słuchacze zaczęli pojedynczo, chyłkiem, salę opuszczać. Po odczycie ośmieliłem się mu powiedzieć: „uważajcie kolego, publiczność z trudem znosi przemówienia dłuższe ponad 45-60 minut, chyba, że są wypowiedziane łatwiej i bardziej zdolne podniecić uwagę”. Popatrzał na mnie jakby z góry i odpowiedział — miałem wrażenie że tryumfalnie: „W Łodzi miałem odczyt, który trwał dwie godziny i kwadrans, wszyscy wyszli poza *jednym* słuchaczem”.

Mietek Janikowski, gdyby miał odczyt, liczyłby się, przypuszczam, równie mało z akustyką słuchaczy, ale on nie przemawiał, bo zasadniczą różnicą między Strzemińskim i Janikowskim było chyba to, że Janikowski był malarzem — tylko malarzem. Ramy sztuki twardej, geometrycznej, jej konwencje, przyjął raz na zawsze i pozostał im do śmierci wierny, Strzemiński zaś, jak mi się zawsze zdawało, był przede wszystkim teoretykiem sztuki, eksperymentatorem i propagatorem. Dobrze pamiętam jego dogmatyzm i wzdarcie wobec wszystkiego co organiczne, niespodziane — i jakże mi to było obce.

„Wspaniałe! Tylko morze, piasek i wyschłe trawy morskie” — powiedział mi kiedyś Strzemiński z naciskiem na słowo „wyschłe”, wracając z wakacji nad Bałtykiem. „Szara jest wszelka teoria — powtarzałem sobie — wiecznie zielona jest złota gałąź życia”. Nie życia tylko, również sztuki, którą zbyt sztywne dogmaty prowadzić mogą do skostnienia.

Płótna Janikowskiego przemawiały do mnie zawsze bardziej od obrazów Strzemińskiego, czy nie dlatego, że były przecie mniej teoretyczne, a bardziej malarskie?

W *Kulturze* mamy jeden jego obraz, który nam ofiarował po otrzymaniu nagrody Plastyki „Kultury” w 1960 roku, obraz długi i wąski o paru formach geometrycznych, precyzyjnej i nieoczekiwanej grze jasnej zieleni, błękitu, zamglonego różu na tle zieleni bardzo ciemnej o dwóch akcentach małych trójkątów, czarnego i czerwonego. Ten obraz widzę co dzień od ośmiu lat, jego krysta-

liczność, malarskie wyszukanie zestawień nie tylko mi się nie opatrzyło, ale przeciwnie, urok tego płótna w miarę lat zdaje mi się rosnąć, podczas gdy ileż obrazów abstrakcji lirycznej — które mnie nawet w pewnych chwilach zachwycały — zdaje mi się w porównaniu łatwą dywagacją, zrodzoną z Moneta czy postimpresjonizmu, ale bez śladu jakichkolwiek hamulców, które Monetowi i postimpresjonizmowi nakłada nawet najbardziej przetransponowana natura. Ale ten abstrakcjonizm liryczny, w przeciwieństwie do abstrakcji geometrycznej, zyskał błyskawicznie takie tłumy adeptów, że może dlatego tak szybko zdegenerował? „*L'homme de foule est poète, contour ou quelque ivrogne de l'esprit*” * notuje Valéry. „*Ivrogne de l'esprit*” dziwnie pasuje nawet do Pollocka czy de Kooniga.



Janikowski umarł tej samej zimy gdy jego mistrz, Mondrian, doczekał się nareszcie wielkiej wystawy w Paryżu, w Musée de l'Orangèrie (ale już po Holandii, Niemczech i Ameryce), wystawy w której etapy jego rozwoju, coraz bardziej surowe i od „złotej gałęzi życia” oderwane, możemy śledzić z roku na rok.

Janikowski odszedł od nas kiedy Vasarely, jego towarzysz z Salonów „*Réalité nouvelle*” (obok niego wymieniany w krytykach) wprowadzając światło i ruch do swej geometrii, uznany za prekursora op-artu stał się nagle sławą światową, na tyle popularną, że najmodniejsze suknie czy kostiumy damskie miały ubiegłej jesieni geometryczne, vasereliowskie desenie i kształty. Artysta poszedł po linii coraz wyłączej użytkowej i czysto dekoracyjnej.

Stażewski w Polsce — towarzysz Strzemińskiego, Janikowski w Paryżu to jedyni, których znam, kontynuatorzy czystej tradycji, stylu myślenia Mondriana i Strzemińskiego.

Janikowski pozostawił nam dzieło swoje, wkład własny i ważki, w istotny etap sztuki światowej — odszedł nietknięty łatwizną, reklamą, wszechpożerającą sztuką użytkową — uparty, bezkompromisowy i wierny z wiernych.

Józef CZAPSKI

* Człowiek tłumy jest poetą, bazarzem lub pijakiem duchowym”.

Pasternak zakazany Czechom

WYDAWCA FELTRINELLI ODMÓWIŁ Z POWODÓW
IDEOLOGICZNYCH PRZEKŁADU „DOKTORA ZIWAGO”
NA JĘZYK CZESKI

Pod tym tytułem, na pierwszej stronie mediolańskiego dziennika *Avvenire* z dnia 7 marca br., ukazał się list wysłannika jednego z czeskich domów

wydawniczych wraz z komentarzem redakcji. Komentarz i list zamieszczamy w dosłownym przekładzie.

„Otrzymałmy od dra Zdenka Fryborta list, który przedrukujemy w całości. Jest on sprawozdaniem z jego wizyty w sprawach wydawniczych u Giangiacomo Feltrinello. Opis tego spotkania — wraz z przypuszczalnym przebiegiem i wnioskiem — na pewno o wiele przewyższa opis zwykłego spotkania w sprawach handlowych.

Ale nie tylko przekonania polityczne Feltrinello — zresztą dobrze znane — są rzeczą najbardziej interesującą w tym epizodzie; wylania się z niego obraz monopolu w rękach wspomnianego wydawcy, który kontroluje prawa do powieści Pasternaka.

Zakaz tłumaczenia i wydawania — jak i w innych wypadkach wystawienia — ze specjalnym argumentem posiadania „wyłączności”, stanowi ni mniej ni więcej jak zamach na swobodne krążenie myśli. Zakazanie Czechom czytania „Doktora Żiwago” wbrew ich woli utożsamia ich z obywatelami rosyjskimi, którzy tak samo nie znają tego dzieła. Feltrinelli wydaje się brać w ten sposób na siebie rolę *porte-parole* Armii Czerwonej w imię ideologicznych skrupułów, które nie przeszkodziły mu zresztą w swoim czasie wywieźć potajemnie z Rosji manuskrypt Pasternaka i rozpowszechnić go na Zachodzie

Panie Dyrektorze,

Dr Fikar, dyrektor praskiego domu wydawniczego Československý Spisovatel (Związek Pisarzy) polecił mi prosić p. Giangiacomo Feltrinello o wyjaśnienie przyczyny niewytłumaczonego milczenia. Na początku bieżącego roku wydawca praski prosił go o prawo przetłumaczenia na język czeski „Doktora Żiwago” Pasternaka. Ta słynna powieść ukazała się bowiem w języku słowackim, ale jak dotąd nie ma jej w języku czeskim, podczas gdy wszystkie inne dzieła Pasternaka, przetłumaczone na nasz język, wywarły decydujący wpływ na naszą literaturę.

Feltrinelli przyjął mnie po południu we wtorek 5 marca i bez ogródek przypisał mojej skromnej osobie odpowiedzialność za ostatnie wypadki polityczne w moim kraju, mówiąc: „Kiedy skończycie z tymi wszystkimi waszymi głupstwami?”; następnie oświadczył, że nigdy nie zgodzi się na wydanie „Doktora Żiwago” z uwagi na swoje zasady dotyczące czystości rewolucyjnej, i wobec tego, że w Czechosłowacji ta książka mogłaby być narzędziem dla celów propagandy antysowieckiej.

W końcu ostrzegł Československý Spisovatel przed opublikowaniem wydania potajemnie, grożąc piekielnymi konsekwencjami (w rzeczywistości Feltrinelli użył o wiele bardziej kolorowego określenia od pandemionium) w stosunku do całej Czechosłowacji. Jeśli się nawet przyjmie absurdalną i pełną uprzedzeń politykę Feltrinello w odniesieniu do sprawy wyłącznie kulturalnej, nie rozumiem jak pan Feltrinelli może podtrzymywać podobne twierdzenie przeciwko nam, on, który zmontował gigantyczną kampanię antysowiecką, czerpiąc ogromne zyski ze sprzedaży praw do „Doktora Żiwago”.

Na szczęście, studiując waszą literaturę współczesną znam innych przedstawicieli wydawnictw włoskich, bardziej na miejscu i bardziej konsekwentnych.

Dziękuję za wydrukowanie tego listu

Zdenek FRYBORT”.

Komunikaty

AKADEMIA W TORONTO KU CZCI K. WIERZYŃSKIEGO

Staraniem Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce (Oddział Toronto) i Fundacji im. Adama Mickiewicza dnia 16. III. po południu w sali koncertowej biblioteki muzycznej odbyła się uroczystość ku czci zmarłego z 13 na 14 marca br. w Londynie Kazimierza Wierzyńskiego.

Inicjatorką i główną organizatorką była znana malarka Mary Schneider wspólnie ze swym mężem Romanem (ceramik) i Wacławem Iwanukiem. Na akademii przemawiał Zbigniew Grabowski i red. B. Heydenkorn. Utwory Chopina wykonał Wł. Buczyński. P. Elżbieta Mosielska była kierownikiem literackim akademii. Niestety ilość uczestników była bardzo niewielka.

ZJAZD KADETÓW

Latem 1970 r. jest projektowany Światowy Zjazd byłych Wychowanków Korpusu Kadetów Nr 3 w Rawiczu z okresu istnienia szkoły tj. lat 1930-1939.

Zainteresowani proszeni są o listowne porozumienie się z:
Marianem Czarneckim, 45 bd Gouvion St. Cyr, 75-Paris (17^e), Francja.
Kamil Czarneckim, 16, Barton Court, Barons Court Rd., London W.14, Wielka Brytania.
Romanem Bąbczyńskim, 9530 E. Rosecrans Ave., Bellflower, Calif. 90706, U.S.A.

KOMITET BUDOWY POMNIKA KU CZCI ZAŁOŻYCIELI PIERWSZEJ POLSKIEJ EMIGRACJI W ANGLII ANGLO-POLISH MEMORIAL FUND (PORTSMOUTH) 12, Mc GREGOR ROAD, LONDON, W.11. — Tel.: BAY 0993

Komitet Budowy Pomnika w Portsmouth zawiadamia wszystkich ofiarodawców i ogół społeczeństwa polskiego w Wielkiej Brytanii i w świecie, że dzieło budowy pomnika ku czci pierwszych polskich emigrantów w Anglii, uczestników Powstania Listopadowego z 1830 r. — zostanie doprowadzone do końca jeszcze w bieżącym roku.

Autorką projektu budującego się już od października ubiegłego roku pomnika, jest absolwentka wydziału architektury Uniwersytetu Londyńskiego — inż. Halina Rawicz-Rawa, do niedawna prezeska Koła Londyn Stowarzyszenia Polskich Studentów i Absolwentów na Obczyźnie.

ADAM GAC FOUNDATION, INC.

W dniu 16 marca 1969 r. Zarząd Adam Gac Foundation, Inc., w Nowym Jorku, przyznał, na wniosek Komisji Kwalifikacyjnej cztery stypendia: jedno dla przygotowującego pracę habilitacyjną w Szwajcarii i trzy doktoranckie, dla studiujących we Francji, Szwajcarii i Szwecji. Sześciu dalszych kandydatów z ustalonej przez Komisję Kwalifikacyjną listy pierwszeństwa, wobec braku funduszy, stypendium nie otrzymało.

Książki

Milicja czy regularne wojsko ?

W swoim „liście otwartym do Partii” z 1964 roku, Jacek Kuroń i Karol Modzelewski żądają zastąpienia regularnego wojska (i policji politycznej) milicją robotniczą. Na życzenie Redakcji, chcę omówić to zagadnienie z wojskowego punktu widzenia. Będę prowadził rozumowanie w warunkach rzeczywistych, w układzie stosunków politycznych i ustrojowych istniejących w obecnej Ludowej Rzeczypospolitej. Omawianie sił zbrojnych państwa w sposób oderwany nie doprowadzi nas do wyciągnięcia realnych, możliwych do osiągnięcia w istniejącej rzeczywistości, wniosków. Dlatego, całe moje rozumowanie prowadzę po linii Polski pod dominacją PRL i zależnej od Rosji Sowieckiej.

Więc postawmy sobie pytanie: czy i jakie siły zbrojne są potrzebne obecnej Polsce. Na to pytanie postaramy się dać odpowiedź szczerą i rzeczową — według naszej najlepszej wiedzy.

Pierworzoru proponowanej milicji robotniczej należy doszukiwać się w „czerwonej gwardii”, tworzonej samorzutnie przez robotników w fabrykach Petersburga w początkowych miesiącach rewolucji 1917 roku. Spełniała ona swoje zadanie „obrony rewolucji” tak długo jak walka toczyła się z opozycją wewnętrzną. W obliczu armii państw obcych czy białogwardyjskich, władza sowiecka stanęła wobec konieczności zlikwidowania tego prowizorium i zastąpiła je armią — armią czerwoną. W omawianym projekcie chcą autorzy powrócić do tej przeżytej formy, raz już uznanej za niezadawalającą.

Uderzający jest nacisk z jakim autorzy *Listu* stawiają znak równania między Korpusem Bezpieczeństwa Wewnętrznego (policją polityczną) i wojskiem. We wszystkich państwach wojsko stanowi oporę dla władz administracyjnych. Ale jest to zadanie całkowicie drugorzędne w porównaniu z celem głównym: gotowością do walki z nieprzyjacielem zewnętrznym. W *Liście* widzimy wyraźne odwrócenie tych zadań. Albo autorzy dają się ponieść uprzedzeniom, albo... Albo bardzo jest źle w państwie duńskim.

To odwrócenie pojęć o głównym obowiązku wojska spaczyło cały projekt i sprowadziło go do rzędu utopii.

Całkowite podporządkowanie lokalnym komitetom robotniczym nie tylko oddziałów milicji, ale i jej instruktorów, utrudnia, o ile nie przekreśla, zasadę jednolitości wyszkolenia. Organizacyjnie, komitety, wpatrzone w swój główny cel: „obronę zdobyczą rewolucji” przed antydemokratami, będą miały tendencję do tworzenia formacji stosunkowo drobnych ale samowystarczalnych, nadających się do służby policyjnej raczej niż wojennej.

A jak zgrać w zwarte zespoły oddziały milicji z regularnymi formacjami „marynarki, lotnictwa, wojsk raketowych etc.”? Takie zgranie „stałych formacji wojskowych” z milicją szkoloną według lokalnych pomysłów i instrukcji nie wygląda ani łatwo ani pomyślnie. No i zabiera czas robotników — członków milicji. Wprowadzenie owych „stałych formacji” do pomysłu autorów, dalej komplikuje zagadnienie. Powstaje pytanie: gdzie przebiega granica między specjalnymi i nie specjalnymi rodzajami wojska. Minęły dawno czasy kiedy wystarczało rewolucyjne *levée en masse*. Trzeba zdać sobie sprawę, że zwykłych piechurów z karabinem jest coraz mniej w nowoczesnym wojsku. F. O. Miksche, znany teoretyk wojskowy, zadał sobie trud policzenia tych „zwykłych piechurów” w dywizji piechoty Stanów Zjednoczonych lat pięćdziesiątych. Doliczył się ich 1.161 na ogólny stan dywizji: 18.705 ludzi. Około 6 procent. Można obawiać się, że według projektu omawianego — powstałaby robotnicza milicja a wojsko regularne nie uległoby wydatnemu zmniejszeniu. Inna możliwość — siły zbrojne utracą swój nowoczesny charakter. Właśnie tak chcą prowadzić ewentualną wojnę pp. Kuroń i Modzelewski. Dowodem tego jest ich powoływanie się na przykłady Wietnamu, Kuby i Algierii. Więc wojna partyzancka. Przykłady są źle dobrane. Nie miejsce tutaj na ich dyskutowanie. Wystarczy stwierdzić, że w Europie żadnej wojny partyzantka nie wygrała. Przynajmniej jak dotąd. Od gerylasów hiszpańskich, przez nasze powstanie 1863 roku po drugą wojnę światową. Nie przeczy to temu, że na przykład w drugiej wojnie, partyzantka odegrała bardzo poważną rolę. Czego autorzy nie chcą lub nie są zdolni widzieć, to faktu, że wojna partyzancka musi być toczona na własnym terytorium i przy stratach materialnych, przede wszystkim w ludności, nieproporcjonalnie wysokich do strat przeciwnika. Z góry i bez potrzeby zakładając podobny sposób obrony kraju jest co najmniej lekomyślnością.

Sumując powiedziane powyżej, projekt milicji robotniczej jako siły zbrojnej państwa nie wydaje mi się ani praktyczny ani możliwy do urzeczywistnienia. Dodam, że nie sądzę by istnienie milicji równoległe z wojskiem obniżyło koszty zbrojeń.

W poszukiwaniu rozwiązania szukajmy innych przykładów. Wzór wojskowej milicji mamy w Szwajcarii.

Szwajcarska milicja ma wiekowe tradycje. W miarę postępów uzbrojenia i sztuki wojennej, postępowała jej ewolucja z prymitywnego pospolitego ruszenia chłopów aż po dzisiejszą nowoczesną

siłę zbrojną. Mimo trwającej od pokoleń, tradycyjnej neutralności, Szwajcaria nie zaniedbuje swoich możliwości obronnych. Na jej możliwości zachowania neutralności wpływają, prawdopodobnie, w równym stopniu: zainteresowanie walczących potęg europejskich w utrzymaniu na czas wojny „niczyjego” terytorium, naturalna obronność granic i poważne siły zbrojne przeciw którym konieczny jest duży wysiłek wojenny zniechęcający agresora do ataku.

Milicyjny system pozwala sześciomilionowemu państwu na wystawienie, w wypadku mobilizacji, poważnych sił. Są to: 3 dywizje szybkie, 3 — piechoty, 3 — graniczne i 3 — górskie = 12 dywizji. Prócz nich, pewna ilość samodzielnych brygad granicznych, fortecznych i terytorialnych. 18 szwadronów dragonów (konnych) wciąż jeszcze istnieje. Lotnictwo (3 pułki) liczy 375 samolotów pierwszej linii w 21 eskadrach. Sprzęt jest stale modernizowany. Obrona przeciwlotnicza posiada baterie pocisków rakietowych ziemia-powietrze (*Bloodhound*).

Służba w milicji obowiązuje wszystkich obywateli z bardzo nielicznymi wyjątkami (przeważnie powody zdrowotne). Zwolnieni od służby płacą specjalny podatek. Czas służby w milicji trwa od 20-go do 50-go roku życia a mianowicie: 12 lat w „Auszug” (*Elite*), 10 w „Landwehr” i 8 w „Landsturm”. Do nieuzbrojonej „Hilfdienst” zaliczani są wszyscy pozostali mężczyźni w wieku 20-50 lat z przeznaczeniem do niekombatanckiej służby wszelkiego rodzaju.

Początkowa służba szkoły rekruta trwa 118 dni (w kawalerii 132). W okresie służby w Auszug, przechodzi milicjant 8 corocznych ćwiczeń 20-to dniowych (stopnie od sierżanta wzwyż do dwunastu). Landwehr ma 13-dniowe ćwiczenia co dwa lata. Landsturm — jedno 13-dniowe.

Przydziały do jednostek są terytorialne — możliwe blisko miejsca zamieszkania. Z drugiej strony, wykorzystuje się dla służby wojskowej wiedzę i umiejętności milicjantów dając im przydziały umożliwiające ich wykorzystanie. W tym zakresie stosowane są doświadczenia i naukowe badania. Rezultaty są często bardzo ciekawe. Sir B. H. Liddell Hart podaje jako przykład opinię szwajcarskich specjalistów o wysokiej przydatności lekarzy na stanowiska wyższych dowódców i sztabowców. Lekarz nawykły do stawiania diagnozy ma wyrobiony zmysł oceny sytuacji (w tym wypadku wojennej) i do powzięcia decyzji. Z drugiej strony dobry lekarz musi być psychologiem co ułatwia mu dowodzenie ludźmi.

Obserwatorzy zagraniczni są zwykle zdumieni wysokim poziomem wiedzy i wyszkolenia milicjantów, specjalnie oficerów. Wysokie stanowiska w oddziałach i w sztabach zajmują ludzie dla których wojskowość jest fachem dodatkowym. Ten stan rzeczy jest możliwy dzięki licznym kursom specjalnym i zaletom osobistym Szwajcarów. Tylko w państwie o jednolitej narodowości, dużym poczuciu patriotyzmu i poczuciu obywatelskiego obowiązku podobny system jest możliwy. Szwajcarski milicjant swoje obowiązki wojskowe musi traktować poważnie. Krótki

czas szkolenia zmusza milicjanta, zwłaszcza na wyższych stanowiskach, do doskonalenia się we własnym zakresie, w czasie nie objętym służbą wojskową. Pomaga w tym wrodzona Szwajcarom skłonność do wojaczki. Paradoksalne, ale obywatela tego najbardziej pokojowo usposobionego państwa, mają bogatą tradycję żołnierską. Słynni byli najemni piechurzy szwajcarscy, których szczałek stanowi gwardia papieska. Nie wszystkim wiadomo, że jeszcze w XIX wieku, francuski Karol X miał na swoim żołdzie 20.000 Szwajcarów.

Oddziały milicji podlegają częściowo (piechota, kawaleria etc.) władzom kantonalnym, częściowo (bronie specjalne) władzom federalnym. Osobiste uzbrojenie i ekwipunek otrzymuje milicjant na szczeblu kantonu. Wyposażenie wyższego szczebla jest staraniem władz federalnych. Żołnierze osobistą broń i ekwipunek przechowują u siebie i w razie alarmu stają na stanowiskach całkowicie gotowi.

Awanse do stopnia kapitana odbywają się na szczeblu kantonu. O wyższych decydują władze federalne. Każdy awans poprzedzają kursy i praktyki w jednostkach.

Wreszcie, trzeba dodać, że ewentualną obronę kraju wspomagają fortyfikacje rozbudowane specjalnie silnie w okresie II-iej wojny. Przejścia w Alpach są umocnione; mosty, tunele, cieśniny przygotowane do wysadzenia.

Jakie wnioski możemy wyciągnąć z tego bardzo pobieżnego opisu szwajcarskiego systemu milicyjnego?

Wydaje się, że tylko taki system pozwala na posiadanie dostatecznych sił zbrojnych do obrony kraju bez nadmiernego osłabienia ilościowego pokojowej siły roboczej państwa.

W wypadku wojny, sytuacja się odwraca. Ogromna część siły roboczej odpyta do wojska i gospodarka, tak ważna w czasie wojny, może stanąć w obliczu kryzysu. Jest pytaniem czy Szwajcaria byłaby zdolna do dłuższej wojny.

Wreszcie, a w naszych rozważaniach jest to bardzo ważny punkt, system milicyjny jest bardzo kosztowny. Wprawdzie, przy krótkich terminach służby czynnej, budżet vegetacyjny sił zbrojnych ulega pewnej redukcji. Ale nieproporcjonalnie do wielkości państwa rozbudowane wojsko pociąga wielkie koszty inwestycyjne w postaci zakupu i odnawiania uzbrojenia, sprzętu i materiału wojennego. Tylko zamożne, albo bardzo zagrożone państwo może sobie na tę formę obrony pozwolić.

Wydaje się, że jako narzędzie wojny szwajcarska milicja nie ustępuje innym siłom zbrojnym.

Jak gdyby następnym szczeblem w ewolucyjnym rozwoju milicyjnych wojsk są siły zbrojne Izraela. Obowiązek wojskowej służby ciąży tutaj na obywatelach obu płci. Początkowa służba czynna nie jest, jak w Szwajcarii, skrócona ale trwa 26 względnie 20 miesięcy zależnie od płci. (Służba ta obejmuje kurs gospodarstwa wiejskiego). Rezerwiści odbywają ćwiczenia coroczne 14-31-dniowe, prócz tego 1 dzień w miesiącu. Ćwiczenia obowiązują:

mężczyzn do 49 roku życia, kobiety do 34. Siła mobilizowana: 10 procent ludności (około 250.000 ludzi).

Kadra zawodowa wynosząca 11.000, wraz ze służbą czynną o sile około 40.000 ludzi, tworzy w czasie pokoju 16 brygad (z nich co najmniej dwie pancerne). Po ogłoszeniu mobilizacji, w 48 godzin wypełniają rezerwici stany tych brygad do etatu wojennego, wzmacniają posterunki graniczne i ufortyfikowane osiedla, formują nowe brygady. Przepuszczalnie, tych dodatkowych brygad Izrael może wystawić od 14 do 20. Lotnictwo, przy 14.000 personelu, posiada 450 samolotów. Wszystkie maszyny bojowe — odrzutowce.

System obrony Izraela ma tę przewagę nad szwajcarskim, że już kilkakrotnie został wypróbowany z powodzeniem. Musimy jednak pamiętać, że każde kolejne zwycięstwo osiągał Izrael *Blitzkriegiem*. Jeżeli zaskoczenie nie uda się; jeżeli państwa arabskie potrafią stawić dłuższy opór, jeżeli wojna się przedłuży — po stronie żydowskiej powstanie kryzys. Wystarczy przypomnieć sobie opisy w prasie o wyludnionych osiedlach, o pozostałych w nich starcach i dzieciach. Cała machina państwa zacznie zwalniać bieg i zagrazi zatrzymaniem. Wtedy, jedynym wyjściem będzie osłabienie siły zbrojnej i odesłanie niezbędnej części ludzi na tyły dla podtrzymania gospodarki kraju. Z tego względu, zbyt rozwinięty system milicyjny, wydaje mi się ryzykowny.

Prócz tego jest niezmiernie kosztowny. Wydatki na wojsko tak Szwajcarii jak Izraela przenoszą 30 procent ich państwowych budżetów.

Mimo tych zastrzeżeń i wątpliwości, system milicyjny, może bardziej ograniczony niż cytowane, wydaje się właściwy dla państw małych, potencjalnie zagrożonych i dostatecznie zamożnych by sobie nań pozwolić. Na przykład, kraj mojego osiedlenia — Nowa Zelandia — powinien wprowadzić powszechny obowiązek służby wojskowej rozciągnięty sposobem milicyjnym na całą ludność męską.

A propos Nowej Zelandii. Rzućmy okiem na poglądy obrony dwu geograficznie bliźniaczych krajów: Australii i Nowej Zelandii. Te dwa przykłady poszerzą naszą skalę porównawczą.

Nowa Zelandia jest małym krajem o paromilionowej ludności, osiadłej wygodnie na dwu głównych wyspach. Od lat była beniaminkiem brytyjskiej macierzy, której sprzedawała po uprzywilejowanych cenach produkty swojej hodowli. Prócz paru miesięcy na przełomie 1941/42 roku, nie groziła Nowej Zelandii obca, wojenna inwazja. Ale likwidacja japońskiego zagrożenia rozegrała się tak szybko i tak daleko, że Nowozelandczycy nie odczuli całej jego grozy.

Owszem, brała Nowa Zelandia udział w kolejnych wojnach Imperium: burskiej, I-ej i drugiej światowych. Ale udział był pod hasłem obrony zagrożonej Wielkiej Brytanii.

Sentyment do „starego kraju” łączył się w umysłach Nowozelandczyków z poszukiwaniem, tak drogiej im, przygody. Przygody przez wielkie, największe P. Nowozelandzkie oddziały biły się

chętnie i dobrze. Ale nie odczuwały że bronią swego kraju. Nowa Zelandia pozostawała bezpiecznie pod potężnym skrzydłem Imperium; flota brytyjska była panią mórz.

Nagle, wszystkie najświętsze pewniki rozwiały się jak mgła. Szukając wejścia do Rynku europejskiego, W. Brytania odsunęła się od współpracy gospodarczej z Dominium. Wojskowo, ani chce, ani może bronić Nowej Zelandii. Już w ostatniej wojnie, wobec japońskiego zagrożenia, na pomoc przyszła nie brytyjska, ale amerykańska dywizja. Ostatnio, po wycofaniu się Brytyjczyków za kanał Sueski, ostatnie złudzenia znikły. Nowa Zelandia stanęła wobec brutalnej rzeczywistości: musi sama starać się o swoją gospodarke i o swoją obronę.

Może ktoś zapytać czemu kładę nacisk na obronę państwa stojącego na takim uboczu i strategicznie pozbawionego znaczenia. W odpowiedzi przypomnę okoliczności II-giej wojny. Mianowicie: 1) Tylko szczęśliwie wygrana bitwa na morzu Koralewym powstrzymała Japończyków od następnego skoku ich ofensywy — skoku na Australię; 2) uderzenie na Australię zrekono było planowane nie od czoła (od północy) ale przez zajęcie trzech ośrodków: Sydney, Melbourne i Brisbane sparaliżowanie całego kontynentu.

Spójrzmy na mapę, a przekonamy się, że w takim planie jest Nowa Zelandia idealną bazą wypadową i bazą dla przecięcia połączeń: Australia-Stany Zj. Mniej ważna sama w sobie, słaba militarnie Nowa Zelandia może się stać silną pokusą dla agresora, jako cel pośredni. Przeciw temu twierdzeniu przemawia, pozornie słuszny, argument o braku technicznych możliwości ew. przeciwnika dojsca aż do Nowej Zelandii. Takim usypiającym czujność argumentem operowali Francuzi, a w 1944 r. Amerykanie, odnośnie Ardenów. Amerykanie nie doceniali możliwości japońskich na Pacyfiku. Jest bezpieczniejsze i pewniejsze przyjmowanie w obronnym planowaniu możliwości jako faktu z pozostawieniem napastnikowi troski o sposoby wykonania.

Jak powiedziałem, Nowozelandczycy lubią wojować, widząc w wojnie przygodę. Nie lubią wojskowej służby traktując ją jako ograniczenie ich wolności. Nie czując nigdy prawdziwego zagrożenia, traktują wydatki na obronę za marnowanie pieniędzy. No i przyzwyczaili się do troski innych o ich obronę. Zwykle był to obowiązek Brytanii, ostatnio — Stanów Zj. Piękna wymówka brzmi: sami nie jesteśmy zdolni do obrony, ktoś musi nas w tym wyręczyć (czy taką wymówkę znajdują Szwajcarzy i Izrael?).

Wydatki na obronę są chyba rekordem *in minus* wśród wszystkich państw. Wynoszą 6 procent (sześć) ogólnego państwowego budżetu.

Bezbronność Nowej Zelandii nie jest żadną tajemnicą stanu. Stałe się o niej czyta w codziennej prasie. Ze nie utrzymuje się dużych sił zbrojnych na stopie pokojowej — zrozumiacie i słusznie. Ale nie szkoli się rezerw ludzkich i nie posiada się, minimalnych nawet, zapasów sprzętu i uzbrojenia.

Nie będę wyliczał szczegółowo. Dość powiedzieć, że wyszkolo-

ny personel armii (*Regulars i Territorials* łącznie) pozwala na wystawienie szczupłej dywizji. W wypadku wojny, po wydzieleniu niezbędnych elementów, jak np. kadr do szkolenia rekrutów itp., nie da się, zapewne wyskrobać siły natychmiast gotowej do obrony większej jak dwie brygady.

Marynarka nie posiada sześciu fregat uznanych za minimum niezbędne. Jedna czy dwie z posiadanych są „wypożyczone” od marynarki brytyjskiej.

Lotnictwo nie posiada ani jednego nowoczesnego samolotu bojowego. Jedyne nowoczesne samoloty to ostatnio zakupione transportowce amerykańskie w liczbie, zdaje się, czterech. Zakładając natychmiastowe dostawy amerykańskie po wybuchu działań, musimy przyjąć gotowość nowozelandzkiego lotnictwa dopiero po szeregu miesięcy. O rakietowej obronie przeciwlotniczej nawet mowy nie ma. Najwidoczniej, ma to być kłopot Amerykanów.

Odnośnie uzupełniania broni i sprzętu charakterystyczne są wzmianki ukazujące się w prasie. Na przykład ostatnia o zakupie w Stanach Zjednoczonych 2.000 nowoczesnych karabinów dla piechoty (słownie: dwa tysiące).

W tej całkowitej bezbronności, wysunięto hasło wspólnej obrony na wysuniętych pozycjach. „Wspólnej” oznacza ze Stanami Zjednoczonymi, wysunięte pozycje oznaczają Wietnam. W Wietnamie walczy bateria czterodziałowa i jedna czy dwie kompanie piechoty, razem ponad 500 ludzi. Ma to oznaczać: my pomagamy wam (Stanom), wy pomożecie nam. Oczywiście, „pomoc” nie jest w żadnym stosunku ani do wysiłku Stanów (około 600.000 ludzi w Wietnamie) ani do możliwości Nowej Zelandii. Tylko i jedynie symbol.

Nie jest do pozardroszczenia sytuacja nowozelandzkich szefów sztabów w ich charakterze fachowych doradców decydujących politycznych czynników.

Całkiem inaczej zapowiada się rozwój myśli wojskowej w bliźniaczej Australii. W czasie swojej ostatniej wizyty w Waszyngtonie, australijski premier John Gorton zapowiedział zmiany zasadnicze w strukturze obronnej swego kraju. Inwestycje zbrojeniowe, zwiększenie budżetu wojskowego. Na wzór Izraela, cała męska ludność Australii ma stworzyć siłę zbrojną wysoce wyszkoloną i zdolną do działań w minimalnym czasie mobilizacji. To podniesienie stanu obronności ma iść w parze z wycofaniem Australii z wojskowych zobowiązań poza jej kontynentem (Wietnam). Ten punkt programu Gortona spotkał się z gorącym sprzeciwem Amerykanów. Komentatorzy australijscy wyjaśniają stanowisko swego premiera. Chce on widzieć Australię rozwijającą się pomyślnie gospodarczo, zdolną do własnej obrony a daleką od ryzyka wciągnięcia w każdorazowe rozgrywki supermocarstw.

Jak ten program się rozwinie — zobaczymy. W ostatnim budżecie sumy na wydatki wojskowe zostały powiększone.

Po tym rzucie oka na wojskową politykę różnych państw, przejdźmy do głównego tematu naszych rozważań — Ludowego Wojska Polskiego.

Przypominam, że podstawowym założeniem niniejszych rozważań jest bazowanie ich na istniejącej rzeczywistości ustrojowej i politycznej.

Na Ludowe Wojsko składają się: Armia, Lotnictwo i Marynarka Wojenna. Armia składa się z 4 pancernych, 9 zmotoryzowanych i jednej powietrznej dywizji. Razem o stanie pokojowym około 215 tysięcy ludzi. W skład organiczny Armii wchodzi: Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Wojska Ochrony Pogranicza w ogólnej sumie około 45 tysięcy ludzi (mają one na wyposażeniu własne brygady pancerne).

Na Lotnictwo składa się 1.000 samolotów pierwszej linii i około 50 tysięcy personelu. Dysponuje również pociskami raketowymi przeciwlotniczymi.

Na główne siły Marynarki składa się pięć niszczycieli, osiem okrętów podwodnych, oraz poławiacze, ścigacze, okręty desantowe i inne. Personel: około 20 tysięcy ludzi.

W sumie, nie licząc K. B. Wewn. i W. Ochr. Pogr., Ludowe Wojsko liczy 270-285 tysięcy ludzi.

Zeby zdać sobie sprawę z siły tego wojska ucieknijmy się do porównań. Przedwojenne Wojsko Polskie miało przeciętny stan 260 tysięcy ludzi (przeciętna budżetowa 1938/39). Po odliczeniu 10 tysięcy na lotnictwo i marynarkę, w armii mieliśmy 250 tysięcy ludzi, przy 30 dywizjach piechoty i 13 brygadach kawalerii (z nich jedna, potem dwie zmotoryzowane).

Dla porównania, posłużymy się proporcją zwaną w angielskiej terminologii jako: „slice”. Mianowicie, dzieli się ogólny stan armii przez ilość Wielkich Jednostek (dywizji). Daje to pojęcie: 1) o wysokości stanów osobowych dywizji, 2) o rozbudowie wojsk i służb wyższego rzędu, tzw. pozadywizyjnych.

W przedwojennym W.P. (licząc wszystkie brygady kawalerii za cztery dywizje) otrzymamy mniej niż 7,5 tysięcy ludzi na dywizję stanu pokojowego. W obecnej armii, ta cyfra wynosi ponad 15 tysięcy. Oznacza to nie tylko rozbudowanie pozadywizyjnych formacji, ale i stałe utrzymywanie dużej gotowości. Wniosek ten potwierdza podobne jak powyższe porównanie Armii Ludowej z armiami innych państw bloku komunistycznego. Brak mi danych odnośnie Niemiec wschodnich i Węgier. Dla Czechosłowacji (oczywiście przed ostatnimi wypadkami) „slice” wynosiła 10.700 ludzi; dla Rumunii — 12.500; dla Bułgarii — 11.300. Widzimy że pokojowe stany osobowe L.W.P. przerastają stany innych satelitów. (Uwaga: liczbowe etatowe stany przedwojenne dywizji były wyższe od obecnych).

Charakterystykę pogotowia lotnictwa uzyskamy przez podział stanów osobowych przez ilość samolotów pierwszej linii. W pokojowym lotnictwie przedwojennym ten spóczynnik wynosił zaledwie 15. Obsługa sprzętu była łatwiejsza, brakowało wielu służb, nie było lotniczych wojsk łączności etc. Wymienioną cyfrę podaję tylko dla informacji. Błędem jest zestawiać ją z obecnymi.

Ale mówią wiele inne cyfry. Dla Niemiec wschodnich spóczynnik wynosi 37; dla Czechosłowacji — 23; dla Węgier — 70; dla

Rumunii — 20 i dla Bułgarii — 50. W Ludowym lotnictwie wypada 50 ludzi na każdą maszynę pierwszej linii.

Nie jestem kompetentny do podobnych porównań w dziedzinie marynarki.

Z powyższego możemy wnioskować, że obecne Wojsko Ludowe utrzymuje wysoki stan pogotowia nie tylko w stosunku do przedwojennego ale i w porównaniu do innych krajów Paktu Warszawskiego. Ilościowo jest silniejsze od przedwojennego, jego uzbrojenie i wyposażenie jest kilkakrotnie bogatsze. Utrzymanie takich poważnych sił kosztuje państwo wysokie sumy. Oficjalne dane wykazują wydatki wojskowe na około 11-12 procent państwowego budżetu (przedwojenny budżet wojskowy przekraczał zawsze 30 procent). Nie kwestionując cyfry musimy przyjąć, że powstaje ona z odmiennego sposobu obliczania państwowych wydatków. Koszty utrzymania tak silnego wojska muszą być olbrzymie. Czy są celowe? Odpowiedź da analiza geopolitycznego położenia Polski.

Polska jest członkiem Paktu Warszawskiego; jest sojusznikiem politycznym i wojskowym Związku Sowieckiego. Zależność od Rosji daje Polsce wyjątkowo pomyślną sytuację strategiczną (podkreślam: mówię tylko i wyłącznie o sytuacji strategicznej). Nie grozi Polsce wojna lokalna, w której znalazłaby się osamotniona. Jedyną wojną w którą może być wplątana jest wojna mocarstw. Mówiąc wyraźnie: wojna z Zachodem. Nie będziemy się zastanawiać czy groźba od zachodu jest realna czy nie. Wystarczy, że uchodzi za pewnik dla kierowniczych kół wschodniego bloku i za jedną z podstaw jego polityki. Nie jest wykluczone, że poczucie zagrożenia ulegnie geograficznemu przesunięciu i z zachodnich rubieży Związku Sowieckiego przesunie się na jego wschodnie granice. Wtedy cały układ polityczny i strategiczny ulegnie zmianie i obecne hipotezy będą nie aktualne. Na razie mówimy o czasie teraźniejszym.

W wypadku wielkiej wojny z Zachodem, Polska znajdzie się w „drugiej linii obrony”. Przed nagłym atakiem osłania ją linia sojuszniczych państw, a mianowicie: Niemcy Wschodnie, Czechosłowacja i Węgry. Ewentualnie — Rumunia. Wyciągamy z tego wniosek, że Polska zawsze znajdzie rezerwę czasu na przeprowadzenie mobilizacji. Jedynym elementem gotowym do działania od pierwszej chwili wojny będzie obrona przeciwlotnicza.

W sojuszniczym bloku, wojenny wkład polski jest cenny ale drugorzędny. Wystarczy przypomnieć oceny rosyjskich sił zbrojnych czasu pokoju, obliczanych na dwumilionową armię i 11.000 samolotów pierwszej linii. Wniosek: czas wkroczenia do walki Ludowego Wojska Polskiego, o przypuszczalnej sile około trzydziestu dywizji, nie wpłynie decydująco na początkowy przebieg wojny. Przeciwnie, zatrzymanie w strategicznym odwodzie kilkudziesięciu dywizji może mieć większy wpływ na dalsze działania. Wprowadzenie do akcji broni nuklearnej może spowodować do zera znaczenie dywizji konwencjonalnych.

Nie zaprzeczając Polsce obowiązku lojalnego wykonywania zo-

bowiazań partnera Paktu Warszawskiego, nie widzę konieczności nadwyrażania skromnych możliwości gospodarczych kraju przez utrzymywanie w czasie pokoju nadmiernej siły zbrojnej. Każdy rząd polski, bez względu na zabarwienie polityczne, musi wyciągnąć taki wniosek, jeżeli chce być godny swojej nazwy.

Więc dlaczego jest inaczej?

Mówi się wiele o strefie neutralnej obejmującej obszar Polski. Myślę, że takie rozwiązanie jest pomyślnie dla PRL. Myślę także, że to rozwiązanie nie ujrzy realizacji, przynajmniej tak długo jak Rosja ma zwrócone oczy na zachód. Innym powodem jest szukanie przez Rosję pozorów zbiorowych wystąpień w wypadkach użycia siły. Dały tego dowód ostatnie zdarzenia w Czechosłowacji. Więc na razie przyjmijmy neutralizację za ewentualność przyszłości.

Przyjmując konieczność utrzymania sił zbrojnych PRL, starajmy się znaleźć sposoby ograniczające koszt ich utrzymania na korzyść gospodarki i stopy życiowej obywateli państwa polskiego. W tej dziedzinie są wielkie możliwości.

Zacznijmy od tego, że winna być ustalona, w ramach warszawskiego układu, kwota sił zbrojnych jakiej Polska winna dostarczyć w początkowej fazie wojny. Mówię o początkowej fazie, bo w miarę rozwoju wojny siły walczących rosną i ich granicy nie podobna ustalić. Istnieje, niewątpliwie, taka początkowa kwota. Jej wysokość ustaliły żądania głównego partnera i (może) ambicje państwowe strony polskiej. W naszym wypadku chodzi o ustalenie minimalnej stawki początkowej bez ograniczania rozwoju i pełnego udziału w dalszej wojnie.

Ten początkowy kontyngent winien być podstawą pokojowego planowania. Wszelkie hasła w rodzaju: „cały naród pod bronią” winny pójść do śmietnika jako nie odpowiadające potrzebom chwili. Wyraźnie: tyle i tyle dywizji stanu pokojowego, tyle a tyle formacji lotniczych. Na czas początkowej mobilizacji wystawiamy rezerwowych dywizji tyle, lotniczych jednostek — tyle. Do tej wysokości (z zapasem bezpieczeństwa) szkoli się materiał ludzki. Na powszechne szkolenie, w polskim położeniu geograficznym, będzie zawsze dość czasu, bez wpływu na rozwój wojny. Wszelkie organizacje paramilitarne, przysposobienia wojskowe czy jak się one zwą, tracą rację bytu.

Ograniczenie szkolenia wojskowego jest poważnym krokiem w kierunku oszczędności. Również, pozwala uniknąć absurdu 1939 roku, kiedy pęd do nieograniczonego szkolenia spowodował nadmiar żołnierzy dla których nie tylko formacji ale mundurów i butów brakowało.

Drugim źródłem oszczędności, związanym ściśle z poprzednim, będzie kadrowanie istniejących formacji i oddziałów. Przy mniejszym napływie szkolonych, ilość pułków, batalionów i kompanii może ulec redukcji. Nasuwa się uwaga: doświadczenie 39 roku wykazało konieczność istnienia w czasie pokoju wyższych związków. Łatwiej jest sformować nowy pułk lub batalion, niż sztab korpusu czy armii. Dlatego, należy utrzymać istniejące szczeble

wyższe do dywizji włącznie, kadrować formacje od pułku w dół. Przy zmniejszeniu ram organizacyjnych, dla pomyślnego rozwinienia mobilizacyjnego, trzeba będzie utrzymać a może nieco powiększyć stany żołnierzy zawodowych i długoterminowych. Znowu, dla uniknięcia błędów wrześnieowych. W artylerii, zwłaszcza, był dotkliwy brak kadry. Zmobilizowane baterie wychodziły w pole z jednym zawodowym oficerem i paru podoficerami zawodowymi lub nawet nadterminowymi. Jak mówi utarte powiedzenie — wojnę prowadzą rezerwiści. Prawda. Ale prawdą jest, że zaczynają wojnę zawodowi. Rezerwiści muszą mieć czas by stać się sprawnymi kółkami maszyny wojennej.

Duże oszczędności osiągnie się przez skrócenie nadmiernie długiej służby czynnej. Trwa ona w armii 18 miesięcy, a w lotnictwie, marynarce i broniach specjalnych 3 lata. Przy obecnym wyeliminowaniu analfabetyzmu, wydaje się ona zbyt długą, nawet przy bardziej skomplikowanym szkoleniu wynikającym z rozwoju techniki wojskowej.

Łościcowe ograniczenie służby czynnej, a co za tym idzie ilości wyszkolonych rezerw, pozwala na stuprocentowe wprowadzenie w życie praktycznej nowości: dwutorowej mobilizacji ludzi. Jeden tor: powołani do służby w szeregach, drugi — potrzebni dla gospodarki wojennej. Mówiąc o gospodarce wojennej mam na myśli całość gospodarki, nie tylko przemysł wojenny. W czasie wojny, braki w produkcji rolnej czy, dla przykładu, w wytwarzaniu obuwia, mogą być równie fatalne jak w produkcji amunicji albo samolotów. Zresztą i w tej dziedzinie znamy niedociągnięcia. Wiem z kompetentnych źródeł, że wydajność naszego przemysłu lotniczego w 1939 roku skurczyła się nim pierwsze bomby niemieckie spadły. Stało się tak dzięki zmobilizowaniu robotników specjalistów. Lotniczy przemysł zatrudniał duży procent rezerwistów lotnictwa. Władze poborowe uwzględniały „reklamacje” jedynie odnośnie „kluczowych” stanowisk. W Polsce nie było nadmiaru robotników-metalurgów i powołanych nie było łatwo zastąpić. W rezultacie, specjaliści obijali się po lotniczych i innych formacjach zapasowych a produkcja lotnicza została zahamowana. Inny przykład, zanotowany przez gen. André Beaufré, częściowa demobilizacja francuskiej armii na wiosnę 1940 roku na korzyść przemysłu i rolnictwa.

Muszę dodać parę zdań o nie celowości budowania sił zbrojnych na wyrost w stosunku do możliwości zaopatrzeniowych. Utrzymywanie sił większych niż nasze możliwości zaopatrzenia ich w broń, sprzęt i materiał z własnych czy sprzymierzonych źródeł — jest bezpodstawne a nawet szkodliwe. Siły zbrojne w czasie wojny powinny się rozwijać w miarę wzrostu źródeł zaopatrzenia i w ścisłej od tego wzrostu zależności. Przykładowo: nie jest celowe posiadanie w oddziałach trzech tysięcy dział jeżeli przemysł pokrywa codziennie zużycie amunicji dwóch tysięcy. Lub: mając możliwości uzupełniania strat w samolotach na tysiąc maszyn pierwszej linii — nie formujemy sił lotniczych o 1.500 maszyn.

Jedyną częścią sił zbrojnych, która w polskich warunkach win-

na być w pogotowiu, jest obrona przeciwlotnicza. Mam na myśli jej całość: lotnictwo pościgowe, wojska raketowe, artylerię przeciwlotniczą, służbę nasłuchową, łączność etc. Potencjalny nieprzyjaciół nie udzieli w tym zakresie zwłoki. I tylko w tej części wojska utrzymanie zwiększonych stanów personalnych i pogotowia sprzętu jest usprawiedliwione. A właśnie, jak dochodzą słuchy, w tej dziedzinie są wielkie niedociągnięcia (patrz *Kultura* czerwiec/lipiec 1968, Nr 6/248-7/249, str. 90).

Taka struktura Ludowego Wojska Polskiego pozwoli na zachowanie odpowiedniej do potrzeb gotowości z równą lub lepszą (większe możliwości selekcji personalnej) wartością jako narzędzia wojny. Z drugiej a równie ważnej strony, oszczędzi państwu dużej części kosztów, które można obrócić na inne jego potrzeby i podniesienie stopy życiowej obywateli.

Miejmy nadzieję, że znajdzie się w Kraju ktoś odważny, kto ten czy podobny projekt ośmieli się wprowadzić w czyn. Zasłuży sobie na wdzięczność współobywateli. Od listopada 1918 roku brak był równowagi między wymogami obrony i potrzebami państwa. Do września 1939 roku powodem było zagrożenie dwóch wrogich sąsiadów. Teraz, kiedy zagrożenie nie istnieje, czas pomyśleć o przywróceniu zdrowych stosunków rozwojowych.

Tadeusz NOWACKI

Wellington, N.Z.

Wielki terror

Coraz częściej korespondenci zachodni informują z Moskwy o przygotowującej się całkowitej — bo częściowa już została przeprowadzona — rehabilitacji Stalina. Partia stworzona przez Stalina, państwo stworzone przez Stalina mogą istnieć tylko z trudnością bez stalinowskiego błogosławieństwa i imienia. Pomimo całej wrzawy dokoła Lenina, zwłaszcza nasilonej w ostatnich czasach, nie Lenin lecz Stalin potrzebny jest państwu i partii, które zostały skrojone na jego miarę, według jego wzoru i podobieństwa.

Leżą przed nami dwie książki, poświęcone dziejom przemian dokonanych przez Stalina, przemian, które doprowadziły Rosję i partię komunistyczną do ich obecnego kształtu. W tytułach obydwu książek widnieje słowo „terror”. Książka Roberta Conquesta, angielskiego poety i historyka, pt. „Wielki terror”, wyszła przy końcu roku 1968; książka Borysa Łewyckiego „Terror i rewolucja” została ogłoszona najpierw w niemieckiej wersji, w roku 1961, w Monachium; w roku 1965 wydał ją w serii „Archiwum

rewolucji" Instytut Literacki w Paryżu, a ostatnio wyszła ona także w przekładzie na francuski.

Pomimo wspólnego tematu i częściowego wykorzystania tych samych materiałów, książki te mają ze sobą niewiele wspólnego.

Conquest napisał szczegółową, dokładną historię „stalinowskiej czystki w latach trzydziestych”, jak głosi podtytuł. Główna część książki omawia „wielkie procesy” tych lat. Cała reszta — to ich pre-historia i następstwa.

Łewyckij postawił sobie cel bardziej ambitny: postanowił przedstawić całą historię sowieckiego terroru, od roku 1917 do 1960. Ale książka Conquesta jest pracą zawodowego historyka, książka Łewyckiego — pracą zawodowego publicysty. I to jest właśnie najbardziej słaba strona książki „Terror i rewolucja”. Nie dlatego, naturalnie, żeby historia miała przewagę nad publicystyką. Rzecz w tym, że w publicystycznym podnieceniu Łewyckij, nie zawsze dostatecznie panując nad materiałem, pozwala się unosić bezpodstawnym hipotezom, domniemaniom i spekulatywnym rozważaniom.

W książce Conquesta nie zabrakło, oczywista, rozdziału „Dlaczego się przyznawali?”, poruszającego temat obowiązujący w tego rodzaju pracach. Dlaczego oskarżeni w wielkich procesach przyznawali się do winy? Wiele atramentu polało się z tego powodu, także i na łamach *Kultury*. Myślę że obecnie, po wszystkich wojennych procesach w Czechosłowacji, Bułgarii, Polsce, na Węgrzech — odpowiedź na to pytanie nie przedstawia żadnych trudności.

Znacznie ciekawiej wypadł u Conquesta rozdział, który należałoby zatytułować „Dlaczego wierzyli?”. Dlaczego ludzie Zachodu, polityczni i społeczni działacze, dziennikarze i pisarze — nie zawsze przecież komuniści — wystarczy wymienić amerykańskiego posła w Moskwie, Josepha Smitha — dlaczego wierzyli wszystkiemu, co pisały sowieckie dzienniki, co twierdziła komunistyczna propaganda? To pytanie można by nawet ująć nieco inaczej: dlaczego wielu z nich wierzy nadal aż do dziś?

Tak jak i we wszystkich innych rozdziałach swojej książki, Conquest starannie zgromadził fakty, wypowiedzi, istniejące dokumenty. I tylko do tego się ograniczył. Jak przystało porządne-mu burżuazyjnemu historykowi, woli nie wysnuwać wniosków, pozostawiając ten wysiłek czytelnikowi.

Zaś wniosek narzuca się następujący: na Zachodzie po dziś dzień panuje przekonanie, że postawa „lewicowa” jest bardziej przyzwoita, godna i szlachetna. Z wprost zadziwiającym, szatańskim mistrzostwem Stalin potrafił przedstawić siebie jako ucieleśnienie „lewicowych”, rewolucyjnych sił.

Książka Łewyckiego potwierdza, jak bardzo żywotna jest ta tendencja. Jemu również nie udało się wyrwać spod magii „lewicowości”. Przede wszystkim, na samym początku, długo usprawiedliwia się przed polskim czytelnikiem, że zdecydował się wydać swoją książkę w Niemczech, w niemieckim języku, gdzie, nawiasem mówiąc, ukazała się pod bajecznie naiwnym tytułem

„Od czerwonego terroru do socjalistycznej praworządności”. Mismochodem trzeba przyznać, że Łewyckij jest mistrzem w wymyślaniu tytułów. W polskim przekładzie książka nazywa się „Terror i rewolucja”, a we francuskim już całkiem wyraziście: „Czerwona inkwizycja”.

Optymizm co do nastania socjalistycznej praworządności, żywiony przez Łewyckiego jeszcze w roku 1965, przejawia się nie tylko w niemieckim tytule ale i w samym tekście książki.

Ten optymizm wyraża się na przykład w chęci pewnego, wbrew faktom, wybielania Chruszczowa, a w szczególności uwolnienia go od odpowiedzialności za czystki w Moskwie, gdzie przez pewien czas był pierwszym sekretarzem miejskiego komitetu partyjnego, i na Ukrainie, dokąd przybył w styczniu 1938 roku, by doprowadzić do końca „jeżowszczyznę”.

Łewyckij twierdzi, że „zadanie Chruszczowa polegało na leczeniu ran, zgodnie z interesami państwa sowieckiego” (str. 105). Conquest podaje fakty, świadczące o wręcz odwrotnym zachowaniu się Nikity Siergiejewicza. „W maju i czerwcu 1938 roku rząd ukraiński został zmieniony w pełnym składzie. Od lutego do czerwca zdjęto ze stanowisk pierwszych sekretarzy wszystkich dwunastu okręgów, a także wielu drugich sekretarzy”. I tak dalej i tak dalej... Wiemy, że te zmiany u góry pociągały za sobą areszty dziesiątków i setek tysięcy ludzi.

Powstaje wrażenie, że Łewyckiego cały czas dręczy obawa, aby go — broń Boże — nie uznano za antykomunistę. Jak sam oświadcza, w żadnym wypadku „nie chciałby dostarczyć argumentów politykom zimnej wojny” (str. 7). Takie ambiwaletne ustosunkowanie się do tematu doprowadza autora do nieprawdziwych wniosków, do mylnych rozważań. Jest przekonany, że ma do czynienia z „ludźmi ideowymi” i uważa, że na przykład rozstrzelanie w roku 1941 działaczy polskiego „Bundu”, Wiktora Altera i Henryka Erlicha, to był wynik „patologicznej nienawiści” Stalina, Berii i innych komunistycznych przywódców do mieńszewików. Jako dowód Łewyckij przytacza fakt eksterminacji gruzińskich mieńszewików i socjal-demokratów, przeprowadzonej przez Berię. Jednakże nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Beria i Stalin wymordowali znacznie więcej bolszewików, niż mieńszewików. Czy także w wyniku „patologicznej nienawiści”?

Również nie wytrzymuje krytyki twierdzenie Łewyckiego, że Gruzini kochali Stalina, widząc w nim swego „wielkiego brata”. Mało kto w Rosji nienawdził Stalina jak Gruzini, którzy nigdy nie zapominają doznanych krzywd. Bodaj nie było jednej gruzińskiej rodziny, która by nie zaznała strat w latach stalinowskiego terroru. Tak zwana „miłość do Stalina” urodziła się w Gruzji dopiero po jego śmierci jako jeszcze jeden objaw wrogości do Rosjan. I o to jedynie chodziło.

W książce Łewyckiego znajdujemy wiele błędów merytorycznych. Na przykład, pierwszym szefem GULAG-u był nie Jagoda, lecz Matwiej Berman (str. 54), proces „Prompartii” nie mógł nabrać rozgłosu jako „Szachtyńska sprawa” (str. 58), bo chodzi o

dwa różne procesy; razem z zabójcą Kirowa, Nikołajewym, sądzono nie „jakiegoś tam studenta”, Kotołynowa (str. 73), lecz byłego członka Centralnego Komitetu Komsomołu, aktywnego opozycjonistę. Jego proces stał się jak gdyby sygnałem, określającym w jakim kierunku pójdą dalsze represje.

Nieco lekceważący stosunek autora do nazwisk, liczb i dat doprowadza do tego, że w książce „Terror i rewolucja” podaje jako datę deportacji Czeceńców i Inguszów luty 1944 roku, podczas gdy w innej pracy — „Narodowościowa polityka w ZSSR” — grudzień 1943.

Oczywista, nie chodzi o te pomyłki. Sądzę, że znacznie poważniejszy jest błąd, dotyczący niewłaściwej oceny polityki „destalinizacji” jaką dał Łewyckij. Jako zjawisko dodatnie wyróżnił on fakt przekazania niektórych funkcji milicyjnych członkom tak zwanych „drużyn” (str. 225). Na początku lat dwudziestych znakomity rosyjski pisarz, Jewgienij Zamiatin, w jednym ze swoich satyrycznych opowiadań dał następujący obrazek: „Zmiast policyj wprowadzono 'ochotników' i mieszczanie mówili: 'Dziękuję Ci, Panie Boże! Stało się. Nie byle kto bije — swoi biją!'”.

Możliwe, że akurat to samo w marcu 1968 roku mówili polscy studenci, gdy ich bili „swoi” Ormowcy. Warto zaznaczyć, że na wszystkich procesach sądowych, jakie odbyły się ostatnio w Moskwie, główne zeznania oskarżające składali zawsze właśnie członkowie owych „drużyn”.

Również dał się Łewyckij wywieść w pole dekretemi o „darmozjadach”; autor uwierzył, że jest on skierowany przeciw „wałkoniom” (str. 237). Jak wiadomo, jedną z pierwszych ofiar tego dekretu stał się poeta Josif Brodskij.

Ktoś może zareplikować, że łatwo stawiać autorowi zarzuty co do niewłaściwych prognostyków, teraz, gdy już wszystko stało się oczywiste. Rzecz jednak w tym, że te nieprawidłowe prognostyki są wynikiem pragnienia dostrzeżenia „kiefków destalinizacji” tam, gdzie ich nie było i gdzie ich być nie mogło.

Conquest bardzo dobrze pokazał pre-historię „wielkiego terroru”. W odróżnieniu od Łewyckiego zwrócił poważną uwagę na opozycję w szeregach bolszewickiej partii, między innymi na tak zwaną „platformę Riutina”, bodaj jedyną antystalinowską deklarację programową, jaką znają dzieje opozycji w Związku Sowieckim. Na plenum Centralnego Komitetu w roku 1932 Stalin zażądał kary śmierci dla Riutina i jego przyjaciół: takie żądanie — śmierć dla członków partii bolszewickiej — zostało wysunięte po raz pierwszy. Ale Politbiuro, w jego składzie także Kirow, nie podtrzymało Stalina, który wycofał swój wniosek, jak zawsze, gdy natrafiał na sprzeciw.

Dokładnie w cztery lata później, 25 września 1936, Stalin i Zdanow wystali z Socji swoją słynną depeşe, ogłaszającą upadek Jagody. W depeşy znalazło się znamienne wspomnienie: „NKWD zdemaskowało wrogów z czteroletnim opóźnieniem”. Stalin nie zapomniał o sprawie Riutina. Zresztą nigdy nie zapomniał swoich porażek i krzywd.

Gdy się czyta te strony książki Conquesta, które są poświęcone sowieckim łagrom, ogarnia zdziwienie. Po pierwsze, ogłoszony w niej materiał w gruncie rzeczy nie przynosi nic nowego (znany jest od przeszło trzydziestu lat); po drugie, dziwne jest, że wciąż trzeba o tym przypominać. I za każdym razem wydaje się, że chodzi o jakieś objawienie.

Jugosłowiański filozof Mihajlov został skazany na więzienie tylko za to, że miał odwagę napisać, iż po raz pierwszy obozy koncentracyjne zjawyły się w Związku Sowieckim. Z dokumentów, zacytowanych przez Conquesta, wynika, że poczynając od roku 1918 po 1935 rok, sądy sowieckie oficjalnie skazywały na odbywanie kary w obozach koncentracyjnych.

Ale ponadto zadziwia i to, że chociaż obozy koncentracyjne istnieją w Związku Sowieckim już od pół wieku — w gruncie rzeczy wie się o nich bardzo niewiele. Książka Conquesta jedynie potwierdza ten fakt. Nawet po wykorzystaniu niemal całej literatury na ten temat, powstałej na Zachodzie, autor potrafił dać zaledwie ogólny, powierzchowny obraz życia obozowego. Przy tym pisze on przede wszystkim o obozach z czasów sprzed drugiej wojny światowej. To całkiem zrozumiałe: książki i materiały, którymi Conquest rozporządzał, dotyczą głównie lat przedwojennych. Natomiast książki o obozach po wojnie, o dzisiejszym łagerniczym piekle są jeszcze nieznanne na Zachodzie, dopiero przekazywane są w Związku Sowieckim, w rękopisach, z rąk do rąk.

Tak na przykład, jest całkowicie nieznaną historią zaciętej, krwawej wojny między więźniami kryminalnymi, których w Związku Sowieckim nazywają „drugą partią”. Wojna ta wybuchła w roku 1945, trwała, przy cichej aprobacie NKWD, przez kilka lat, objęła wszystkie sowieckie obozy i pochłonęła dziesiątki tysięcy ofiar. Byli wśród nich nie tylko kryminaliści, lecz również więźniowie „neutralni”, w ich liczbie także skazańcy polityczni.

Najwidocznie jedynie rosyjski historyk będzie mógł w swoim czasie napisać prawdziwą, wyczerpującą historię sowieckich obozów koncentracyjnych.

Bardzo dokładnie i szczegółowo omawia Conquest dzieje wyniszczenia w okresie jeżowszczyzny mniejszości narodowych, a w ich liczbie również Polaków. Jego książka jest dobrze udokumentowana i budzi zaufanie swoją gruntownością i sumiennością. Recenzent zdołał znaleźć zaledwie kilka nieistotnych błędów. Najzabawniejszym z nich jest podpis pod portretem Osipa Mandelsztama, zawiadamiający, że chodzi o marszałka Tuchaczewskiego.

Obydwaj autorzy są zgodni w tym, że w latach 1937-38 terror przybrał wręcz monstrualne rozmiary, rzeczywiście paraliżując wewnętrzne życie państwowe. Łewyckij posunął się nawet do twierdzenia, że „terror... zamienił się w machinę, która coraz bardziej traciła kontakt z partią, rządem i masami...” Co prawda, sformułowanie to nie jest zbyt udane. Sądzę, że terror, który zniszczył partię, rząd i masy, utrzymywał z nimi aż nadto bliski kontakt. Był to jednak kontakt łączący kata z ofiarą.

Z tym wszystkim myślę, że fakty, zgromadzone w obydwu omawianych książkach — ta uwaga dotyczy przede wszystkim pracy Conquesta — ułatwiają wysunięcie twierdzenia, że terror nie był „bezsmyślną, ślepą maszyną”. Był on instrumentem, którego Stalin użył w celu zrealizowania ostro zarysowanego, konkretnego planu.

Na czym polegał ten plan? Polegał na likwidacji partii, która dokonała rewolucji, i utworzeniu zamiast niej nowej partii stalinowskiego typu, uległej wodzowi niczym „umarlak”.

Wydarzenia ostatnich lat potwierdzają tę hipotezę w sposób jak najbardziej przekonujący. „Rewolucja kulturalna” w Chinach miała na celu to samo — pogrom, likwidację partii, która pochwyciła władzę w swoje ręce. Obecnie już zaczęło się budowanie nowej partii „stalinowskiego”, czy też „maotsetungowskiego” typu — obojętne, chodzi przecież o to samo.

Trzecia partia, która własnym wysiłkiem dorwała się do władzy po zakończeniu drugiej wojny światowej, również w zasadniczy sposób zmienia swój charakter. Prawda, usiłuje zastąpić starą partię komunistyczną partią nie stalinowskiego typu. Będziemy mieli okazję przekonać się, czy ten eksperyment da pozytywne wyniki, czy taki fenomen w ogóle jest możliwy.

Tak czy owak, próba „destalinizacji” Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, dokonana przez Chruszczowa, który chciał ją rozbić na dwie partie: miejską i wiejską — zakończyła się niepowodzeniem. Aparat, stworzony przez Stalina, wytrzymał i odrzucił szaloną, kawaleryjską szarżę Chruszczowa.

W ostatnich miesiącach nie brakowało danych, świadczących, że „stalinowski aparat” dokonał konsolidacji swoich sił i przygotowuje się do decydującej ofensywy. Przede wszystkim wewnątrz własnego kraju.

Do takich to wniosków można dojść przy wertowaniu książek opisujących wydarzenia dawno minionych dni.

Adam KRUCZEK

Nieznane dzieło Conrada*

*„To nie jest powiastka dla chłopców”
Conrad w liście do Pinkera*

O Conradzie napisano setki artykułów i dziesiątki książek. Dzieła jego zważono, oceniono, wyznaczono im właściwe miejsca.

* Sekcje ten wejdzie w skład „Wyboru szkiców o Conradzie”, który wyjdzie w br. Polska Fundacja Kulturalna w Londynie.

A jednak wielki świat Conrada ciągle jeszcze przynosi niespodzianki. Niektóre z jego dzieł, które dotąd pozostawały w cieniu, ważne lekcje i zapoznane, odsłaniają naraz przy bliższym wejrzaniu nowe oblicza, ukryte treści.

Dwie są powieści Conrada, które w moich oczach przede wszystkim wymagają zrewidowania dotychczasowej ich klasy: „Wykolejeniec” i „Przygoda” („Romance”). „Wykolejeniec” omówiłem już w „Conradzie żywym”. Tu chcę pisać o „Przygodzie”.

Na jej ocenach zaważyło prawdopodobnie w dużym stopniu to, że powieść tę Conrad pisał na spółkę z Ford Madox Fordem (Huefferem), uchodzi ona więc za dzieło tylko w części jego własne i mało godne uwagi. Jocelyn Baines, autor podstawowego dzieła o życiu i sztuce Conrada tak ocenia „Przygodę”: „Jest w tej powieści jakieś piętno niedoskonałości i bezosobowości, toteż może ona interesować przede wszystkim jako literacka ciekawostka”. Baines dodaje jednak znamiennej uwagę, że pisanie „Przygody” zdawało się sprawiać Conradowi pewną satysfakcję i powołuje się na wyznanie samego pisarza: „Rzecz dziwna, że mój udział w pracy nad ‘Romance’ najmniej jeszcze napełnia mnie odrazą”.

Instykt Conrada był trafny. „Przygody” niedoceniono. Ci, którzy wezmą ją do ręki, na pewno tego nie pożałują. Znajdą w niej piętno Conrada tak wyraźne, że pozwoli ono zapomnieć zupełnie o współautorstwie Forda — tym bardziej, że jak będę o tym później mówił, co najmniej dwie trzecie powieści zostały napisane przez samego Conrada.

Dlaczego więc wielki pisarz, który miał za sobą już takie osiągnięcia jak „Murzyn z załogi Narcyza” i „Jądro ciemności” nawiązał współpracę z początkującym i absolutnie nie jednakiem miary literatem jak Ford-Hueffer, pozostanie zagadką. Ford miał wtedy 25 lat (gdy Conrad 43) i był autorem popularnych powiastek dla młodzieży, kilku tomików wierszy i biografii dziadka, prerafaelyty. Ford co prawda rozwinął się z czasem w samodzielny i nawet wybitny pisarz, ale stało się to dopiero w wiele lat później. W owym czasie był jeszcze literackim żółtodziobem. Do „Przygody” wniósł banalny pomysł awanturniczej powiastki pt. „Serafina” i napisał jej pierwszy zarys, który Conrad z małymi wyjątkami do gruntu przerobił.

Prawdopodobnie w nawiązaniu spółki z Fordem największą rolę odegrała ówczesna mała popularność Conrada i nadzieja, że młody, ale wkradający się już w łaski publiczności autor pomoże mu napisać coś popularnego i łatwego, co zapewniłoby chleb rodzinie. Poza tym obu pisarzy musiały związać także artystyczne zainteresowania. Ford pochodził z rodziny artystów, był jak i Conrad wielbicielem literatury francuskiej, w szczególności bliskiego im obu Flauberta, i potrafił godzinami rozprawiać o zagadnieniach sztuki. Sąsiadował z rodziną Conradów w Kencie i ofiarował im swój dom na mieszkanie. Kto wie, czy nie odegrało tutaj roli również to, że Ford był tylko na pół rodowitym Anglikiem — przez matkę — i że więcej wiązało go z Europą niż z Anglią.

Jakiegokolwiek były przyczyny, obaj postanowili wspólnie pisać powieści, z których pierwsza „Spadkobiercy” (*Inheritors*) pozostała niewypałem (udział Conrada w niej był zresztą znikomy). Pomysł drugiej powstał jeszcze w roku 1898, ale do opracowania „Przygody” Conrad przystąpił dopiero w r. 1900, bezpośrednio po ukończeniu „Lorda Jima”. Współpraca nad nią trwała dwa lata, przerywana pisaniem przez Conrada innych, własnych utworów. Rzecz była wreszcie gotowa do druku w 1902 r. Rozeszła się dosyć dobrze w porównaniu z innymi dziełami Conrada, ale poszukiwanej popularności mu nie przyniosła.

„Przygoda” jest, przynajmniej na swej powierzchni, typowym romansem awanturniczym w stylu R. L. Stevensona, ciągiem porywających i egzotycznych wydarzeń. Młody szlachcic angielski John Kemp, wpłany mimowoli w aferę przemysłową, musi uciec z kraju do posiadłości swego kuzyna na Jamajce. Stamtąd — wpłatawszy się w inną awanturę — zostaje wprowadzony do pałacu hiszpańskiego granda na Kubie, sąsiadującego z siedzibą piratów w Rio Medio pod wodzą arcyłotra i pyszałka, Manuela del Popolo. Po śmierci starego granda, Kemp ucieka z pałacu z jego piękną córką Serafiną, ażeby ocalić ją z rąk niecnego a potężnego Irlandczyka O'Briena, który czyha na rękę i miłość uroczej i bogatej dziedziczki. W czasie tej ucieczki Kemp z Serafiną wpadają z jednej niebezpiecznej przygody w drugą — póki nie rozdzielili ich ostatecznie uwięzienie Kempa za sprawą tegoż O'Briena. Wszystko jednak po niezliczonych cierpieniach kończy się, wbrew obyczajom Conrada, szczęśliwie (względ na popularność) połączeniem kochanków w Londynie — niemal wprost spod szubienicy, która groziła już bohaterowi.

Jak widzimy, typowa powieść dla młodzieży, z młodym amatorem przygód, piękną heroiną, czarnym charakterem, piratami etc. etc. Taki był też pierwotny projekt — fordowska „Serafina”.

A co z tego zrobił Conrad? Bo nie ulega wątpliwości, że lwia część „Przygody” jest przede wszystkim jego pióra. Dowodzi tego zarówno uderzająca odmiennosc stylu różnych ustępów powieści, jak i świadectwo samego Conrada, że z pięciu jej części dwie środkowe, najdłuższe i najważniejsze, są prawie wyłącznym jego wkładem, że w dwu innych współpracował, a tylko część pierwsza i najstarsza pozostała bez zmian z pierwotnego rękopisu „Serafina”.

Więc co dał fordowskiemu zarysowi Conrad? Przede wszystkim — zaczynając od powierzchni — swój język i wspaniałość opisów. Ustępy pisane przez Forda odcinają się tak wyraźnie i zarazem tak ubogo od plastycznych i pamiętnych obrazów Conrada, że nie sposób omylić się, który ustęp czyjego jest autorstwa. Z chwilą, gdy Conrad przejmie pióro, papierowy bieg wydarzeń kondensuje się od razu w dotykającą niemal materię życia. Opisy, zwłaszcza scen i widoków morskich — mgły, burzy, napadu na okręt — są niezapomniane, a nastroje stopniowane i cieniowane z najwyższym mistrzostwem. Niektóre karty tej „popularnej” i

pisanej jakby lewą ręką powieści należą do najlepszych jakie Conrad napisał.

Oczywiście nie dałoby się wytłumaczyć tego, co Conrad zrobił z błahego brulionu Forda tylko potęgą jego talentu, który ożywił wszystko czego się dotknął. Była pędząca siła za tym wybuchem. Owa wspaniałość obrazów i szczerść nastrojów świadczy na pewno o twórczej spontaniczności — o wewnętrznej potrzebie i pociągu pisarza do tego rodzaju bajki z tysiąca i jednej nocy. W Conradzie obok myśliciela-moralisty i poety dramatu życia tkwił do końca, pomimo wszystkich późniejszych rozczarowań, także ten sam młody chłopiec, który wyruszył z kraju po romantyczną przygodę dalekich mórz i lądów. I właśnie w „Romance”, w tej „niepoważnej” baśni ujawnia się i wyżywa, tak jak w żadnym poprzednim utworze Conrada (z wyjątkiem może „Młodości”) ta chłopięca, romantyczna strona jego psychiki — z absolutną, prawdziwie jeszcze młodzieńczą świeżością i bezpośredniością, jakiej brak już jego późnym romantycznym powieściom „Ocaleniu” i „Korsarzowi”, w których młodzieniec powrócił znów do głosu w starzejącym się pisarzu. Właśnie z „Przygody” i „Młodości” dowiadujemy się i możemy zrozumieć najpełniej, co pędziło Conrada przez tyle lat po oceanach świata, zanim nie przyszło nań rozczarowanie „smugi cienia”.

Ale istnieje zapewne jeszcze inna przyczyna, która natchnęła Conrada owym rozmachem i swobodą twórczej fantazji, jakie cechują tę jego powieść. Conrad, podobnie jak wielbiony przezeń Flaubert, był pisarzem niesłychanie sumiennym i wymagającym wobec siebie. Pisanie było dla niego bardziej męką niż radością. Jego listy rzadko mówią o szczęściu tworzenia, częściej o rozpacz. Toteż szczególną wagę posiada przytoczone już przedtem oświadczenie, że pisanie „Przygody” „nie napełniało go odrazą”.

Najwidoczniej w tej młodzieńczej i nieważnej zdawałoby się opowieści, tworzonej na domiar pod pokrywą incognito wspólnego autorstwa, przestała jak gdyby ciężać nad pisarzem zwykła, żelazna dłoń odpowiedzialności za napisane słowo. Można powiedzieć, że Conrad czuje się tu jak na beztroskiej majówce i w tym poczuciu nieodpowiedzialności i rozluźnienia daje z siebie często więcej i bujniej niż w niejednym ważniejszym dla niego dziele. Jedyne „ale” tej rozbawionej swobody to popuszczenie cugli właściwej Conradowi w tym wczesnym okresie twórczym tendencji do baroku i melodramatyczności, bez żadnej już kontroli. „Przygoda” to prawdziwie jego literackie wagarzy.

Lecz nawet na tych wagarach nie opuszczał Conrada cień, który szedł za nim teraz wszędzie od czasu, gdy z beztroskiej młodości wkroczył w swój wiek męski — wiek kłęski. Jak już wspominałem, dwie środkowe i najdłuższe części powieści („Casa Riego” i „Klinga i gitara”) Conrad napisał prawie w całości sam. I właśnie w tych dwu częściach dochodzi do głosu przede wszystkim Conrad tragiczny, dla którego zawsze „robak się lęgnie i w bujnym kwiecie”. Wśród strumienia powieściowych przygód pisarz pomieścił tu jeszcze jeden dramat sumienia, narysowany

wprawdzie jakby na marginesie i trochę szkicowo, ale bodaj bardziej beznadziejny i bez rozwiązania niż dramat „Lorda Jima”.

Młody Kemp w rygorystycznym poczuciu honoru, nie pozwalającym mu zabijać bezbronnych, ocala dwu łotrom życie, które miał w swym ręku — na to tylko, by obaj wtrącili jego samego i co gorsza kobietę którą kochał, w nieskończony ciąg niebezpieczeństw i udręczeń. Zresztą nawet owym łotrom wspaniałomyślność jego na nic się nie przydała, skoro giną później śmiercią sroższą, niż gdyby był im posłał kulę z swego pistoletu.

Naczelna nuta owej wyłącznie conradowskiej partii powieści — rzucająca zresztą swój cień na cały utwór — to, obok blasku romantycznej przygody, pokaz tragicznych skutków honoru i szlachetności, niemal ich bezsensu, niemal nieuczciwości i samolubstwa. Nie ma miejsca na ludzkość i honor na tym nieludzkim i łajdackim świecie. Gubią one zarówno tego, co się nimi kieruje, jak i tych, którzy są mu najdrożsi — wychodząc w końcu na głupią naiwność a co gorsza na mimowolne okrucieństwo. Jest to już moralna ślepa ulica: jakkolwiek postąpisz, źle czy dobrze — nie unikniesz błędu i winy.

Motyw to zbyt uparty i wracający raz po raz w toku powieści, by mógł być tylko wątkiem ubocznym, dodanym dla ostrzejszego przyprawienia fabuły. Ujął go zresztą i wyraził z wstrząsającą jasnością sam młody Kemp, stojąc nad zmasakrowanym trupem Manuela del Popolo, któremu tak naiwnie darował był niegdyś życie.

„I ja postąpiłem raz po ludzku z tym człowiekiem. Miałem jego życie na muszce pistoletu i oszczędziłem je pod wpływem impulsu, który pozbawił go tylko łaski szybkiej śmierci. Oto czym okazała się moja litość. Lecz dopiero krzyk Serafiny, w którym zawarła się cała męka tych godzin, zachwiało we mnie wiarę w słuszność mego postępowania. Sprowadziło ono na nasze głowy tyle udręczeń duchowych i cielesnych, jak gdyby moja słabość była przestępca. Byłem młody i wiara w sprawiedliwość życia uległa we mnie zachwianiu. Jeśli nie podobna przewidzieć następstw naszych czynów, jeżeli nie można polegać na naszych wewnętrznych pobudkach — to czym się jeszcze kierować?”

Tak więc „Przygoda” staje się w końcu (przynajmniej w swej części środkowej) czymś całkiem odmiennym niż Ford a chyba nawet i sam Conrad zamierzał: oskarżeniem a nie gloryfikacją romantycznej młodości, niemal cichym natrząśnieniem się z niej. W każdym zaś razie jest i jednym i drugim — podobnie jak równoczesnym oskarżeniem i apologią młodości był „Lord Jim”. Tylko że w tamtej powieści młodość wreszcie zatryumfowała choć Jim zginął. Kemp przeżył, lecz autor nie udzielił mu innego zadośćuczynienia poza odzyskaniem Serafiny.

Prowadząc dalej tę paralelę między oboma utworami, „Przygoda” stanowi przejście od dramatu Jima, który jednak według miar ludzkich zawinił, choć odpokutował, do tragedii absolutnego zwątpienia, do kary bez winy — co wiodą prosto w beznadziejny

świat „Nostroma” i ku gorzkiemu stwierdzeniu ze „Wspomnień”, że „nawet miłość może przybrać postać zdrady”.

Typowo dla tamtego rozdartego wewnętrznie okresu życia Conrad stawia tu znaki zapytania nad tymi właśnie wartościami moralnymi, których sam był przedstawicielem i obrońcą. Nie darmo pisał o „Przygodzie” w liście do swego literackiego agenta Pinkera: „This is not a boy's story” (To nie jest powiastka dla chłopców).

To już chyba wszystko o tej mojej „przygodzie” z jedynym dziełem Conrada, do którego przeczytania nie kwapiłem się przez wiele lat — po prostu sądząc, że nie warto. Przed zamknięciem chciałem tylko dodać, że dla mnie zapoznanie się z „Przygodą” było dlatego jeszcze niezapomnianym przeżyciem, że na kartach jednej książki mogłem tu śledzić różnice między zwykłym literackim rzemiosłem a wielką sztuką powieściopisarską — i odkrywać cechy, które stanowią o tych różnicach.

Przykład jest klasyczny i sądzę, że „Przygodę” powinno się polecać studentom literatury dla uświadomienia im odległości dzielącej przeciętność od sztuki.

Wit TARNAWSKI

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie.

Socjologia. Nauki polityczne. Ekonomia. Prawo. Wychowanie

35. WICHURA-ZAJDEL, Edward: *Z dziejów duchowieństwa śląskiego w czasie wojny, 1939-1945.* (Warszawa), 1968, Instytut Wydawniczy „Pax”, s. 204, ilus.

Rzeczowe informacje o martyrologii duchowieństwa śląskiego. Autor pragnie „utrwalić w historycznym zapisie patriotyczną postawę wielu księży polskich w okresie okupacji hitlerowskiej”, powstrzymuje się natomiast — jak oświadczył w przedmowie — od „pełnej oceny postawy narodowo-politycznej duchowieństwa”.

36. BULSIEWICZ, Andrzej.

Proces o odszkodowanie za niesłuszne skazanie lub oczywiście bezzasadny arezt tymczasowy.

Toruń, 1968, Towarzystwo Naukowe w Toruniu, s. 133 (3), bibl. Towarzystwo Naukowe w Toruniu, *Studia Iuridica*, t. VIII, z. 2.

Podobno *bestseller* krajowy.

Sztuki plastyczne. Teatr. Film. Sport

37. JACKIEWICZ, Aleksander: *Film jako powieść XX wieku*. Warszawa, 1968, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, s. 435 (1), ilus.

Obszerny wybór recenzji i felietonów filmowych, ujętych w następujące grupy: „Historyczne kontakty między literaturą a filmem”, „Film jako spadokobierca mitów”, „Literatura na ekranie”, „Współczesna powieść i film”, „Nowa powieść i film”, „Krytyka literacka i filmowa”. Autor wypowiada słuszny pogląd, iż adaptacje dzieł literackich „rzadko bywają słupami miłymi w rozwoju sztuki filmowej”. Interesująco omawia także problem „filmowości” literatury współczesnej. Clou książki stanowi felieton o „Trędowatej”. Film (przedwojenny) oparty na powieści Mniszkówny nasunął Jackiewiczowi temat do porównania go — *ex aequo* — z „Zesłęgo roku w Marienbadzie”, przedwojenny kicz i awangardowy *bestseller* z r. 1961.

Literatura piękna (poezja, powieść, dramat, eseje)

38. MAKOWIECKA, Zofia: *Mickiewicz w Collège de France*. Październik 1840 - maj 1844. (Warszawa), 1968, Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 702 (2), front. port., plansze. (Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk).

Dalszy, bardzo wartościowy tom „Kroniki życia i twórczości Mickiewicza”, przynoszący obraz życia i działalności w okresie spopularyzowanym przez Boy'a w „Wiadomościach Literackich” i „Brazownikach”. Trudno oprzeć się wrażeniu, że ten właśnie tom „Kroniki” przekreśla wysiłki Boy'a — i więkkość jego wniosków — suchą, rzeczową wymową faktów. Rzecz inna, że towianizm, główna ale nie jedyna przyczyna katastrofy profesorskiej i życiowej Mickiewicza, nie wychodzi bynajmniej obroną ręką z opresji a wiele wskazuje na to, że tom następny wrażenie to jeszcze pogłębi. Zofia Makowiecka, której zawdzięczamy opracowanie tomu, wywiązała się znakomicie z zadania. Przyjemnie czytać dobre słowa o śp. Czesławie Chowańcu i Bibliotece Polskiej w Paryżu, w której murach książka się właściwie narodziła.

39. GRZENIEWSKI, Ludwik B.: *Leona Chwistka „Pałace Boga”*. Próba rekonstrukcji. Warszawa (1968), s. 105 (3).

W ocalałych szczątkach spuścizny pisarskiej Leona Chwistka (zm. 1944) pozostały fragmenty powieści pt. „Pałace Boga”, będącej próbą podjęcia dialogu z Witkacym-powieściopisarzem. Grzeniewski stara się odtworzyć główne zręby powieści, uważając ją za „replikę dużego formatu” w stosunku do Witkiewicza.

40. WITKIEWICZ, Stanisław Ignacy: *Jedynie wyjście*. Powieść. Przygotował do druku z rękopisu, posłowiem i notą wydawniczą opatrzył Tomasz Jodełka-Burzecki. Warszawa, 1968, Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 254 (2).

Ostatnia powieść Witkiewicza, pisana w latach 1931-3. Wydana z rękopisu przechowywanego obecnie w zbiorach Ossolineum we Wrocławiu.

41. IWASZKIEWICZ, Jarosław: *Rozmowy o książkach*, Warszawa, 1968, Iskry, s. 390 (4).

Kolejny wybór recenzji (1961-6) ogłaszanych w niedzielnych wydaniach „Życia Warszawy”. Iwaszkiewicz raczej informuje, niż ocenia — nie pomija też żadnej okazji snucia osobistych wspomnień związanych z autorem czy tematem. Wszystko to bardzo uszlachetnia jego wybór i pozornie uzasadnia optymizm jeśli idzie o polską literaturę współczesną, która z gładkich sfor-

mułowań Iwaszkiewicza wylania się w odświętnej, cenzurą nieskalanej szacie. (Pochwalić jednak wypada niezmiernie trafną — a chyba wczesną — ocenę Herberta). Żestaw tytułów, omówionych w recenzjach, tak ostrożny i budujący, że książkę polecić można jako pożyteczny poradnik emigracyjnym bibliotekarzom-amatorom, ostrzegając jednak, że na próżno szukaliby u Iwaszkiewicza ocen czy wzmianek o literaturze emigracyjnej.

42. POŚWIATOWSKA, Halina: *Jeszcze jedno wspomnienie*. Kraków (1968), Wydawnictwo Literackie, s. 221 (1).

Całokształt pośmiertnej spuścizny poetyckiej autorki „Hymnu bałwochwalczego”, „Dnia dzisiejszego” i „Ody do rąk” oraz tomu prozy pt. „Opowieść dla przyjaciela”. Poświatowska, zmarła w r. 1967 w wieku 32 lat, była słuszenie uważana za poetkę i pisarkę z prawdziwego zdarzenia. Jak Jerzy Liebert uświadamiała sobie jasno sprawę z wiszącej nad nią groźby śmierci i dała temu wyraz w wierszach, wchodzących w skład pośmiertnego tomu.

43. BRYLL, Ernest: *Rzecz listopadowa*. (Warszawa), 1968, PAX, s. 102 (2).

Debiut dramatyczny znanego poety. Sztuka wierszem w 3 aktach w najlepszej tradycji romantycznego dramatu, z wyraźnymi aluzjami do „Dziadów” i „Wesela”. Akt pierwszy toczy się na ementarzu w „narodowe Zaduszki”, drugi — na weselu w wieżowcu przy Placu Teatralnym, trzeci — na Placu, pojętym jako symbol walk powstańczych, oporu. Stary Poeta (— w myśl wielkich tradycji literackich —) prowadzi „w Polskę” Obcego, dziennikarza z Anglii, który w krótkim reportażu i dosadnych fotografiach chce ukazać współczesną Polskę i (— to najsłabszy wątek sztuki —) czyni to w sposób prymitywny i szablonowy. Intencją autora było ukazanie współistnienia dzisiejszej „naszej ojczyzny-płaszczyny” — i wszechobecnego „smaku spalizny”. Obcy opuszcza Warszawę żegnany słowami:

„Gościu, co powiem, krótkie będzie. Miasto,
w którym zajadasz obiad, jest grobowcem”.

Konflikt postaw Obcego i polskich bohaterów sztuki zarysowany jest ostro, z ironią i patosem. Autor nie widzi możliwości znalezienia wspólnego języka i przekazania prawdy o Polsce światu. Żegna Obcego słowami „Idź już...” — z ładunkiem dobrej woli i turystycznych pamiątek.

44. GOMOLICKI, Leon: *Dziki muzy*. (Łódź, 1968), Wydawnictwo Łódzkie, s. 172 (2).

Tym razem nie powieść (w sensie tradycyjnym) ale wybór zbeletryzowanych wspomnień, skombinowany z „niebieskimi kartkami” i udanymi przykładami „małych form”. Najlepsze fragmenty książki wiążą się z rosyjskimi wspomnieniami autora i młodością przeżyty w Ostrogu na Wołyniu.

45. BRANDYS, Kazimierz: *Rynek*. Wspomnienia z teraźniejszości. (Warszawa) 1968, Czytelnik, s. 242 (2).

Brandys nie wyciągnął nauki z doświadczeń Adolfa Rudnickiego. „Wspomnienia z teraźniejszości” dzielą los „Niebieskich kartek” i są przykładem tzw. „przeziębienia struny”. Dziwi nie to, że Brandys wypisał się, ale że tak sumiennie obnażył się przed czytelnikiem, że jak wierny jego piesek zakręcamy na właściwych rogach ulic i smutnym skowytom akompaniujemy autorowi. Z góry wiadomo, że tak a nie inaczej zareaguje na amerykański styl życia i że potępi konformizm w sposób najdoskonalej konformistyczny.

Opowieści biograficzne. Powieści „reportażowe” oparte na wspomnieniach wojennych, okupacyjnych itp.

46. WOLSKI, Stefan: *Ballada chłopska*. Lublin, 1968, Wydawnictwo Lubelskie, s. 498 (2).

(Opowieść biograficzna o ks. Piotrze Ściegiennym, działaczu chłopskim i organizatorze powstania w Lubelskim i Kieleckim w r. 1844. Autor książki jest poetą lubelskim — wydał także tom opowiadań pt. „Ostrokół”. Książka należy do serii opowieści biograficznych wydawanych systematycznie przez Wyd. Lubelskie. Poprzednio ukazały się zbeletryzowane biografie Sebastiana Klonowica, Faustyny Morzyckiej, Prusa, Kraszewskiego i Zeromskiego).

47. SWIEŻAWSKI, Ludwik: *Muza łaskawa*. Łódź (1968), Wydawnictwo Łódzkie, s. 428, ilus.

Powieść o Arturze Grottgerze, będąca zmienioną i zdecydowanie ulepszoną wersją „Cienia obok światła”. Powieść obejmuje młodość artysty i jego podróże i działalność artystyczną do r. 1863). Zapowiedziany jest ciąg dalszy w książce „Biel i czerwień”. Bardzo złe reprodukcje obrazów Grottgera!

48. WNUK, Włodzimierz: *Moje Podhale*. Warszawa, 1968, „Pax”, s. 154 (2). (Sylwety Dra Chramca, gen. Galicy, Wojciecha Brzezi i ks. Józefa Stolarczyka, podbudowane własnymi wspomnieniami).

49. PITERA, Romuald: *Trzyście dni*. Powieść. (Warszawa, 1968), Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, s. 212 (1).

(Akcja powieści toczy się we Francji w czerwcu 1940 i dotyczy losów żołnierzy polskich w okresie *débaclé*'u. Autor, zmarły w grudniu 1967, był członkiem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, w r. 1946 wrócił do Kraju i osiadł na Śląsku. Wydał m.in. „Pamiętniki powstańców śląskich”).

50. LAM, Stanisław: *Życie wśród wielu*. Przygotował do druku Andrzej Lam. (Warszawa, 1968), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 447 (1), front. port.

Tytuł niefortunny. Książka obejmuje wspomnienia nac. red. wydawnictwa Trzaski, Everta i Michalskiego a następnie kierownika Księgarni Polskiej w Paryżu, pisane w latach wojennych w Bendejun w dep. Alpes Maritimes i doprowadzone do wybuchu II wojny światowej. Napisane gładko, nijako.

Zyciorysy. Pamiętniki. Listy

51. CZARTORYSKA, Izabela: *Dyżansem przez Śląsk*. Dziennik podróży do Cieplic w roku 1816. Z francuskiego przełożyła oraz wstępem i przypisaniami opatrzyła Jadwiga Bujańska. Wrocław, 1968, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, s. 145 (1), ilus.

Księżna cierpiała oficjalnie na reumatyzm, ale dla siebie i swoich bliskich także na „*fièvre de Narodowości, cet amour peut-être exagéré de mon Pays que l'on connaît si bien*”. Ta druga przypadłość — patriotyzm — występuje w dzienniczku w formie wznuszającej bezpośredniością i autentyzmem. Klimat epoki oddaje zachwycająco opis „wieczorku” urządzonego na pożegnanie przyjaciół cieplickich, na którym Księżna wystąpiła w stroju Ślązaczki.

Geografia. Opisy podróży. Reportaże krajoznawcze

52. BUDREWICZ, Olgierd: *Zdumiewająca Warszawa*. Wybór z trzech tomów Baedekera Warszawskiego i coś poza tym! Opracowanie graficzne Bohdan Butenko. Warszawa, 1968, Wydawnictwo Intrepress, s. 364 (6), ilus.

Autor jest zdania, iż „siła i urok Warszawy leżą w klasie kryteriów pozamaterialnych”. Na tym metafizycznym wyznaniu kończy się, na szczęście, próba syntezy, a to co następuje dalej, jest zabawnym i pracowitym grzebieniem się w detalach zwanych dziś oficjalnie „realiami”. Reakcyjny emigrant może na podstawie tej pozytywnej książki uświadomić sobie dokładnie, co

można nabyć w „Maison de Ciuch” na Bazarze Różyckiego i ile kosztuje miejsce na cmentarzu bródzieńskim. Trzecia część książki („Ludzie”) przynosi m.in. sylwetki Tadeusza Wierzejskiego (znawcy antyków), Mirona Białońskiego (b. urzędnika pocztowego, poety), Jana Drohojowskiego („dyplomaty”), Bonawentury Lenarta (mistrza sztuki introligatorskiej) i in. Z kart książki straszą pseudodowcipne ilustracje.

Historia najnowsza. (20-lecie Niepodległości. II Wojna Światowa)

53. SZELĄG, Jan: 13 lat i 113 dni. *Felieton historyczny*. (Warszawa), 1968, Czytelnik, s. 346 (2), ilust.

Jest to tzw. bogato ilustrowana książka spreparowana zmyślnie dla „czytelnika zerowego” z intencją wy tłumaczenia mu, iż w latach 1926-39 (— 13 lat i 113 dni) „Sanacja” ograniczała swą działalność do skrytobójczych mordów, stawiania (za życia) pomników „Piłsudskiemu”, kultu kaszanki i Becka, dożynek w Spale, polowań dla dygnitarzy hitlerowskich itp. Nikczemny dobor fotografii.

54. JURGIELEWICZ, Waław: *Organizacja Ludowego Wojska Polskiego* (22. VIII. 1944 - 9. V. 1945). Warszawa, 1968, Wojskowy Instytut Historyczny, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, s. 458 (2), wykresy, mapy.

Książka omawia strukturę i organizację Gwardii i Armii Ludowej oraz Polskich Sił Zbrojnych w ZSSR, rozbudowę wojska w drugiej połowie 1944 r. i dalsze dzieje formacji w r. 1945 po tzw. „wyzwoleniu terenów Polski na zachód od Wisły, Narwi i Wisłoki”.

Nowości amerykańskie

Poprzez stulecia, od początku istnienia literatury amerykańskiej, Amerykę interesowała jedynie Ameryka. Wyłączność tego zainteresowania była rzeczą oczywistą, przyjmowaną bez zastrzeżeń, a w każdym razie bez szemrania przez pisarzy. Podporządkowywali się tej tematyce wszyscy niemal pisarze amerykańscy, łącznie z grupą tzw. *expatriates* jak Fitzgerald czy Hemingway. Gardząc niby Ameryką, mieszkali ostentacyjnie poza granicami kraju, przeznając w Paryżu, i pisali o innych takich samych dobrowolnych wygnaniach, mieszkających także przeważnie w Paryżu. Tematyka tych pisarzy operowała i kokietowała fikcją, że nie piszą o Ameryce, ale jest zrozumiałe, że była to fikcja, owoc niejasnego buntu wobec wszystkich i wszystkiego, jaki występuje po każdej wojnie. W Stanach Zjednoczonych literatura obracała się niezmiennie i bez najmniejszego zażenowania wokół zagadnień czysto amerykańskich. Jednym z najbardziej popularnych tematów było i jest jeszcze ciągle demaskowanie światka małego miasteczka, amerykańskiej prowincji, gdzie pod cienką skorupką purytanizmu szerzyły się rzekomo rozpusta, wyuzdanie i korupcja. Ojcem tego rodzaju był Sinclair Lewis. Pisarz nie piszący na tematy amerykańskie nie mógł liczyć na dużą poczytność, choć wydawnictwa ze względów prestiżowych przyjmowały i wydawały także utwory o tematyce nie-amerykańskiej. Świat amerykański jest bardzo różnorodny i każdy mógł sobie poczytać o Żydach, Polakach, Irlandczykach, Włochach a nawet Ormianach (Saroyan). Uważano, że to dosyć...

Ale oto nagle, a może zresztą nie nagle, ale w każdym razie skończyła się tradycyjna wyłączność tematyki amerykańskiej. Zdumiało to wszystkich ludzi parających się literaturą, łącznie z krytykami. Czytelnicy rozchwytyują książki o tematyce nie-amerykańskiej. Może chcą tym zaznaczyć swój kosmopolityzm i uniwersalizm. Chcą wyraźnie coś więcej usłyszeć o człowieku i coś mniej o Amerykaninie. W literaturze amerykańskiej jest to na pewno chwila przełomowa. W modzie jest nagi człowiek, człowiek symbol, człowiek bez rodowodu społecznego, bez kraju nie tylko jak u Hemingwaya geograficznego, ale w ogóle bez kraju, bez bliżej określonego dziedzictwa kulturalnego. Można oczywiście twierdzić, że taki człowiek nie istnieje. Ale istnieje tęsknota za takim człowiekiem.

Proza o tematyce amerykańskiej nie zniknęła naturalnie z powierzchni ziemi, istnieje nadal. W epoce odrzutowca, autostrady i, co najważniejsze, telewizora prowincja amerykańska przestała prowadzić odrębne życie. Nie ma już małego miasteczka amerykańskiego, w literaturze zastąpiła je *Suburbia*, dalsze i bliższe przedmieścia, gdzie mieszkają ludzie bogaci i zamożni. Jest to kraina mlekiem i miodem, a zwłaszcza alkoholem, płynąca. Bardów zepsucia w Suburbii jest wielu, ale najważniejszy wśród nich to John Updike, rodem z Pensylwanii, pisarz amerykańskiego Wschodu i tzw. *establishment'u*, terminował w piśmie „New Yorker” co łatwo poznać po gładkim, pretensjonalnym, okrągłym stylu. Wzbudził dwa lata temu sensację ogromną powieścią „Pary małżeńskie” (*The Couples*), z góry już świetnie zareklamowaną jako kronika seksu w Suburbii. Powieść to może i sensacyjna, zważywszy że seks jest na każdej prawie stronie, ale i przenudna, do ziewania, monotonna. Updike ma za sobą dobre opowiadania i kilka niezłych, krótszych powieści. Uważany był przez lata za najlepiej się zapowiadającego prozaika amerykańskiego. Na razie nie spełnił nadziei krytyków. Piewą skandalu wśród zamożnych jest od lat John O'Hara. O'Hara każdego roku, regularnie, rzuca na rynek amerykański choćby zbiór opowiadań, a czasem i powieść. Ustaliła się opinia, której nie już nie podważy, że opowiadania O'Hary są dobre a powieści do niego. Jest w tej opinii wiele prawdy. O'Hara zabiega gwałtownie o to aby być uznanym jako powieściopisarz. Krytycy mu tego uznania odmawiają. Walka O'Hary z krytykami toczy się na łamach czasopism literackich prawie co roku i należy już do tradycji literackiej.

Wróćmy jednak do człowieka-symbolu, człowieka oderwanego. Oderwanego przynajmniej od tła amerykańskiego. Bernard Malamud, pisarz o ustalonej już opinii, zdobył w 1966 roku obie prestiżowe nagrody literackie *Pulitzer Prize* i *National Book Award* powieścią „The Fixer”. („The Fixer” — jak bohater sam o sobie mówi — to taki człowiek, który potrafi wszystko naprawić, zmagistrować, zesztukować. W tym wypadku jest to prosty Żyd w carskiej Rosji utrzymujący się z pracy własnych rąk jako stolarz, zdun, murarz, malarz pokojowy, ale nie będący oficjalnie rzemieślnikiem). Powieść „żydowska” o oskarżeniu o mord rytualny, oparta na procesie Bejlisa, w której jednak Malamud starał się podnieść cierpienie bohatera do symbolu ogólnoludzkiego. Według opinii większości krytyków amerykańskich udało mu się to, choć dodam od siebie, że powieść operująca tyłoma motywami żydowskimi dla większości ludzi — Żydów i nie-Żydów — na niektórych poziomach pozostaje zamknięta. Są w niej takie warstwy i taki podtekst, do których prawdopodobnie potrzebna jest znajomość Talmudu i dokładna znajomość tradycji żydowskiej. W każdym razie powieść cieszyła się wielkim powodzeniem i doczekała się już pięciu wydań w samym formacie kieszonkowym. Czytając, nasuwa się myśl, że to były przecież „nasze” tematy i że nie nie zrobiliśmy z nimi. Co prawda zaczęliśmy bardzo dobrze z pozytywizmem, ale co było dalej?

Mody na tematykę przemijają i wracają jak wszystkie inne mody. Trudno przewidzieć jak długo człowiek oderwany, symbol człowieczeństwa, będzie

przedmiotem literackiego zainteresowania. Może jutro już wrócimy wraz z pisarzami do supermarketu i do stacji benzynowej, dwóch ulubionych miejsc nowego amerykańskiego romantyzmu. Może jutro już będziemy znowu czytali nie kończące się powieści o rozwodzie. W tej chwili literatura amerykańska rozwodzi się sama z sobą.

Jadwiga MAURER

Antologia «Kultura» po angielsku

Ukazał się katalog *THE FREE PRESS. A division of the MacMillan Comp. w New Yorku z zapowiedzią m.in. ukazania się w bieżącym roku dwutomowej Antologii KULTURY:*

KULTURA

Volume I: Essays

Edited by Leopold Tyrmand

1969 93282 approx. 400 pp. \$ 8,95 A tent.

Here are sixteen essays from KULTURA, a monthly review published by a Polish emigré institution in Paris, the Institut Littéraire. Especially chosen to present a wide range of current writing, they range from essays on ideology, Polish revisionism, and the Budapest uprising, to a long article on the political thought of KULTURA. "... by defying the means of suppression at the disposal of modern police state (the Institut Littéraire) has become a challenging outlet for all those from behind the Iron Curtain who either fled their countries or remained there but found it impossible to publish except under a pseudonym and in the West, thereby pursuing the heroic path of clandestine opposition... The reader of the anthology certainly will discover why Russians, Ukrainians, Hungarians and others have chosen the modest Polish emigré publishing house as the means of channeling to the free world their flaming protests and superb artistry". — from the Introduction by Leopold Tyrmand.

KULTURA

Volume II: Literature

Edited by Leopold Tyrmand

1969 93283 approx. 400 pp. \$ 8,95 L tent.

Twenty-two stories from KULTURA express the tenor of life under a totalitarian form of government. They include „Hands”, by Jurij Daniel, „The Funeral” by Tomasz Staliński, „The Bridge” by Gustaw Herling, „Lili Marleen” by Zygmunt Haupt, and „Coctail Party” by Leopold Tyrmand.

Wydawnictwa Biblioteki «Kultura» - na składzie

Tom

Francs

4. James BURNHAM	<i>Bierny opór czy wyzwolenie?</i>	6,00
8. Józef ŁOBODOWSKI ..	<i>Złota hramota (Poezje)</i>	7,00
11. Marian PANKOWSKI ..	<i>Smagła swoboda</i>	3,50

Tom		Francis
15.	Graham GREENE <i>Moc i chwala</i>	6,50
18.	Jeanne HERSCH <i>Polityka i rzeczywistosc</i>	7,00
20.	Józef MACKIEWICZ <i>Kontra</i>	7,00
22.	Andrzej BOBKOWSKI <i>Szkice piorkiem</i> (Francja 1940-1944), 2 tomy	18,00
23.	Paweł ZAREMBA <i>Historia Stanów Zjednoczonych</i>	18,00
25.	Daniel BELL <i>Praca i jej gorycze</i> (Kult wydajności w Ameryce)	4,00
26.	Jan WINCZAKIEWICZ <i>Izrael w poezji polskiej</i> (Antologia)	18,00
31.	Stanisław REMBEK <i>W polu</i>	8,00
33.	Simone WEIL <i>Wybór pism</i>	10,00
35.	James BURNHAM <i>Revolucja manadżerska</i>	10,00
36.	Tadeusz KATELBACH <i>Rok złych wróżb</i> (1943)	8,00
37.	Jurij ŁAWRYNENKO <i>Rozstriliane widrodzennia</i> (Antologia)	30,00
40.	— <i>Program Związku Komunistów Jugosławii</i> (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 5-ty)	8,00
41.	(Opr. Czesław MIŁOSZ) <i>Kultura masowa</i> (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 6-ty)	6,00
43.	Jan KOWALIK <i>„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”</i>	12,50
44.	Borys PASTERNAK <i>Doktor Żiwago</i> (Wydanie 3-cie) ..	17,50
51.	Gustaw HERLING-GRU-DZIŃSKI <i>Skrzydła ołtarza</i>	7,00
52.	Halszka GUILLEY-CHMIEŁOWSKA <i>Spotkania na galerii</i>	9,00
53.	Józef CZAPSKI <i>O ko</i>	12,00
55.	Leo LIPSKI <i>Piotruś</i>	7,00
56.	Aldous HUXLEY <i>Nowy wspomniany świat popracoony</i> ..	7,00
58.	Stanisław KOT <i>Jerzy Niemirycy — inicjator Ugody Hadziackiej</i>	7,00
59.	(Opr. Czesław MIŁOSZ) <i>Węgry</i> (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 8-my)	9,00
60.	Artur Marya SWINARSKI <i>Sasza i bogowie</i>	15,00
61.	Andrzej CHCIUK <i>Rejs do Smithton — Stary ocean</i> ..	12,00
63.	Bogdan CZAYKOWSKI i Bolesław SULIK <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i>	30,00
64.	Danuta MOSTWIN <i>Ameryko! Ameryko!</i>	15,00
65.	Paweł HOSTOWIEC <i>Eseje dla Kassandry</i>	15,00
68.	Abram TERC <i>Opowieści fantastyczne</i>	12,00
69.	I. IWANOW <i>Czy istnieje życie na Marsie?</i>	7,00
71.	I. IWANOW <i>Jest' li ziżń na Marsie?</i>	7,00
72.	Paweł ZAREMBA <i>Historia Polski. Cz. I.</i>	20,00
73.	— <i>Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)</i> ..	15,00
74.	Adam CZERNIAWSKI <i>Topografia wnętrza</i> (Poezje)	5,00
75.	Władysław BRONIEWSKI <i>Wiersze</i>	5,00
76.	Józef CZAPSKI <i>Na nieludzkiej ziemi</i>	15,00
77.	Czesław MIŁOSZ <i>Człowiek wśród skorpionów</i>	9,00
78.	Bernard SINGER <i>Od Witosa do Stawka</i>	18,00
79.	Czesław MIŁOSZ <i>Król Popiel i inne wiersze</i>	5,00
81.	Witold GOMBROWICZ <i>Dziennik. Tom II (1957-1961)</i> ..	13,00
83.	Jerzy MOND <i>6 lat temu...</i> (Kulisy Polskiego Października) (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 11-ty)	10,00

Tom		Francis
84.	— <i>Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)</i> ..	15,00
85.	Józef WITTLIN <i>Orfeusz w piekle XX wieku</i>	34,00
86.	Zygmunt HAUPT <i>Pierścień z papieru</i>	13,50
87.	Marek HŁASKO <i>Opowiadania</i>	12,00
88.	Maria CZAPSKA <i>Polacy w ZSSR (1939-1942) Antologia</i>	16,50
89.	Witold JEDLIICKI <i>Klub Krzywego Koła</i> (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 12-ty)	10,00
90.	— <i>Zeszyty Historyczne (Zeszyt 4-ty)</i> ..	15,00
92.	— <i>We własnych oczach. Antologia współczesnej literatury sowieckiej</i>	24,00
93.	Gustaw HERLING-GRU-DZIŃSKI <i>Drugie przyjscie oraz inne opowiadania i szkice</i>	13,50
94.	Jan KOWALIK <i>Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962</i>	9,00
95.	— <i>Zeszyty Historyczne (Zeszyt 5-ty)</i> ..	15,00
96.	Marek HŁASKO <i>Brudne czyny. Wszyscy byli odwrócenii</i>	16,50
97.	Kazimierz WIERZYŃSKI <i>Kufer na plecach</i> (Poezje)	7,50
98.	Bogdan CZAYKOWSKI <i>Spór z granicami</i> (Poezje)	6,00
99.	Wincenty WITOS <i>Moje Wspomnienia Tom I/III</i>	87,00
102.	Stanisław MACKIEWICZ <i>Polityka Becka</i>	12,00
103.	— <i>Zeszyty Historyczne (Zeszyt 6-ty)</i> ..	15,00
104.	Ignazio SILONE <i>Wybór towarzyszy</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	7,50
108.	— <i>Zeszyty Historyczne (Zeszyt 7-my)</i> ..	15,00
109.	Wacław IWANIUK <i>Wybór wierszy</i>	7,50
110.	Michał K. PAWLIKOWSKI <i>Wojna i sezon</i>	15,00
113.	Borys LEWICKYJ <i>Terror i rewolucja</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	15,00
114.	Stanisław VINCENZ <i>Po stronie pamięci</i>	13,50
115.	Danuta MOSTWIN <i>Olivia</i>	15,00
116.	Czesław MIŁOSZ <i>Gucio zaczarowany</i> (Poezje)	7,00
117.	— <i>Zeszyty Historyczne (Zeszyt 8-my)</i> ..	15,00
118.	Jerzy PIETRKIEWICZ <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	13,50
119.	January GRZĘDZIŃSKI <i>Maj 1926</i> (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14-ty)	9,00
120.	Mikołaj ARŻAK <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	9,00
121.	Arthur KOESTLER <i>Fragmenty wspomnień</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	13,50
123.	Piotr GUZY <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i> ..	10,00
125.	— <i>Zeszyty Historyczne (Zeszyt 9-ty)</i> ..	15,00
126.	Barbara TOPORSKA <i>Siostry</i>	13,50
127.	— <i>Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela</i> (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16) ..	7,50
128.	Marek HŁASKO <i>Piękni dwudziestoletni</i>	13,50
129.	Borys LEWICKYJ <i>Polityka narodowościowa w ZSSR</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”) ..	16,50
130.	Mihajło MIHAJLOV <i>Tematy rosyjskie</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	15,00
131.	George J. FLEMMING <i>Polska mało znana</i>	10,00

Tom		Francis
133. —	<i>Zeszyty Historyczne (Zeszyt 10-ty)</i>	15,00
134. Wacław LEDNICKI	<i>Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905</i>	9,00
135. Adam CZERNIAWSKI	<i>Sen — Cytadela — Gaj (Poezje)</i>	6,00
136. —	<i>Schizmy (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 18-ty)</i>	7,00
137. George J. FLEMMING	<i>Czym to się je?</i>	10,00
138. Witold GOMBROWICZ	<i>Dziennik III. Operetka</i>	16,50
139. Aleksander HERTZ	<i>Refleksje amerykańskie</i>	16,50
140. —	<i>Zeszyty Historyczne (Zeszyt 11-ty)</i>	15,00
141. Olga SCHERER	<i>W czas morowy</i>	13,50
142. Alicja ZAWADZKA-WETZ	<i>Refleksje pewnego życia (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 19-ty)</i>	16,50
143. Bonifacy MIAZEK	<i>Ziemia otwarta (Poezje)</i>	6,00
144. Juliusz MIEROSZEWSKI	<i>Polityczne neurozy</i>	13,50
145. —	<i>Zeszyty Historyczne (Zeszyt 12-ty)</i>	15,00
146. Aleksander HERTZ	<i>Szkice o ideologiach</i>	12,00
147. Wiktor SUKIENNICKI	<i>Legenda i rzeczywistość (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 20-ty)</i>	9,00
148. Tomasz STALINSKI	<i>Widziane z góry</i>	18,50
149. Galina SIERIEBRIAKOWA	<i>Huragan (Seria „Archiwum Rewolucji”)</i>	8,00
150. Swietlana ALLILUJEWA	<i>Dwadzieścia listów do Przyjaciela (Seria „Archiwum Rewolucji”)</i>	15,00
151. Aleksander WEISSBERG-CYBULSKI	<i>Wielka Czystka (Seria „Archiwum Rewolucji”)</i>	30,00
152. Leopold TYRMAND	<i>Życie towarzyskie i uczuciowe</i>	26,00
153. —	<i>Zeszyty Historyczne (Zeszyt 13-ty)</i>	15,00
154. Kazimierz WIERZYŃSKI	<i>Czarny Polonez (Poezje) (Wyd. 2)</i>	7,00
155. Czesław DOBEK	<i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	17,00
156. Wacław IWANIUK	<i>Ciemny czas (Poezje)</i>	8,00
157. Leon MITKIEWICZ	<i>Z gen. Sikorskim na obczyźnie (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 21-szy)</i>	23,00
158. Alicja IWANSKA	<i>Świat przetłumaczony</i>	15,00
159. Piotr GUZY	<i>Stan wyjątkowy</i>	12,00
160. Julian KULSKI	<i>Stefan Starzyński w mojej pamięci (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 22)</i>	12,00
161. —	<i>Zeszyty Historyczne (Zeszyt 14-ty)</i>	15,00
162. Andrzej SACHAROW	<i>Rozmyślenia (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 23-ci)</i>	4,00
163. Jerzy ANDRZEJEWSKI	<i>Apelacja</i>	9,00
164. Eugenio REALE	<i>Raporty Polska 1945-1946 (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 24-ty)</i>	18,50
165. Stanisław WYGODZKI	<i>Zatrzymany do wyjaśnienia</i>	16,50
166. Henryk GRYNBERG	<i>Zwycięstwo</i>	9,00
167. —	<i>Wydarzenia Marcowe 1968 (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 25-ty)</i>	15,00
168. Dominique de ROUX	<i>Rozmowy z Gombrowiczem</i>	15,00
169. Iwan KOSZELIWEK	<i>Ukraina 1956-1968 (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 26-ty)</i>	18,50
170. —	<i>Zeszyty Historyczne (Zeszyt 15-ty)</i>	17,50
171. Kazimierz WIERZYŃSKI	<i>Sen — mara (Poezje)</i>	11,00
172. —	<i>Polskie Przedwiośnie (Wydarzeń Marcowych 1968 — t. II) (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 27)</i>	15,00

KOŁO STUDIÓW SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH
PRZY INSTYTUCIE POLSKIM I MUZEUM
IM. GEN. SIKORSKIEGO (LONDYN)
(Adres Sekretariatu: 20, Willow Avenue, Swanley, Kent, England)

CO PAN/PANI MYŚLI?

Koło Studiów Spraw Międzynarodowych zamierza zbadać, o ile możliwości gruntownie, stan polskiej opinii publicznej w podstawowych sprawach polityki niepodległościowej. W związku z tym Koło Studiów ogłasza niniejszym listę pytań i prosi Polaków w całym świecie o nadesłanie odpowiedzi, podpisanych albo anonimowych. Na poszczególne pytania należy odpowiadać wyrazem „tak” albo „nie” albo „nie wiem”. Gdyby kto chciał jednak poza tym dać szersze wywody, to zechce napisać je na osobnym arkuszu i dołączyć do kwestionariusza.

To the Study Circle for International Affairs
20, Willow Avenue, Swanley, Kent, England.

1. Czy komunizm w Związku Sowieckim może — w drodze reform (bez rewolucji) — ulec takiej demokratyzacji i liberalizacji, które ostatecznie pozwoliłyby na powoływanie rządów w drodze rzeczywiste wolnych wyborów?
2. Czy w Związku Sowieckim możliwa jest częściowa demokratyzacja i liberalizacja w najbliższych latach, np. powiększenie uprawnień związków zawodowych i organizacji samorządowych, złagodzenie cenzury oraz rozszerzenie praw jednostki i zwiększenie praworządności?
3. Czy komunizm w państwach satelickich może ulec demokratyzacji i liberalizacji bez uprzednich zasadniczych zmian w systemie rządów w Związku Sowieckim?
4. Czy narody satelickie mogą wpłynąć na zmianę polityki wewnętrznej w Związku Sowieckim i jego stosunku do państw „demokracji ludowej”?
5. Czy w obecnej sytuacji międzynarodowej Polska mogłaby prowadzić niezależną politykę zagraniczną bez wiązania się ze Wschodem i Zachodem?
6. Jeżeli odpowiedź na powyższe pytanie jest „nie”, to czy wskazane jest porozumienie: z Rosją?, z Niemcami?, z przyszłą Zjednoczoną Europą?
7. Czy polityka amerykańska może przyczynić się do zapewnienia wolności krajom satelickim?
8. Czy można mieć nadzieję, że polityka Francji przyczyni się do uzyskania wolności w krajach satelickich?
9. Czy istnieje obecnie możliwość wykorzystania konfliktu Rosja-Chiny na rzecz sprawy polskiej?
10. Czy Polacy powinni popierać postulat niepodległości krajów bałtyckich, Białorusi i Ukrainy?
11. Czy zjednoczenie Europy jest pożądane z punktu widzenia sprawy polskiej?
12. Czy w obecnych warunkach politycznych wzmocniony wysiłek Polaków w kraju na terenie pracy gospodarczej i twórczości kulturalnej — może przyczynić się do zapewnienia Polsce lepszej przyszłości?
13. Ile Pan/Pani ma skończonych lat?
14. Ile lat Pan/Pani przebywa poza Polską?
15. W jakim kraju Pan/Pani mieszka?

UWAGA: Pytania 13, 14 i 15 są potrzebne, gdyż chcemy zorientować się, jakie poglądy mają różne pokolenia Polaków w różnych krajach osiedlenia.

DATA

POLITYKA

- 11-3-69 Senator E. Muskie oświadczył w wywiadzie prasowym, że w roku 1972 będzie się starał o nominację prezydencką Demokratów.
- 15-3-69
- 16-3-69 Po raz pierwszy od czasu inwazji przedstawiciele Czechosłowacji wzięli udział w konferencji państw Układu Warszawskiego w Budapeszcie. W obradach wzięli udział również Rumuni z Ceausescu na czele. Uchwalono apel o zwołanie europejskiej konferencji bezpieczeństwa.
- 17-3-69 Zjazd jugosłowiańskiej partii komunistycznej dokonał reorganizacji naczelnych władz partyjnych wyłaniając 15-osobowe Biuro Wykonawcze.
- 18-3-69 Na konferencji rozbrojeniowej w Genewie Sowiety wypowiedziały się za demilitaryzacją dna morskiego. Amerykanie ustosunkowali się negatywnie do tej propozycji.
- 19-3-69 Rozgłosnia moskiewska ostrzegła Chiny, że incydenty graniczne mogą doprowadzić do odwetu atomowego.
- 20-3-69 Po powrocie z Budapesztu Dubczek oświadczył, że Układ Warszawski zostanie tak zreformowany, by poszczególne państwa miały większy głos w kierownictwie wojskowym.

KULTURA I NAUKA

RÓŻNE

- Władze partyjne w Bułgarii skrytykowały młodych wykładowców na uniwersytetach za uleganie „obcej ideologii”. Zakazowano książkę prof. A. Ignatowa „Smutki i impulsy epoki”, jako niezgodną z marksizmem-leninizmem.
- Londyński Times zamieszcza obszerny artykuł o współczesnym teatrze węgierskim, podkreślając walory sztuki „Rodzina Loe”. Autor, I. Orkeny ma wiele wspólnego z Mrożkiem i Havellem.
- Ostatnia sztuka teatralna B. Pasternaka „Niewidoma Piękność” ma się ukazać niebawem w przekładzie angielskim w Londynie.
- Dziennik Polski* w Detroit obchodził 65 rocznicę swego istnienia. To zasłużone pismo walczy z ogromnymi trudnościami spowodowanymi m.in. złą obsługą poczty amerykańskiej, graniczącą z sabotażem. Te same trudności ma prasa polonijna w Chicago i New Yorku oraz *Kultura*.
- Zmarł w Warszawie płk. dypl. Stanisław Gliwicz, żołnierz 1 Bryg. Legionów, d-ca artylerii SBSK.
- Szef Zarządu Politycznego Wojska, gen. Urbanowicz, oświadczył, że oficerowie polityczni natrafiają w oddziałach na brak zrozumienia.
- W Argentynie zmarł Jan Świerczyński, płk. i d-ca artylerii 2-ej dywizji pancernej, mianowany już na emigracji przez gen. Andersa gen. brygady.
- Wdowa po amerykańskim przywódcy murzyńskim, Martin Luther Kingu, wygłosiła kazanie w londyńskiej katedrze Św. Pawła.
- Kongres Polonii Amerykańskiej ogłosił zbiórkę funduszu 100-tys. dolarów na „akcję obrony dobrego imienia polskiego w Ameryce”.
- Papież Paweł VI nadał wysokie odznaczenia Polakom, działaczom katolickim. Ordery otrzymali m.in. J. Baliński-Jun-dził, A. Szczaniecki, W. Czocho, E. Jarra, W. Jelonek, B. Podowski i K. Stankiewicz.
- Według „Register of Shipping Lloyd'a” Polska była w ub.r. największym na świecie producentem statków rybackich.

DATA	POLITYKA
21-3-69	Senator Edward Kennedy wypowiedział się za przyjęciem Chin komunistycznych do ONZ-tu i wycofaniem wojsk amerykańskich z Formozy.
22-3-69	Na naradzie przygotowawczej w Moskwie ustalono, że międzynarodowa konferencja partii komunistycznych rozpocznie się w stolicy Związku Sowieckiego 5 czerwca br.
23-3-69	
24-3-69	Przed wyjazdem z wizytą oficjalną do Turcji Ceausescu oświadczył, że poruszy sprawę unii krajów bałkańskich w dziedzinie gospodarczej, technologicznej i kulturalnej. Wyraził przekonanie, że kiedyś dojdzie do podpisania „bałkańskiego traktatu przyjaźni”.
25-3-69	Członek sowieckiego Politbiura, A. Szelepin, przybył do Łodzi. Na zebraniu Tow. Przyjaźni Polsko-Sowieckiej uchwalono rezolucję wyrażającą solidarność z Sowietami „wobec prowokacji klikki Mao Tse-tunga”.
26-3-69	Po gwałtownych demonstracjach w Pakistanie prezydent Ayub Khan podał się do dymisji i przekazał władzę dowódcy sił zbrojnych gen. Yahya Khan.
27-3-69	Na moskiewskiej konferencji w sprawie zbrodni wojennych, delegat rumuński min. Sprawiedliwości, A. Dumitriu, odmówił podpisania rezolucji krytykującej Amerykę, Niemcy Zachodnie, Izrael i Grecję. W Waszyngtonie odbył się zjazd prasy prowincjonalnej, amerykańskiej i etnicznej, z udziałem przeszło 800 dziennikarzy. W sprawach polskich padło jedynie pytanie o granicę na Odrze i Nysie. Rzecznik Departamentu Stanu oświadczył, że o tym ma zdecydować konferencja pokojowa z Niemcami, i że jest mało prawdopodobne by obecny stan rzeczy mógł ulec zmianom.

KULTURA I NAUKA

W Koszalinie ukazał się pierwszy numer miesięcznika społeczno-kulturalnego *Po-brzeże*.

W czeskim Cieszynie odbyła się uroczysta akademicka z okazji rehabilitacji Karola Śliwki, Fryderyka Krausa i Pawła Klusa, uchwalonej przez KC KPC 27 lutego br.

Rozgłośnia BBC nadała sztukę W. Gombrowicza „Ślub” w przekładzie angielskim. Prasa zamieszcza pochlebne recenzje.

Zmarł w Meksyku, w wieku lat 79, Berick Traven Torsvan. Był on ogólnie uważany za pisarza Bruno Travena, autora kilkunastu powieści m.in. „Skarby Sierra Madre”, który cieszył się w swoim czasie wielką popularnością. Nikt nigdy nie znał Bruno Travena i na jego temat krążyły najdziwniejsze pogłoski, jak to, że był synem naturalnym Wilhelma II-go, architektem austriackim, szpiegiem stalinowskim czy trędowatym.

Square de la Charité, położony na rogu Blvd. St-Germain i rue de Saints-Pères, został nazwany przez miasto Paryż skwem Tarasa Szewczenki.

Wybitny poeta i dramaturg węgierski Gyula Illyes wybrany został jednym z 3 wiceprzewodniczących Międzynarodowego PEN-klubu. Jest on pierwszym Węgrem na tym stanowisku.

Fundacja Kościuszkowska ogłosiła, że w 1969 r. wysłała 9 stypendystów na studia do Polski.

RÓŻNE

Prasa brytyjska podała, że nowym ambasadorem PRL w Londynie ma zostać M. Dobrosielski, szef wydziału studiów MSZ-tu. Jest on autorem wielu książek na temat neo-pozytywizmu i pragmatyzmu oraz wykładawcą na Uniwersytecie Warszawskim.

Zmarł w Warszawie ks. Stefan Rudyk, metropolita autokefalicznego kościoła prawosławnego w Polsce.

Sowiety zagroziły zamknięciem kościoła św. Antoniego we Lwowie (jedyne, prócz katedry, otwarte) jeśli nie zostanie odrestaurowany przez wiernych.

Rada Państwa PRL wyznaczyła datę „wyborów” do Sejmu i do Rad Narodowych na 1 czerwca br.

Nowym naczelnym dowódcą sił zbrojnych Paktu Atlantycznego został gen. amerykański A. Goodpaster.

Zmarł w Warszawie, w wieku lat 69, Janusz Stępowski, poeta i pisarz-marynista.

DATA	POLITYKA
28-3-69	Czechosłowacki minister Spraw Wewnętrznych, J. Pelnar, oświadczył, że nikt nie będzie skazywany za poglądy czy przekonania polityczne.
29-3-69	W Pradze ogłoszono, że na terytorium Polski, Niemiec Wschodnich i Czechosłowacji obywają się wspólne manewry wojsk tych krajów oraz oddziałów sowieckich. Po raz pierwszy manewrami dowodzi oficer nie sowiecki, szef sztabu armii PRL gen. Bolesław Chochła.
30-3-69	Rosja wezwała Chiny do przeprowadzenia rozmów na temat problemów granicznych, ale zapowiedziała, że na wszelkie groźby odpowie siłą.
31-3-69	Przeprowadzona w Rumunii reorganizacja władz państwowych przewiduje, że jedynie Rada Państwa i Zgromadzenie Narodowe mogą podejmować decyzje wojskowe, takie jak przeprowadzanie manewrów z udziałem wojsk obcych.
1-4-69	W Czechosłowacji doszło do gwałtownych demonstracji antysowieckich, w czasie których tłum zdemolował szereg biur i instytucji sowieckich. Do demonstracji doszło po ogłoszeniu wyników meczu hokejowego, w którym drużyna czechosłowacka pokonała drużynę sowiecką.
2-4-69	Związek Sowiecki i Algieria wspólnie potępiły „wzmacnianie agresywnych sił NATO w rejonie morza Śródziemnego” i zastrzeżenie napięcia na Bliskim Wschodzie.

KULTURA I NAUKA	RÓZNE
Prasa amerykańska zamieszcza entuzjastyczne recenzje z koncertu utworu Pendereckiego „Pasja Św. Łukasza”, jaki odbył się w obecności kompozytora w Carnegie Hall, w Nowym Jorku.	Zakłady Cegielskiego w Poznaniu zajęły pierwsze miejsce w Europie w produkcji wysokoprężnych silników okrętowych.
Polonia chicagowska zorganizowała Akademię ku czci K. Wierzyńskiego.	Rozgłoszenia praska przestrzegła społeczeństwo przed pojawiającymi się przejawami antysemityzmu i szowinizmu narodowego.
Wiktor Zorza, wybitny publicysta brytyjski pochodzenia polskiego został wybrany „dziennikarzem roku”. Jury stwierdziło, że przepowiedział on ze zdumiewającą dokładnością inwazję sowiecką w Czechosłowacji.	Iwan Jachimowicz, przewodniczący Kołchozu uznany 4 lata temu za wzorowego obywatela sowieckiego, został aresztowany za napisanie listu do Susłowa, protestującego przeciw procesom pisarzy. Jachimowicz protestował również przeciw inwazji na Czechosłowację.
W Londynie otworzono retrospektywną wystawę obrazów i rysunków Leonida Pasternaka, ojca pisarza Borysa Pasternaka.	Zmarł w Londynie gen. Franciszek A. Arciszewski, w wieku lat 78. Zmarły był prezesem „Sokoła” przed wojną oraz autorem książki „Cud nad Wisłą”, wydanej w Londynie w 1957 r. przez „Veritas”. Daje ona swoiste wytłumaczenie wojny polsko-bolszewickiej.
	Zmarł w Londynie, w 66 roku życia, gen. bryg. Henryk Piątkowski, jeden z wybitniejszych oficerów Polski Niepodległej.
	Władze w Kenii odmawiają udzielania prawa na zatrudnienie nawet tym Polakom, którzy mieszkają tam od kilkunastu lat. Należy spodziewać się ich wyjazdu, zapewne do Rep. Poł. Afr.
	Międzynarodowa Komisja Pracowników w Genewie potępiła władze PRL za specjalnie bezwzględne rozprawianie się z wszelkimi przejawami wolności.
	Katastrofa samolotu Polskich Linii Lotniczych „Lot”, który rozbił się lecąc z Warszawy do Krakowa w pow. Sucha. Zginęły 53 osoby. W ich liczbie prof. Z. Klemensiewicz, wybitny językoznawca, prezes krakowskiego oddziału PAN. „Lot” używa do komunikacji wewn. przestarzałych modeli samolotów sowieckich.

DATA	POLITYKA
3-4-69	Rosja zagroziła Czechosłowacji, że w wypadku powtórzenia się demonstracji antysowieckich użyje czołgów dla ich stłumienia. Przywódcy czechosłowaccy zgodzili się pod presją Moskwy na przywrócenie cenzury.
4-4-69	W przemówieniu radiowo-telewizyjnym Dubczek ostrzegł społeczeństwo, że kraj będzie musiał zapłacić wysoką cenę polityczną za ostatnią falę niepokoju. W Warszawie rozpoczęło się 11 Plenum KC PZPR poświęcone głównie sprawom inwestycyjnym oraz przygotowaniom do narady partii komunistycznych.
5-4-69	Rząd kanadyjski zapowiedział zmniejszenie swych sił zbrojnych stacjonowanych w Europie w ramach Paktu Atlantyckiego.
6-4-69	Na Zjeździe fińskiej partii komunistycznej usunięto działaczy znanych z poglądów stalinowskich. Istnieje możliwość utworzenia rozłamowej partii komunistycznej.
7-4-69	Amerykański sekretarz Stanu Rogers oświadczył, że prezydent Nixon rozpatruje plan zakończenia konfliktu w Wietnamie.
8-4-69	
9-4-69	Prezydent Svoboda dokonuje inspekcji czechosłowackich garnizonów wojskowych. Jednocześnie z Pragi nadeszły wiadomości o nieudanej próbie wojskowego zamachu stanu przez elementy stalinowskie.
10-4-69	Prezydent de Gaulle oświadczył w wywiadzie telewizyjnym, że zrezygnuje ze swego urzędu, jeśli jego propozycje reformy konstytucyjnej zostaną odrzucone w referendum.
11-4-69	Do Wschodnich Niemiec przybyła z niezapowiadaną wizytą delegacja PZPR z Gomułką i Cyrankiewiczem na czele. W skład delegacji wchodzi eksperci ekonomiczni.
15-4-69	W Warszawie rozpoczął się proces Ireny Lasota, Ireny Grudzińskiej i Teresy Boguckiej z art. 360 „udział w związku nielegalnym”. Barbara Toruńczyk została prowizorycznie wypuszczona z więzienia do rozprawy rewizyjnej.

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
Uczni z uniwersytetu w Teksasie udowodnili istnienie wody na Marsie.	
<i>Głos Polski-Gabeta Polska</i> w Toronto obchodziła 60 rocznicę swego powstania.	
Profesor Politechniki Warszawskiej, W. Olazak, został wybrany członkiem-korespondentem francuskiej Akademii Nauk.	
W USA dokonano pierwszej w świecie operacji przeszczepienia choremu, H. Karpowi, sztucznego serca. Karp żył 3 dni. Zmarł na zapalenie płuc.	
Uczni izraelscy znaleźli olbrzymie pokłady wody na pustyni synajskiej; może to zmienić całkowicie oblicze tego obszaru.	W Londynie ukazał się Nr 52 kwartalnika <i>Przegląd Kawalerii i Broni Pancernej</i> .
	Przewodniczącym Związku Dziennikarzy RP w Londynie został Zygmunt Stermiński.
A. Solżenicyn wybrany został członkiem honorowym Amerykańskiej Akademii Sztuki i Literatury — American Academy of Arts and Letters.	Zmarł w New Yorku Stanisław Strzelecki, znany redaktor i publicysta. W ostatnich latach był dyr. Wanda Roehr Foundation.
Teatr polski w Chicago wystawił „Tango” Sławomira Mrożka.	Z ostatniej chwili: Zmarł nagle w Houston, Texas Janusz Żółtowski, b. radca handl. amb. polskiej w Waszyngtonie, przed i podczas wojny. Wybitny ekonomista i przemysłowiec.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Oxford, 18 marca, 1969 r.

Byłem jednym z tych, którzy wzięli udział w dyskusji w „Wiadomościach” na temat Rostworowskiego, zreferowanej przez Londyńczyka. List mój w odpowiedzi na list Stefani Kossowskiej ukazał się 9 lutego, ale w zniekształconej formie, gdyż redakcja (czyli znów p. Kossowska!) usunęła pierwszy akapit, w którym napisałem: „Swego czasu 'liberalne' 'Wiadomości' prowadziły nagonkę na Czesława Miłosza (i to w chwili, gdy Miłosz zerwał z władzami PRL). Obecnie Stefania Kossowska czyni podobnie w stosunku do Jana Rostworowskiego”.

Gdy zażądałem umieszczenia erraty otrzymałem od p. Kossowskiej takie pouczenie:

„List Pana zamieściłam zaraz właśnie dlatego, że był skierowany przeciwko mnie. Ale mieszkając tyle lat w Anglii, powinien Pan już wiedzieć, że każda redakcja ma prawo odrzucania i skracania „listów do redakcji”, jeśli uważa, że są za długie, nie na temat, nieciekawe, czy że zawierają nieprawdziwe informacje. Pana uszczypliwość wobec red. Grydzewskiego w związku z jego rzekomym „tępieniem Miłosza” była niewłaściwa, a że nie miała związku z dalszą treścią listu, uważałam za stosowne skrócić. Jeśli Pan się z tym nie zgadzał zamiast protestować, mógł Pan być list wycofać. Żadnej „erraty” nie ma Pan prawa się „domagać” ani oczekiwać”.

Więc, jak można się było z góry domyśleć, wszystkiemu winni są Anglicy. Jednego nie mogę zrozumieć: dlaczego ludziom, którzy okazują pogardę dla wolności słowa, tak zależy na tym, by uchodzić za liberałów?

Łączę wyrazy szacunku,

Adam CZERNIAWSKI

Waszyngton, dnia 26 marca 1969 roku.

Szanowny Panie Redaktorze!

Na uwagi mnie dotyczące w artykule P. M. Zylberberga pt. „The tragedy of Adam Czerniakow” zareagowałem listem z dnia 7 czerwca 1968 roku do redakcji „Wiener Library Bulletin”, gdzie ów artykuł się ukazał. W liście tym zawarłem wyjaśnienia, prostujące jednostronne i niesłuszne twierdzenia artykułu.

W toku korespondencji, jaka się wywiązała, redaktor „Wiener Library Bulletin” P. Ernest Hearst począł tłumaczyć mi:

1. że nie wie, czy mu się uda znaleźć miejsce na druk mego listu w „Wiener Library Bulletin”;
2. że znany mu już list mój, zamieszczony w londyńskich „Wiadomościach” z dnia 23 czerwca 1968 (w związku z przedrukiem fragmentu artykułu P. Zylberberga) wyjaśnił *admirably* moje stanowisko i trafił do czytelnika „bardziej zapoznanego z faktami niż przeciętny czytelnik „Wiener Library Bulletin”;
3. że treść artykułu P. Zylberberga nie miała i mieć nie mogła intencji kwestionowania mojej prawości (*integrity*).

Ze swej strony nastawałem jednak nadal na wydrukowanie mego listu w „Wiener Library Bulletin”. Uważałem bowiem, że list mój drukowany w „Wiadomościach” trafił do czytelników tego pisma, ale w nikłym, jeśli w ogóle, stopniu do niepolskich czytelników „Wiener Library Bulletin” (żydowskich i innych).

Cierpliwie czekałem długi szereg miesięcy. Od mego listu minął okres, w którym ukazało się kilka kolejnych numerów „Wiener Library Bulletin”. Ale żadnego w tym Biuletynie nie było oddziwku na moje uprawnione życzenie trafienia z mymi wyjaśnieniami do grona, czytującego to pismo.

Obecnie pragnę wobec tego stwierdzić publicznie, że tego rodzaju postępowanie redakcji „Wiener Library Bulletin” nie leży w dobrych obyczajach, powszechnie przyjętych przez poważną prasę.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Julian S. KULSKI

22 marzec, 1969.

Drogi Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o zamieszczenie poniższych kilku zdań w odpowiedzi p. Dr Irenie Ziemińskiej (*Kultura*, Nr 1/256-2/257).

Stykałam się ze Świadcami Jehowy w mojej pracy społecznej i tak, jak wśród Protestantów, Katolików czy Żydów spotykałam wśród nich ludzi inteligentnych i ludzi zacofanych.

Intencją moją nie było ani obrażenie, ani też oskarżenie religii Świadców Jehowy, ale zwrócenie uwagi na ogromne rozpiętości kulturalne i klasowe istniejące wśród różnych religii i ras. Wzmianka łączy się pośrednio z tematem artykułu, którego celem było wykazanie indywidualnych różnic ludzkich, a nie operowanie stereotypami w stosunku do jednostek i grup społecznych.

Gdyby artykuł mój, „Czarny Ogień”, stał się dla p. Dr I. Ziemińskiej zachętą do napisania interesującej rozprawy na temat stosunku Świadców Jehowy do współczesnej medycyny, spełniłby on częściowo swoje zadanie.

Łączę wyrazy poważania,

Danuta MOSTWIN

Szanowny Panie Redaktorze,

B. student U.W. ma zupełną rację (*Kultura* nr 4 (259) pisząc, iż „Istota ruchu polskiego polega na wysunięciu żądań demokracji i racjonalnej reorga-

nizacji życia narodowego Polaków...". To jest właśnie to co wyróżnia młodzież polską na świecie. Jest ona odpowiedzialna i racjonalna. B. student U.W. zapomina jednakże o jednym. Kuroń i Modzelewski czy Komandosi nigdy nie uważali się za przywódców studentów, a tym bardziej za przywódców całego narodu. B. student powinien wiedzieć, że Kuroń i Modzelewski, oraz Komandosi nie byli nawet znani poza terenem Uniwersytetu Warszawskiego do wypadków marcowych ubiegłego roku. Trzeba jednak przyznać, że to właśnie Komandosi obudzili młodzież polską. Dojczegwand miał absolutną rację kiedy powiedział na swoim procesie: „Tak jak ja, myślą wszyscy młodzi Polacy”. To rzeczywiście prawda. Ale młodzież myślała tylko i nic więcej. Gdyby studenci U.W. i Politechniki nie podjęli akcji 8, 9 i 10 marca nie wiadomo czy doszłoby w ogóle do ruchu młodzieżowego. I znów słusznie mówi Dajczegwand: „Po 8 marca powstał ruch młodzieży studenckiej, który prasa kompromituje i zohydza... Jest to bunt spontaniczny przeciwko złu”. I tak też było. Dlatego też musimy ocenić studentów warszawskich, którzy byli głównymi katalizatorami tego ruchu. Dla informacji B. studenta chciałbym dodać, i wyjaśnić, że Komandosi nie są monolitycznym ciałem. Są grupą wybitnie inteligentnych i kompetentnych ludzi. Do tej grupy należą filozofowie, historycy, fizycy, chemicy, matematycy, prawnicy, socjologowie, lingwiści, inżynierowie, architekci, artyści i wielu innych. Każdy z nich jest indywidualnością. Każdy z nich jest krytyczny wobec innych a zarazem tolerancyjny. Ale każdy z nich jest wrogiem dogmatyzmu, stagnacji i monopolistycznej ideologii. To jest właśnie cecha, która ich jednoczy — bezkompromisowa walka z mitami. Łączy ich również poświęcenie dla jednej sprawy — poprawienia stagnacyjnej politycznej i ekonomicznej sytuacji kraju. Nie wątpię, że większość młodzieży polskiej rozumie i słusznie ocenia ich program. B. student pisze, że Kuroń i Modzelewski zdobyli sobie więcej zwolenników na Zachodzie niż w kraju. To nieprawda. I. Na Zachodzie Kuroń i Modzelewski mają bardzo niewielu zwolenników. Od stycznia 1967 r. starałem się jak najlepiej przedstawić i wytłumaczyć lewicowej młodzieży na Zachodzie ich program. Nie mogłem nawet znaleźć chętnych, którzy by zorganizowali dla nich demonstrację. Dlaczego? Po pierwsze, gdyż List Kuronia i Modzelewskiego był tłumaczony i rozprowadzony wśród małej grupy trockistów i pozostaje nieznanym szerszym kręgom tutejszego społeczeństwa. Po drugie, młoda lewica zachodnia jest tak dalece stalinowska, że nie przejawia najmniejszego zainteresowania losem opozycji w Europie Wschodniej. Może rok 1969 przyniesie nadzieję. Mój przyjaciel Helmut Wagner zrobił doskonale niemieckie tłumaczenie *Listu*, który miejmy nadzieję dotrze do szerszych mas. Udało mi się też do pewnego stopnia poinformować i wzbudzić zainteresowanie młodych socjalistów.

2. Czy Kuroń i Modzelewski mają zwolenników w kraju? Jak mogą mieć? Społeczeństwo nawet nie wie co napisali. Oni i ich towarzysze są znani tylko z oszczerczej prasy partyjnej, z artykułów niemoralnej cyniczki jaką jest Maria Osiadacz, która, podobnie jak Gontarz, od dawna gwałciła etykę dziennikarską, sprzedając swój honor MSW. Poza tym Kuroń i Modzelewski napisali swój list 5 lat temu. Nie wiemy co myślą teraz. Uwięzieni, nie mają najmniejszej możliwości przedstawienia swoich poglądów. B. student doskonale też wie, że na U.W. nie tylko mówi się o Kuroni i Modzelewskim. Nawet Komandosi mówili, że nie zawsze się z nimi zgadzają.

Na zakończenie mam pytanie do B. studenta U.W. Młodzież warszawska od ponad roku siedzi w więzieniach. Dlaczego zapomniano o nich w Polsce? Czy to obojętność, lenistwo, czy też obawa?

Łączę wyrazy szacunku,

Peter RAINA

Waszyngton, 12 kwietnia 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z przykrością muszę powiadomić Pana, iż nie będę odnawiał prenumery „Kultury”. Bezpośrednią przyczyną tej decyzji był paszkwil Lurczyński. Był to ktoś z kolei akt oplucia Polski drukowany *Kulturze*. Zabolął mnie popis Lurczyńskiego z dwu powodów. *Primo*: uderza on (jak inni poprzednio) w moją wizję Warszawy. Jest to moja największa miłość, stosunek do tego miasta może zrozumieć tylko ten, kto przeżył w Warszawie powstanie i ponury okres stalinizmu. Po zapoznaniu się z kilkoma metropoliami zachodnimi widzę dopiero teraz co straciłem opuszczając Warszawę. Jest to bez wątpienia jedna z metropolii kulturalnych świata: jako ośrodek życia muzycznego, plastycznego, teatralnego, filmowego itd. Nie mówiąc już o atmosferze tego miasta. Dostrzega to każdy gość Warszawy — poza tymi publikującymi w *Kulturze*. Tu docieramy do *secundo*: stosunek tych ostatnich jest chory, jest to objaw specyficznej psychiki ludzi o kompleksie wyższości (bo oni nie skazali się życiem tam), obrażonych, że to nie oni siedzą w siodle, nie uznających nic, co powstało „z łaski Moskwy”. Bardzo znamienne jest potraktowanie relacji z Polski korespondenta *Washington Star* przez *Free Europe* w ich wczorajszej audycji „Fakty, wydarzenia, opinie”. Gość ten stwierdza wyraźnie, że pomimo ostrego krytycyzmu władz, rozmówcy jego nie chcieliby mieszkać nigdzie poza Warszawą. Ten fragment korespondencji został przez *Free Europe* pominięty. Warto jednak by myśleli oni o tym nieustannie, podobnie jak i ustalający linię polityczną *Kultury*: nie bierzcie Panowie pod uwagę faktu o wiele silniej rozwiniętego w pokoleniu powojennym *pouczucia dumi* z faktu iż się jest Polakiem (vide wypowiedź Szlachetnicki w konkursie *Wiadomości*). My, powojenni Polacy wierzymy i czujemy się na siłach by stworzyć swój własny dom na naszą modłę.

Tu można parę słów o *Kulturze* w ogólności. Pismo to nie posiada pasji realizacji celów. Działając na zachodzie jako takie cele mogłyby być np. uznanie granic zachodnich Polski i zakaz działalności rewizjonistycznej w NRF. Punkt drugi został podniesiony przez p. Mieroszewskiego dopiero po mym liście do niego na ten temat. Działalność powyższą uważam za o wiele bardziej sensowną niż pouczanie Kraju o tym co powinien robić, czy utwierdzanie władz w ich przekonaniu, iż *Kultura* ochoczo podchwytuje każdą „wyrotową” akcję krajową. Czyż nie jest to w istocie działalność zimnowojenna? Istotą obecnego czasu jest skoncentrowanie wysiłku na budowę świata z maksymalnym wysileniem głowy. Po dziesięciu latach w USA nie przekona mnie nikt, że głowa pracuje lepiej tutaj — jak to wynika z programu *Kultury*. Dziesiątki stypendystów polskich, których tu spotkałem nie zachwylił dobrobyt USA, jak nie zachwylił mnie, który uważam swój pobyt tu za rodzaj dobrowolnej zsyłki. Świat bardziej ludzki, gdzie człowiek stoi w środku z jego życiem duchowym, nie można budować jeśli się zakłada wrogość do innego systemu, który, wcale nie jest to oczywiste czy jest gorszy i godny potępienia. Jest rzeczą do sprawdzenia co powstanie po drugiej stronie Łaby jeśli weźmie się za mordę pewnego rodzaju panów w NRF i przestanie się traktować reżymu bloku wschodniego jako zgraję bandytów. Zresztą ptaszki już śpiewają, że czas ten nie jest odległy i morituri *Free Europe* i... *Kultura*. Jest oczywiste, że list ten, jako niezgodny z linią *Kultury*, nie ukaże się w tym piśmie, robię przeto kopię i mam nadzieję, że znajdę chętnie pismo by podać niniejsze myśli do wiadomości publicznej.

W. TWIERDOCHLEBOW

Zamieszczając — wbrew obawom p. Twierdochlebowa — jego list do Redakcji — nie możemy jedynie zrozumieć dlaczego przebywa ciągle na „dobrowolnej zsyłce” w St. Zjedn. — zamiast powrócić do Polski (REDAKCJA).

Listy o podobnej treści potępiające reportaż p. Lurczyńskiego nadesłali p.p. Janusz V. Znamierowski (Roxboro, P.Q., Kanada) i H. Z. Komar (Penthos, Anglia).

P. Leszek Żółkiewicz (N. Miami, Floryda, USA) potępia stanowisko *Kultury* w sprawie Lwowa.

P. Panas Fedenko (Monachium) uważa że *Kultura* w artykułach J. Mieroszewskiego broni interesów imperialnych Rosji.

REDAKCJA

PRZEDPŁATA NA „LOTNICTWO POLSKIE W WIELKIEJ BRYTANII”

W związku z ogłoszoną przedpłatą na książkę Franciszka Kalinowskiego zawiadamiamy dodatkowo, że cena w przedpłacie wynosi F. 25 lub równoważność tj. \$ 5,50; \$ can. 6; £ stg. 2.03.00.

W związku z trudnościami w przekazywaniu pieniędzy z Wielkiej Brytanii prosimy o przesyłanie czeków na adres autora, który podjął się załatwić subskrypcję zbiorowo przez swój bank.

Adres: F. KALINOWSKI,
5, Chiswick Village
LONDON, W.4.

Czeki należy wystawiać na nazwisko autora i przekreślić.

Z innych krajów wpłaty (czeki osobiste lub bankowe, pocztą itp) prosimy nadsyłać na nasz adres:

INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy,
78-Maisons-Laffitte, France.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 2^e Trimestre 1969

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.

Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Debrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlatern-gasse Nr 5/2, Stiegl/TÖRE 14		145 szyl. a	280 szyl. a
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	30,00 F. b.	560,00 F. b
BRAZYLIA : Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Guara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h
KANADA : M. Jaza-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. : 482-4673; B. Krasuski, 857 King St. W., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. : 584-3825; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel. : 233-7212; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. : LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can
NIEMCY : St. Mikcluk, 8 München 45, Gabelnstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ...	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor	58,00 Kor
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossotynski, 1603 N ^e Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Chermovs Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346, Polish Amer. Book Co 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tel. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty portu 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.
par MAISONS-LAFFITTE - C.C.P. PARIS 18.228-54.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 167 — SERIA „DOKUMENTY”

WYDARZENIA MARCHOWE 1968

Wybór dokumentów
z przedmową prof. Zygmunta Baumana

Str. 160.

Cena egz. F. 15 (dol. 3,75)



TOM 170 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT PIĘTNASTY

zawiera m.in.:

POWSTANIE WARSZAWSKIE W OBCYCH OCZACH

DZIENNIK DZIAŁAŃ NIEMIECKIEJ 9 ARMII
WSPOMNIENIA MARSZ. K. ROKOSSOWSKIEGO
I SKOCZKA SOWIECKIEGO W WARSZAWIE

Str. 256.

Cena egz. 17,50 F. (dol. 4,00)



TOM 172 — SERIA „DOKUMENTY”

POLSKIE PRZEDWIOŚNIE

**WYDARZEŃ MARCHOWYCH TOM II
CZECHOSŁOWACJA**

W przeciwieństwie do pierwszego tomu, w którym przeważały rezolucje i ulotki, tom II zawiera gruntowniejsze i głębsze uzasadnienia rewolty marcowej. Książkę wzbogaca dodatkowo niezmiernie ciekawy wybór czechosłowackich dokumentów studenckich i pokrewnych.

Str. 160.

Cena egz. F. 15 (dol. 3,75)

Cena 5,00